



Kathy Lette

RADOŚĆ W ZARODKU

Tytuł oryginału Foetal attraction



*Juliusowi ,bez którego ta książka nie mogłaby powstać.
I z podziękowaniami dla wynalazcy epiduralu*

RS

CZĘŚĆ PIERWSZA

ETAP WSTĘPNY

RS

Etap wstępny

Moje przyjaciółki mówiły, że urodzić dziecko, to jak wysrać arbuza. Bzdura. To raczej jak wywalić cały blok mieszkalny — razem z markizami, wewnętrznym ogródkiem, suszącą się bielizną, lasem anten telewizyjnych, talerzami satelitarnymi, sprzętem do grillowania, basenem w kształcie nerki, balkonami, podwójnym rzędem garaży i zaparkowanymi na zewnątrz autami.

Kolejny skurcz przeszył moje ciało.

— Czy są jakieś bóle? — pyta pielęgniarka, ściągając mnie z sufitu. — Nie ma ani żyłaków, ani krwawień z pochwy. — Kraży wokół mnie, robiąc ptaszki na kwestionariuszu przypiętym do sztywnej podkładki. — Nie ma odwodnienia ani żadnych innych nieprawidłowości. No dobrze. Zobaczmy, co teraz... Golimy się?

— Nie.

— Lewatywka?

Czuję się, jakby przepytywano mnie przed zaoferowaniem mi posady, której wcale nie chcę. Stada bocianów trzymających w dziobach uśmiechnięte niemowlaczki w pieluszkach przemierzają połacie ścian, naigrawając się z dziejącego się tuż obok dramatu macierzyństwa.

— Nie — odmawiam. Przede mną wydyma się balon moich powłok brzusznych, poznaczony żyłkami. Stałam się łóżkiem wodnym dla kogoś, kto właśnie w środku szykuje się do skoku.

— Stan cywilny?

— A co to ma do cholery wspólnego z...

— Druga połowa. Imię i nazwisko osoby bliskiej?

Wcale nie bliskiej. Dał nogę. Cholerny skurwiel. Nienawidzę go jak diabli.

Pielęgniarka zdjęła z wieszaka słuchawki.

— Nie przejmuj się. Niektórzy faceci źle się tu czują.

— Ej, to ja się tu źle czuję!

— Ona nie jest zameżna. — Yolanda tkwi nieporuszona przy kozetce z miną przejętej pani domu. Jeszcze trochę, a zaproponuje przystawki. — To wielka szkoda. Nie dlatego, żeby to nas raziło, ale mały będzie wyrzutkiem.

— To ma być ona, ty kur...! — Ból rozchodzi się kręgami po całym moim brzuchu. Wbijam przerażony wzrok w guzik pielęgniarskiego kitla gdzieś na poziomie przepony, czekając, aż skurcz ustąpi. Oddychać — raz, dwa, trzy.

— Chodziła na moje zajęcia do szkoły rodzenia — wyjaśnia Yolanda, bez przerwy poprawiając sobie na nosie wielkie okulary w czerwonych oprawkach. — Cały czas sama. No więc ktoś się w końcu musiał nią zająć.

Że też musiałam wpaść na nią w szpitalnej poczekalni! Nie dość, że tkwi tutaj, to jeszcze opowiada te rzewne historyjki.

— Odwal się! — Yolanda Grimes nie ma w sobie niczego, co by mi się mogło podobać. Yo-Yo należy do tego typu kobiet, które wstają rano wesolutkie i przez cały dzień pną się wytrwale pod górę. Nie tylko własnoręcznie wypieka chleb, oddaje gazety na makaturę, to jeszcze biało, które normalnie każda z nas przechowuje jakiś czas w lodówce, by go nigdy nie użyć, ona przerabia na bezy! — Alex będzie tu lada moment...

— Aha. — Yolanda poklepuje mnie po ręce i wymienia znaczące spojrzenia z pielęgniarką od kwestionariusza.

— Tak więc... eee, ciąża była nie planowana? — indaguje mnie pani Pytalska. — Wybacz, złotko — dodaje, widząc, że zamierzam ją zabić wzrokiem — ale takie mamy przepisy.

— Nie planowana? — Yolanda natychmiast przyobleka swój służbowy uśmiech, zanim zdążyłam odetchnąć. — Przecież ona przyjechała specjalnie z Australii do tego... mężczyzny. — Ostatnie słowo wypowiedziała tak, jakby wymawiała nazwę nieuleczalnej choroby. — I dzięki niemu zaszła w ciążę.

Przez niego, a nie dzięki! — Och, na początku w nieskończoność opowiadał, jak to on kocha dzieci. Ciągłe powtarzał, że nienawidzi ojców, którym dzieci przynosi się jak na tacy, w porze obiadu, by przy deserze je wyprowadzić. Mówił, że kiedy małolatów sędzi się za znęcanie nad zwierzętami, pod sąd powinno się stawiać ich ojców i skazywać na spędzanie wieczorów z dziećmi w domu. Rozważaliśmy nawet, czy lalki, które kupimy, będą miały pod względem budowy wszystko, co trzeba.

Zsuwam się na podłogę, jak ogromna galaretowata ryba. Czuję się anatomicznie nie w porządku. Jeśli chodzi o żeński układ rozrodczy, to mamy tu do czynienia z poważnym błędem projektowym. To znaczy — jak coś tak dużego może wyjść z czegoś tak małego? A w każdym razie mniejszego? Mam dwa-

dzieścia dziewięć lat, wiek moich partnerów wyrażony jest też liczbą dwucyfrową. Mój błyszczący, napięty bęben faluje mi przed oczami, jakby parodiując taniec brzucha. Ból jak błyskawica rozdziera moje ciało.

— Jezus Maria, nie wytrzymam! — Szkoda, że nie paliłam i pozwoliłam dziecku tak urosnąć.

— No, no. — Yolanda pociesza mnie z wielką wprawą. — Co dziesięć sekund gdzieś na świecie rodzi się dziecko, więc to nie może być aż takie straszne.

Dobrze, że nie zgodziłam się na lewatywę. Załatwienie się na Yolandę będzie dla niej akurat odpowiednią karą.

Kiedy tak obie suniemy szpitalnym korytarzem, kołysząc się jak kaczkę i zatrzymując co chwila, żeby móc oprzeć się o ścianę, złapać trochę tchu i spróbować oddychać tak, jak mnie ona uczyła, dostrzegam nasze odbicie w wypukłym lustrze u-mieszczonym w narożniku korytarza. Tworzymy śmieszny parę — ja, wysoka na sześć stóp, z krótko obciętymi rudymi włosami, różowym tatuażem i błyszczącym nosem jak guziczek; Yolanda zaś mała, pulchna, przysadzista. Wygląda jak wańka-wstańka, okrągła, nabita czymś ciężkim, by przewrócona mogła natychmiast powrócić do poprzedniej pozycji.

— Odwal się! — znowu na nią wrzeszczę.

— No, dalej. — Yolanda odzyskuje równowagę. — Sala porodowa jest tuż za rogiem.

— Co to znaczy tuż? Dla mnie to jest tak daleko jak do Afryki!

— Z moich obserwacji wynika, że mieszkanki Zachodu za bardzo się nad sobą rozczulają w czasie porodu. Wznies się ponad to!

Beznadziejny przypadek.

— Spadaj! Zostaw mnie w spokoju!

Ale kiedy łapie mnie następny skurcz, łąduję w jej troskliwych objęciach.

Ten londyński szpital miejski wygląda jak zakazane miejsce, które jeszcze należałoby trochę sprzątnąć, zanim przeznaczony się do rozbiórki. Z odłóżką farbą i lepkiem linoleum pasowałyby do reportażu o Bukareszcie. Kiedy otwieram wygłuszone drzwi do porodówki, chór jęczących i zawodzących kobiet brzmi jak próba orkiestry sposobiącej się do zagrania kawałka współczesnej muzyki rumuńskiej.

— Duży dziś ruch w Dwidziusiowie — szczebiocze Yolanda. Podejrzewam, że ona musi to lubić. Chciałabym pozbyć się jej z sali, najlepiej wysłać ją gdzieś na koniec świata albo i w kosmos, ale jestem skurczona we dwoje. Brzęczę jak rozedrgany kamerton. Powoli dociera do mnie, że również ja wydaję jakieś dźwięki. Głośne, złowieszcze, jak w horrorze *Koszmar z ulicy Wiązów*. Nie mam już żadnych wątpliwości co do płci Pana Boga. Możecie mi wierzyć, to facet, jak amen w pacierzu.

Salę porodową widziałam już wcześniej. Ściany są tu wyłożone boazerią sosnową jak w zaparowanej szwedzkiej saunie. Teraz jednak nie zwracam na nie uwagi. Wpadam wprost w coś, co przypomina wielki brązowy krowi placek. Alex by się ucieszył, gdyby zobaczył, że wreszcie znaleziono zastosowanie dla poduch wypchanych kulkami ze styropianu.

Pielęgniarka odkłada na bok kwestionariusz. Daje mi szpitalny szlafrok wielkości chustki do nosa, żebym się nim przykryła, choć przecież ja swoimi wymiarami mogę konkurować z zapaśnikami sumo. Podsadza mnie na łóżko porodowe.

— Główni jeszcze nie widać, nie jest to męzne dziecko — mówi, a ja, wariatka, myślę, że to ma być aluzja do mojego niezamężnego stanu. W szpitalnych broszurach jest wykaz rzeczy potrzebnych do porodu; w rankingu niezbędnych mężowie zajmują wysoką pozycję, plasują się gdzieś na poziomie ręcznika. — Ale nie martw się, dzidzius zwykle obraca się tuż przed porodem. — Owija moje ramię taśmą elastyczną. — Będę tu wracała mniej więcej co pół godziny, żeby zmierzyć ciśnienie.

Już teraz mogę jej powiedzieć, że będzie wysokie. Na słodycz macierzyństwa reaguję jak diabetyczka. Myślałam, że będę mamuszką, która z tofu robi purée i z ciasta lepi różne śmieszne ludziki. Nic z tego. To bolesne.

— O Boże, ja wcale tego nie chcę.

— Daj spokój. — Yolanda próbuje mnie podnieść na duchu tym swoim drażniącym metalicznym głosem. — Chłopki rodzą wprost na polu. Kucają, dziecko z nich wyskakuje, a one idą dalej do roboty.

„Wyskakuje” to optymistyczne słowo. Według określenia Ale-xa poród to roboczo-dniówka spędzona nad dyszą wylotową. Czuję, jak położna namaszcza mój brzuch czymś chłodnym i przykłada przyssawki detektora tętna. Nagle cały pokój wypełnia się głośnym biciem serca dziecka. Ogarnia mnie doj-

mujące uczucie, nie radości jednak, ale panicznego strachu. Co ja zrobiłam? Jak można wychować dziecko w społeczeństwie, które nienawidzi dzieci? W kraju, w którym psy trzyma się w domu, a dzieci wysyła do zamkniętych zakładów na wysokim poziomie, nazywanych Eton albo Harrow? Nie chcę mieć grzecznej córki, która przybiega do nogi, gdy się ją woła. Zresztą, jak ja ją utrzymam? I co z moją karierą zawodową? Zrezygnuję z niej dla własnego dziecka, tak jak moja matka dla mnie porzuciła swoją. Tak to jest. Boże. Tylko trochę różnię się od zaprogramowanego szczura doświadczalnego. Jestem cholernym chomikiem.

Jacyś studenci przylepiają przyszczate nosy do szyby widokowej. Ich wzrok jest czujny, ale obojętny. Przypomina spojrzenia dealerów narkotykowych handlujących na Soho. Yolanda nasuwa mi na nos i szyję trójkątną gumową maskę. Trzymając dłoń na moim brzuchu, przepowiada następny skurcz.

— Teraz wdech, raz, dwa, trzy. — Urządzenie syczy jak żmija.

Przewietrzona zrzucam z siebie maskę. Gdybym mogła mówić, powiedziałabym, że podawanie tlenu kobiecie, która ma skurcze, to tak, jakby dawać komuś aspirynę podczas amputacji nogi. Nagle wydaje mi się to strasznie śmieszne. Zaczynam chichotać bez opamiętania. Tak zachowują się nurkowie, kiedy za szybko się wynurzą — śmieją się, kiedy toną.

Do sali wkracza położna. Sprawdza mi ciśnienie. Słucha tętna płodu.

— Zaraz wracam — mówi. — Może chcesz coś? Owszem. Bilet powrotny do Sydney. Wciąćcie w pasie. Męża.

— Będą mi... potrzebne... środki uśmierzające.

— O, nie, kochanie. Nic ci nie jest. — Yolanda wyrasta jak spod ziemi i zagarnia mnie pod swoje skrzydła. — Ona jest normalną, zdrową mateczką — zapewnia położną. — Damy sobie z tym radę.

— Ja chcę znieczulenie! — Dlaczego ludziom tak zależy na tym, żeby poród odbywał się jak za króla Ćwieczka, bez żadnych środków uśmierzających? Czy ktokolwiek przychodzi do dentysty i mówi: „Mam ząb do wyrwania, ale niech mi go pan usunie w sposób naturalny”? Co to znaczy — poród naturalny? Ślepa kiszka też jest czymś naturalnym. Nie wydaje się, by matka natura była dobrą akuszerką. Mnie potrzebny jest nienaturalny poród. Nie mogę jednak nawet rozpocząć tego zdania. Ból wsysa mnie, wciąga, w końcu spowija ze wszystkich stron jak kokon. Znajduję się w tunelu, gdzie czas odmierzają

teleskopy, sekundy mają długość życia ludzkiego, a godziny — wymiar nie-
skończoności.

Przetaczam się na biodrach. Na zewnątrz widać mury starego szpitala najez-
żone gargulcami. Szare niebo tak jak ja kotłuje się, burzy.

— Lód, potrzebny mi lód.

Monotonne tło muzyczne szemrze w szpitalnym interkomie. Nie wiem już,
co gorsze: bóle porodowe czy melodie Burta Bacharacha.

— Czy... ona już... wychodzi?

— Masz rozwarcie dopiero na trzy centymetry – informuje mnie położna,
ściągnając z rąk gumowe rękawiczki. — Kochana, przed tobą jeszcze długa
droga.

— Dajcie mi jakieś znieczulenie! — Czuję się jak w epoce kamienia łupanego.
W czasach prehistorycznych. Jak coś takiego może spotykać kobiety w
dwudziestym wieku? Kobiety, które mają w samochodach telefony, płyty
kompaktowe, które chodzą na seminaria z „molestowania seksualnego w
miejscu pracy”.

Yolanda ściska mnie za rękę.

— To dopiero pierwszy etap, kochanie. Kaszka z mleczkiem. Wyrrywam
rękę.

— Muszę wziąć coś uśmierzającego! Dajcie mi jakiś narkotyk! — Przypom-
inam sobie zajęcia z Yolandą dotyczące samych narodzin. Lalka, która
przechodziła przez plastikową szyjkę i zmieniała położenie. Wiem, czego mi
potrzeba — tej sztuczki w krzyżu. I to szybko.

— Maddy, cokolwiek teraz weźmiesz, lek przeniknie przez łożysko i do-
stanie się do krwi dziecka.

Pomyśleć — te wszystkie zajęcia z Yolandą w szkole rodzenia, na które
pilnie uczęszczałam; tyle przeczytanych książek i obejrzanych filmów na wi-
deo, wycieczek poglądowych po szpitalu, a przecież nikt nie powiedział mi
prawdy na temat porodu. Podawali nam nie fakty, ale bajki o życiu!

— Ja chcę morfiny!

— Dziecko byłoby odurzone i nie będzie chciało jeść... Zamierzasz chyba
karmić je w naturalny sposób, prawda, Maddy? To ważne, żeby przekazać
ciała odpornościowe.

Możesz być spokojna, ty suko, już ja na pewno przekażę swoje ciała odpornościowe. Zwłaszcza swoją odporność na Anglików. Żadna moja córka nie będzie reagowała na wdzięki jakiegoś pieprzonego Angola z rzędami równych zębów, o biodrach z podwieszonymi jądrami i z zadartym tyłkiem.

— Mają ci dać valium — wyznała Yolanda głosem pełnym trwogi. — To ci zakłóci pamięć...

Świetnie, w takim razie będę mogła o nim zapomnieć. Alex mówił, że chce być takim ojcem, który rozpozna, czy dziecko płacze, bo jest głodne, czy dlatego, że jest mu smutno lub jest zmęczone, czy też domaga się pieśczot. Mówił, że chce wiedzieć, które dziecko woli ślimaka od szpinaku. I którą część ciała najczęściej zapomni umyć. Albo gdzie się mogła zapodziać druga rękawiczka. Powiedział, że powinno się przerobić wszystkie odcinki amerykańskiego programu pt. *Ojciec wie najlepiej* i zmienić tytuł na: *Ojciec nic nie wie. Dokładnie nic a nic*. Obiecał, że z dzieckiem będziemy bardzo, ale to bardzo szczęśliwi. I był to jeden z powodów, dla których się w nim zakochałam. Wspólne dziecko stanowiło element tej umowy.

Tyle że rozpoczynający nowe życie mężczyźni z odzysku są jeszcze trudniejsi do zniesienia niż kiedykolwiek wcześniej.

Może zgodnie z kodeksem handlowym powinnam wnieść reklamację za niedotrzymanie umowy kupna-sprzedaży? Nabyty w dobrej wierze, ujmujący, seksowny bysior, o poprawnej w Anglii orientacji heteroseksualnej... Jak mogłam porzucić kontynent uchodzący za jedno z najbardziej egzotycznych i podniecających miejsc na świecie, tę hedonistyczną przystań słońca i seksu, o której brzegi rozbijają się fale niosące opalonych surferów, śmigających w stronę lądu jak ludzkie wodoloty — by znaleźć się w kraju, gdzie piwo jest ciepłe, a woda w wannie zimna, i leżeć tu z nogami uwięzionymi w strzemionach, bez faceta, cierpiąc nieludzki ból?

Czy naprawdę tego chciałam?

W krainie kochanków

Valium zadziało jak peryskop w oceanie bóleści. Przez ten peryskop Maudeline Wolfe mogła zobaczyć siebie, jak wchodzi na pokład pękatego jumbo jęta, symbolizującego mężczyznę, dla którego zrezygnowała z dotychczasowego życia, domu, środowiska. Była zdumiona, kiedy zorientowała się, jak wiele dla niego zostawiła. Jednotonową półciężarówkę Holden 308, z dwoma tłumikami, osłoną przeciwuderzeniową i uchwytami na deski surfingowe, elektryczny wok (pokryty teflonem), deskę surfingową z żaglem, papużkę, dwa oswojone opopy z zakręconymi ogonkami, ogródek z ziołami, cenne odmiany kolorowego groszku pachnącego i lili, dobrze płatne zajęcie w charakterze instruktora nurkowania, rower wyścigowy z dziesięciobiegową przerzutką i wianuszek sympatii. Odjeżdżała z lekkim sercem. Była zakochana.

Popatrzyła na swoje nowe amarantowe czółenka, niezbyt rozsądny wybór obuwia jak na podróż. Ale czy to, co przedsięwzięła, można nazwać rozsądną decyzją? Alexander Drake był zoologiem. Jeśli nie był akurat uczepiony kry gdzieś w lodowych przestrzeniach Antarktydy, to zaglądał w czeluście kipiących wulkanów na Filipinach albo przedzierał się przez poszycie tropikalnej dżungli na Borneo, gdzie czołgając się, rozgniatła brzuchem bobki nietoperzy; w chwilach wolnych od tych zajęć pojawiał się na ekranie telewizyjnym, który zdawał się jego naturalnym środowiskiem. Autor popularnych na całym świecie filmów przyrodniczych stanowił brakujące ogniwo między zwierzęciem a płatnikiem podatków. W zasadzie zrobił dla przyrody to, co Placido Domingo dla opery, Profumo dla skandali obyczajowych, a Madonna dla upowszechniania bluzek przypominających szpiczaste biustonosze. Liczne nagrody za programy demaskujące nielegalne połowy wielorybów przez japońskich rybaków czy o hodowcach bydła w Brazylii zapewniły mu popularność, na którą składały się odmierzane w równych proporcjach uwielbienie i szacunek. Alex był beniaminkiem londyńskiej socjety.

Trzy i pół miliarda lat ewolucji musiało w końcu wydać produkt finalny. Dla Maddy był to Drakecus (patrz: Alexander), niekwestionowany król telewizyjnej dżungli, wielofunkcyjny osobnik dwunożny z gatunku *video sapiens*.

Maddy uwierzyła, uznając za fakt coś, co nie istniało, że ten pięknoduch, człowiek obracający się w wyższych sferach, zakochał się w niej — zbuntowanej, zalotnej, wysmukłej (dotychczas mówiono co najwyżej, że jest wysoka jak na swój wiek), sobie tylko zawdzięczającej swoje osiągnięcia (żeby nie powiedzieć, że była samoukiem), wygadanej australijskiej rudasce.

Z powodu skaczącego ciśnienia nogi w kostkach nad rzemykami spuchły jej jak banie. Przywołała na pamięć swój przyjazd na Heathrow, jak przeciskała się przez halę przylotów, w zabójczych klipsach, opiętej sukience, z którą uroczco kontrastowały... szare, puchate skarpetki, rozdawane pasażerom przez linie lotnicze. Chrupała orzeszki, zapakowane hermetycznie w plastikową torebkę, i nawet jej nie przyszło do głowy, że pozostawienie skarpetek na nogach mogło symbolicznie oznaczać fałszywy krok w kontynuowaniu tej znajomości.

Z perspektywy czasu okres ten wydał się Maddy wstępnym etapem ich historii miłości. Tym łatwym.

Ponieważ wspólne mieszkanie bywa najczęstszą przyczyną rozejścia, Maddy, aby nie dopuścić do szoku post współlokatorskiego, sporządziła zwięzłą listę swoich wad i słabostek, którą przesłała Alexowi z prośbą o rewanż. Na swojej liście umieściła między innymi dziecinne upodobanie do jego kalamburów i językowych (w każdym tego słowa znaczeniu) igraszek, ponadto swoją szeroką (od ucha do ucha) australijską wymowę. No i ten miszmasz zawodów i zajęć, który układał się w cały wachlarz. Była kierowcą ładowarki na przodku w kopalni w Cobarze (jako jedyna kobieta na pięciuset chłopów), modelką prezentującą kostiumy kąpielowe, pierwszym marynarzem na łodzi rybackiej łowiącej krewetki w pobliżu Darwin, akrobatką na trapezie w Cyrku Oz; kierowcą równiarki należącej do Rejonu Dróg Publicznych — wydłubała sobie w kasku dziurę, żeby zrobić ujście dla swego rudego końskiego ogona; najemnym pracownikiem sezonowym w postrzygalni owiec; ratowniczką surfingowców, a ostatnio instruktorką nurkowania z akwalungiem w Whitsunday Passage. Grzebiąc się w swoich najprzeróżniejszych wadach i nagannych przyzwyczajeniach, wśród których poczesne miejsce zajmowała słabość do kanapek z ostrygami, doszła do zespołu nazwanego przez siebie skazą barowego awanturnika. „Od czasu do czasu — wyznała — mogę powiedzieć face-

towi, że jak mu dam kopa, to będzie miał jaja w mózdzku, jeśli takie organy w ogóle posiada".

Alex wówczas przypomniał, że gdyby nie jej wybuchowa natura, to w ogóle by się nie poznali. Uwielbiał wspominać, jak to się zaczęło na Sydney Street, kiedy Maddy na czerwonym świetle wyskoczyła z auta, by go zbesztać za jego arogancję, gdyż przechodząc po pasach, pacnął dłonią w wystającą na przejście dla pieszych maskę jej samochodu. Krótka była chwila jej triumfu, bo kiedy odpowiednio zmieszawszy go z błotem, wracała do samochodu, uświadomiła sobie, że zatrasnęła drzwi, zostawiając kluczyki wewnątrz, na domiar złego kończyło się paliwo i silnik zaraz zdechł. Światła zmieniły się na zielone, kierowcy zniecierpliwieni ospałą jazdą w godzinach szczytu zaczęli na nią trąbić, piosi przyglądali się temu z rozbawieniem, a główny winowajca łypał na nią z usatysfakcjonowaną miną. Kiedy udało jej się wyrwać od miotającego przekleństwa chińskiego restauratora druciany wieszak, włamać się do swego auta, dopchnąć samochód do stacji benzynowej i tam go zatankować, nie miała już siły, by odrzucić przeprosiny i zaproszenie na kompensacyjnego drinka. Tam właśnie, wedle późniejszej relacji Alexa, w hotelu „Morska Bryza", nad szklanką zimnego piwa Foster, zakochali się w sobie.

Miał trochę krzywy uśmiech, burzę lśniących czarnych włosów, poprzetkanych z rzadka siwizną, i żywe spojrzenie zielonych oczu, kolorem przypominających owoc kiwi, ukrytych za okularami w rogowej oprawie ze skorupy żółwia. Posługiwał się wyszukany słownictwem, używał błyskotliwych określeń, takich jak somnambulizm, dalekosiężność. Znał wiele sekretów światowych przywódców i rzadkich bezkręgowców. Włóczył się po dalekich morzach wzorem piratów, wdając się w utarczki z marynarką atomowych potęg. Był chodzącą encyklopedią gwiazd muzyki pop lat sześćdziesiątych. Jadł rzeczno krokodyla wspólnie z wojownikami Babinga, kongijskimi Pigmejami. Rozumiał cytaty w obcych językach, umieszczane w powieściach. Miał gruntowną wiedzę o Schopenhauerze, ktokolwiek to był. Różki jego markowych koszul z najlepszych firm mierzyły prosto w niebo. Patrząc Maddy w oczy, wymawiał to imię powoli, jakby smakował w ustach zacny rocznik czerwonego wina: „Ma-de-line".

Na antypodach robił film o zmianach, jakie zaszły w obyczajach seksualnych olbrzymiego drapieżnego wargacza. Był to wieczór przesycony aroma-

tem eukaliptusa i migdałowych ciasteczek. Od zatoki zawiewał ciepły wiatr, który burzył ich włosy w fantastyczne fryzury. Kiedy się pocałowali, plecy zrosił im pot lepki jak miód. Na liście Maddy nie wymieniła swej największej słabości, czyli samego Alexa. Wprawdzie jej przyjaciółki twierdziły, że było to zauroczenie sławą, ale tak czy inaczej, Maddy się w nim zakochała. Siedział naprzeciwko niej i owijał ją sobie dookoła palca jak wędkarz, który mając już rybę na haczyku, zwija spokojnie kołowrotek.

— Miłość? Dajże spokój. Nie bądź taka patetyczna. On pożąda tylko twojego ciała.

— Anglik? Wyrazy współczucia.

— Wiesz, co ma wspólnego ze sobą zimne piwo i miłość francuska? W Londynie nie spróbujesz ani jednego, ani drugiego.

Dla przyjaciółek Maddy podróż za ocean miała tylko jeden sens: zakupy w strefie bezcłowej.

— Jeśli już postanowiłaś jechać, to przynajmniej weź ze sobą nasze jedzenie.

— Nie chodzi o to, że zakochałaś się w Angolu, ale że głośno się do tego przyznajesz. Czyś ty ocipiała? Dlaczego?

Dlaczego? Rok później dokładnie to samo pytanie zadał jej dziennikarz z „News of the World”. Ze wzrokiem wbitym w brunatne cappuccino Maddy układała różne warianty odpowiedzi. Może dlatego, że od kiedy się spotkali, wiersze nabrały sensu? Może z powodu jego jędrnych jak rzepa pośladeków? A może powodem był jego głośno przeżywany orgazm, jakby ktoś smykem przeciągał po strunach wiolonczeli? Dlatego, że śmieszyły ich te same rzeczy? Ponieważ on był jej księciem w sztuczkowej zbroi, człowiekiem renesansu, który szedł przez życie w obuwiu Reeboka? Ponieważ kochała go namiętnie i głęboko? Ponieważ, jak mówił Alex, miłość była stanem łaski, tak rzadkim, że nawet gdy tylko zamajaczył na horyzoncie, natychmiastowy pościg za nim byłby w pełni usprawiedliwiony. Ponieważ, znów jak mówił Alex, równie dobrze można by nie żyć wcale, jeśliby człowiekowi nie miało być dane zaczerpnięcie ze źródła życia. A może ze względu na cuda tego świata, które miał przed nią odkryć? Panamska armia mrówek maszerujących dziarsko przez dżunglę. Zgromadzenia słońce w Afryce Wschodniej. Rytuał łączenia się

w pary gepardów, triki stosowane podczas polowania — przez lamy i homary, różne sposoby przychodzenia na świat małych — od oposa wodnego, przez świdraki do węgorzy elektrycznych żyjących w wodach Amazonki. Wszystko to stanie się dla niej dostępne.

Maddy podniosła wzrok na ogorzałe twarze przyjaciółek, które spoglądały na nią oskarżycielsko.

— Powiem tak: kiedy mam erotyczne marzenia, zawsze pojawia się on.

Na lotnisku Alex, popychając trzykołowy wózek z bagażem Maddy, nie wspomniał ani słowem o jej skarpetkach. Tak jak nigdy nie zrobił najmniejszej aluzji do jej wzrostu. Czasem przychodziło jej na myśl, że może zakochała się w Aleksie, bo nigdy nie musiała patrzeć na niego z góry. Dosłownie. Stali naprzeciwko siebie oko w oko. Przeważnie u swoich dotychczasowych mężczyzn widziała dokładnie każdy płatek łupieżu, mogła odkryć pozornie niewidoczną perukę albo pożyczki zza ucha maskujące łyse placki na czubku głowy — zanim poznawała resztę.

Przekonawszy się, że w pionie pasują do siebie idealnie, Maddy miała ochotę jak najczęściej sprawdzać ich zgranie poziome.

— Co robisz, wariacie? Nie możemy tam iść! Alex! A jak ktoś zobaczy?

— Chodź! Tam nikogo nie ma. Jest pusto. Nie mogę się doczekać.

— Jesteś Anglikiem. Spontaniczność nie pasuje do Anglików. To niezgodne z narodowym charakterem.

— Chodź!

— Muszę wziąć prysznic.

— Chodź.

Maddy musiała przeorientować przybraną pozycję. Zderzali się nosami, nie trafiali z pocałunkami, zawadzali o swoje zęby. Niezdarne palce gubiły się w guzikach, grzęzły w zamkach błyskawicznych, zaplątywały się w mankietach i kołnierzykach. Potem jej głowa uwięzła w wycięciu bluzki; żeby się uwolnić, dreptała w miejscu, podrygując tanecznie, podczas gdy on przytupywał wokół, usiłując ściągnąć z niej bluzkę. Jego kalesonki opadły na powykrzywiane buty z niewyprawionej skóry, odsłaniając nieopalone, zwrócone do siebie kolana.

— Cśśś — uciszała go przez cały czas, dodając jeszcze: — Udusisz mnie.

Kabinka na lotnisku Heathrow, terminal czwarty, parter, tak mała, że mogła przyprawić o klaustrofobię, ponad godzinę była zajęta.

— Nie do wiary, kochana, jak szybko potrafiłaś zorganizować swój przyjazd — powiedział Alex. Maddy, chłonąc z rozkoszą każde jego słowo, pomyślała, że powinien swój głos ubezpieczyć u Lloyd'a, taki był smakowity — jak dżem figowy, aksamitny jak mus czekoladowy.

Nie miała wyjścia, nie mogła inaczej. Wszystkie części jej ciała wyrwały się do niego, każda komórka krzyczała: „Połącz się z tym mężczyzną!”

— Namiętność od pierwszego wejrzenia — odpowiedziała figlarnie. — To pozwala zaoszczędzić masę czasu, zgadza się?

Wyjrzała przez szyby jego saaba lotusa elana z lat sześćdziesiątych. Po lewej mijali Hyde Park, który wyglądał jak gigantyczny stół bilardowy. Wzdłuż chodników kwiaty pyszniły się swym bogactwem. Cały Londyn wydawał jej się ciepły i zasobny. W mijanych taksówkach podskakiwały meloniki pasażerów. Domy z matowymi szybami, ozdobione pękatymi kopułkami, łukami, blankami kojarzyły jej się z dekoracją urodzinowego tortu.

— Te hotele wyglądają jak pudding — zauważyła.

— Tak — uśmiechnął się. — Wielki, pożywny szkolny pudding.

— Aha, więc to lubimy! — Klepnęła go swawolnie po brzuchu, ciasno opiętym koszulą w szachownicę. — Coś ci powiem, koleś. Tego się nie zrzuca razem z ubraniami.

Przyprawiło go to o paroksyzm śmiechu. Walnęła prosto z mostu. Maddy wiedziała, że to mu się w niej podoba. Niczego nie załatwiała w białych rękawiczkach.

— Zajmiemy się tym, faciu. Codziennie aerobik albo, możesz mi wierzyć, padniesz na serce, podczas gdy ja będę jeszcze wystarczająco atrakcyjna, by znaleźć sobie jakiegoś mena i machnąć się za niego. Chwytasz?

Alex przejechał na czerwonym świetle, po czym z piskiem opon wyhamował na prawym krawężniku. W kąciку jego ust zamajaczył uśmiezek, któremu zawtórowało jednoczesne mruganie wskaźnika. Nie domyślała się jednak, co to miało oznaczać.

Maddy rzuciła okiem na rzędy domów z epoki georgiańskiej, stojących równiutko, na baczność, z łokciami grzecznie przyciśniętymi do pobielonych

boków. Znała Islington. W Monopolu oznaczone na niebiesko, miało niewielką wartość i nikt nigdy go nie chciał.

— Wydawało mi się, że mieszkasz w Maida Vale?

— Wynająłem dla nas coś innego. Moje stare mieszkanie było ciemne i ponure, wolałem takie, które by bardziej pasowało do ciebie — słoneczne, pełne świeżości.

Alex pochylił się nad nią i pocałował w same usta.

— Jedyne, co ci mogę zapewnić, to apetyczne randki w toaletach całego świata, miejsce w kolejce po zasilek w Brytanii torysów i bezimienny grób na cmentarzu należącym do feministek, przeznaczony tylko dla kobiet.

— Naprawdę? Mówisz o kobietach, które przez całe życie śpią ze znienawidzonym mężczyzną, ale po śmierci nie chcą już dłużej leżeć obok niego? To mi się podoba. — Oddała mu pocałunek, koniuszkiem języka sięgając niemal jego migdałków.

— Cholernie tu zimno. — Maddy ściągnęła z łóżka koc, by się nim owinać i nie czuć chłodu. — No cóż, przynajmniej nie musimy wychodzić na dwór, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Kiedy Alex otoczył ją ramionami, poczuła na karku jego ciepły oddech.

W ciągu pierwszych dni z całego Londynu Maddy dobrze poznała tylko krajobraz w kwiatki zdobiący pościel. Obojętna na świat zewnętrzny przestała progi krainy kochanków, w której rozpoznawała tylko płataninę nóg, dotyki języka, palców. Od pocałunków mieli spierzchnięte wargi. Nie odbierali telefonów, nie zaścielali łóżka. Nie dotykali gazet, na tytuły nie rzucali nawet okiem. Nienasyчени odkrywali wciąż na nowo swoje ciała, uczyli się na pamięć ich topografii, której orientacyjne punkty wyznaczały znamiona, blizny i piegi. Swoją nocną aktywność odsypiali w dzień. Jadali z jednej miski zatłuszczonymi palcami, nawzajem wylizując sobie potem twarze do czysta. W krainie kochanków, w której przebywali, układa się o sobie limeryki, by je wyśpiewywać w takt Bachowskich kantat. Nie wstydzili się używać słów wielkich, takich jak „usychać z tęsknoty” czy „spustoszenie”. Nazywał ją swoją Bzibzią, Pysiem, Picznótką, swoją Przytulaską. Ona rewanzowała mu się Przystojniaczkiem, Napalonym Ogierem, Hannibalem (wymiennie z Kanibalem) albo Horacym, bo tak się nazywała jaszczurka, którą miała w dzieciń-

stwie. W krainie kochanków, w której przebywali, bierze się kąpiel z bąbelkami o czwartej rano, potem kocha się w każdym kącie pokoju, w każdej pozycji, mimo że grozi to wypadnięciem dysku i odmrożeniem pupy.

Kiedy jego sfatygowane jądra zmuszały ich do przerwy, w ostateczności decydowali się wychynąć na świat. Wstępowali wówczas do teatru, siadywali w ostatnich rzędach, pozwalając, by słowa ze sceny spływały po nich obojętnie, zainteresowani wyłącznie sobą. Przynależność do krainy kochanków upoważniała Alexa do szeptania wyznań, w których zapewniał ją, że nad Króla Leara przedkłada miłosne struny jej liry. Maddy zaś nie tylko zachwyciła się dowcipem kochanka, ale też natychmiast odpaliła, stwierdzając, że Językowe igraszki" świadczyły o „płodnej naturze" Shakespeare'a. Kraina kochanków to takie miejsce, gdzie z upodobaniem robisz to wszystko, co u innych by cię brzydziło. W krainie kochanków nie dziwi nic, nawet wizyty przybyszów z obcych planet.

— Wróć, gdy tylko przestawisz się na nowy czas — powiedział Alex w drugim tygodniu ich hormonalnego miesiąca miodowego.

Maddy oderwała usta od jego pachy i popatrzyła na niego pytająco.

— Chyba nie mówiłeś poważnie o miejscu w kolejce po zasilek w torysowskiej Anglii?

— Załatwię ci jakąś dobrą pracę, badaczki albo asystentki...

— Ale ja chcę jechać z tobą na tę wyprawę — jęknęła. Jej gibkie, jędrne, opalone ciało kontrastowało z białą prześcieradła.

— Maddy, jesteśmy na tropie kłusownika, który handluje kością słoniową. To może być niebezpieczne. Obiecuję, że będę o tobie myślał za każdym razem, kiedy będę poddawany osobistej kontroli celnej na granicy. Zgoda?

Wyciągnął swoje palto spod stosu zatłuszczonych kartonów, które uzbierały się w ciągu tygodnia, kiedy żywili się jedzeniem kupowanym na wynos. Z pomiętej kieszeni wyciągnął broszurę ze stemplem British Airways. Maddy rozpromieniła się na ten widok. Jedynym powodem, dla którego — zdaniem jej przyjaciółek — opłacało się jechać do Anglii, było bliskie sąsiedztwo innych krajów. Chciała zwiedzić Pragę, ale Paryżem też by nie pogardziła. Kiedyś w zaciszu pokoju hotelowego w Sydney wymieniali zakątki świata, do

których się razem wybiorą. Nie pominęli nawet Iraku, Iranu, Costa del Sol czy Kanady.

Podał jej broszurę. Szybko przebiegła oczami tekst, szukając niecierpliwie miejsca przeznaczenia.

— Kurs gotowania Prue Leith?

— To premia za przeleciane kilometry. Mam do wyboru to albo Tajemnicze Morderstwa — Weekend w Brighton.

— Mówisz: kurs gotowania?

— Tak.

— W Anglii?

— Tak. Co w tym dziwnego?

— Alex, Anglia to kraj, którego mieszkańcy zdolni są do przyprawienia węgorka marmoladą.

— Pomyślałem tylko, że miałybyś się czym zająć, kiedy ja będę daleko. Poza tym nie możemy ciągle jadać pizzy i hamburgerów. Przeciwno temu buntuje się, jeśli już nie mój żołądek, to rozum.

— Mówimy o kraju, który do światowej kuchni wprowadził jedynie prażynki ziemniaczane.

— O, przepraszam — zaczął się bronić żartem. — Zapominasz o Spotted Dick*¹.

— A co to jest? Wygląda na coś, co się łapie w locie na stacji King Cross. Alex otoczył ją ramionami.

— Chyba nie muszę się już martwić o to, że coś złapię... Odepchnęła go od siebie.

— Musisz złapać samolot, zgadza się?

— Maddy, przecież ja pracuję. Będzie to dla mnie najdłuższy w życiu lot, wierz mi.

— Wiem... Ja tylko... — Dźgnęła go kciukiem w ramię. — Ty skunksie, a ja myślałam, widząc BA, że zabierasz mnie gdzieś na weekend ze sprośnościami!

¹ * *Spotted Dick* — rodzaj deseru sprzedawanego w punktach malej gastronomii jako gotowe danie. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

— Wybacz, Pyzuniu. Zabiorę cię, gdzie tylko zechcesz. — Odciągnął gumkę jej majtek. — Znam takie jedno miejsce. Zaczyna się na „I”.

— Wariat — jęknęła zachwycona Maddy.

— Nie będziesz sama — szepnęła, zniżając głos. — Mam dla ciebie niespodziankę...

Nie słuchała dłużej. Musiała koniecznie zawiadomić swoje przyjaciółki, że w Londynie piwo wcale nie jest ciepłe.

Kilka godzin później Maddy zaczęła po omacku przyklepywać lodowatą kołdrę. Nagle czymś zaniepokojona, usiadła na łóżku. Odrzuciła nogą kołdrę i dźwignęła się, by odsłonić stopy. Domy stojące rzędem po przeciwnej stronie, ściśnięte jak szare pudełka po butach, zdawały się kurczyć w promieniach wiosennego słońca. Usłyszała zgrzyt klucza w zamku i poczuła duszący zapach, który mógł pochodzić tylko od przemoczonego psa. Wielka kudłata kula parującego futra toczyła się z impetem wprost na nią.

— Serdeńko, to jest Moriarty. Kiedy ja wyjadę... chyba nie masz nic przeciwko temu?

Maddy w jednej chwili znalazła się na stole. Jej „niespodzianka” przysiadła na tylnych łapach i popatrywała na nią kaprawymi oczami.

— Dobry piesek. To stary przyjaciel domu.

— Alex, to żaden przyjaciel domu. To jest pies Baskervil-le'ów!

— Je wszystko, nie grymasi.

— Po prostu rzuca mu się nie otwarte puszki, to chciałeś powiedzieć?

— Teraz jest pora jego spaceru, to wszystko. — Pies zabójca pociągnął i tak już naprężoną do granic możliwości smycz. — Moriarty, do nogi! Do nogi! — Alex odchrząknął, by pokryć zmieszanie. — Zazwyczaj słucha poleceń, naprawdę. — Ruszył do wyjścia.

— Ej, a co z moją porą spaceru? Tkwią tu od...

Drzwi zatrzasnęły się, a wtedy zaczęła grzebać w rzeczach Moriarty'ego — była tam psia kołderka, nadająca się tylko do prania, Petrodex, zestaw do zębów zawierający enzymatyczną pastę i druciak. Maddy pomyślała sobie, że w tym kraju to właściciele są posłuszni swoim psom.

Później, kiedy leżeli pod kołdrą spleceni w uścisku, przychodząc do siebie po dopiero co żywiołowo przeżytym orgazmie, z psem warczącym u ich stóp, Maddy wyznała, że woli koty.

— Koty? — powtórzył Alex, poszukując ręką pilota, by włączyć telewizor. — Koty z natury są sybarytami. Niestale w uczuciach — rzekł z lekceważeniem. W telewizji widać teraz było zbliżenie jego twarzy. — Poza tym to próżniaki. — Kciukiem kilkakrotnie nacisnął guzik wzmacniający głos. — Do tego beczelne i samolubne.

„Panie naczelniku Giscard — ostry głos prezenterki Alexa zagłuszył jego własne słowa — .. zaprzecza pan, jakoby zastosowano przemoc w trakcie czynności dochodzeniowych wobec protestującego członka Greenpeace. Jak zatem wyjaśni pan fakt, że hebanowa pasta do butów, której ślady znaleziono na spodniach podejrzanego, jest w takim samym kosztownym gatunku, jakiego pan sam używa do swoich mahoniowych butów?”

— Tu go mamy! — Alex nastawił telewizor jeszcze głośniej. — Skurwysyn z tego Froga! — Opadł na poduszki, głośnie sapiąc.

Maddy nagle uświadomiła sobie, że Alex nigdy jej nie przysłał listy ze swoimi wadami i słabościami.

Gdyby tak się nie zatraciła w tunelu miłości, mogłaby wtedy pomyśleć, że był to pierwszy sygnał do szaleńczego zjazdu w dół, który wkrótce miał się dla niej rozpocząć.

Nowe poczucie smaku

Matka Maddy uparcie twierdziła, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek. Maddy uważała, że mamuśka chybia celu, lokując zbyt wysoko to strategiczne miejsce, niemniej jednak na każde kolejne urodziny córka dostawała w prezencie ozdobnie zapakowany nowy wyciskacz do czosnku lub jakieś pożyteczne skorupy. Mimo to konsekwentnie broniła się przed udomowieniem. W każdym razie świadoma była tego, że faceci uważają, iż przygotowanie posiłków należy do dziewczyn. W poniedziałkowy rano, kiedy to rozpoczynał się kurs, Maddy niezbyt chętnie przestąpiła progi Szkoły Gotowania Prue Leith. Stałaby się pośmiewiskiem, gdyby wiadomość o tym, gdzie wylądowała, w jakiś sposób przeciekła do Sydney. Były to lata dziewięćdziesiąte. Tylko by sobie biedy napytała.

Po raz chyba setny przeczytała ostatnią kartkę od Alexa: „Pozdrowienia z raju dla kłusowników. Miejscowa policja jak zwykle prosi się o guza. Przypadek z rodzaju: nie szukajcie nas, bo to my was przeszukamy. Jak tam Twoje gotowanie? Nie mogę się doczekać, kiedy znajdziesz się w mojej karcie dań”. Wetknęła kartkę za stanik wykończony frędzelkami i weszła do sali. Nie stroiła się specjalnie na ten kurs, włożyła krótką kurteczkę z imitacji skóry lamparciej, czerwoną skórkową minispódniczkę i wygodne buty do jazdy konnej. Niektóre dziewczyny do fartuszków założyły perełki. Każda nosiła identyfikator, jak w przedszkolu, z imieniem: „Clarissa”, „Octavia”, „Saskia”. Te z dwu- lub trójczłonowymi nazwiskami nosiły podwójne identyfikatory, by pomieścić ich złożone miana. Zaaferowane paplały o swoich

mamuśkach i kucykach, wygłaszając też opinie będące powtórkami zasłyszanych poglądów na temat miłości i małżeństwa.

— Cześć — wsunęła się nieśmiało, przysiadając na swoim miejscu. Odpowiedziały jej zdawkowo kiwnięciem głowy, po czym wygładziły swoje fartuszki, jakby to były kreacje balowe. Ściany, uzbrojone w miedziane rondle i formy do babek, połyskiwały metalicznym chłodem. Składniki potrzebne do bieżących zajęć spoczywały na tackach, odważone, starannie zapakowane, gotowe do użycia. Instruktorka gotowania, Priscilla (mówcie do mnie Plum), z misjonarską żarliwością przedstawiła kursantkom listę kulinarnych celów przewidzianych do osiągnięcia na ten dzień. Szkocka potrawka z podróbek baranich, stek z nerkowym puddingiem zapiekany w czarnym salcesonie i nerki à la Robert. Błat, w którego centrum skupione były palniki, zarzucono pościartowanymi zwłokami ofiar z królestwa zwierząt. Plum unurzana po łokcie pławiła się w ich najbardziej intymnych częściach ciała. Kiedy uniosła w górę pęk czegoś, co przypominało wiązkę dętek rowerowych, Maddy odwróciła wzrok. Znacznie bardziej nęcący wydał jej się świat hinduskich dań na wynos.

Maddy pochłonięta była akurat drobiazgowym odtwarzaniem w pamięci imponujących wyczynów łóżkowych Alexa, kiedy gwałtownie otwały się drzwi i do klasy weszła spóźniona kursantka. Jej ciemna główka wystawała z futra jak borsuk, który właśnie postanowił wychynąć z nory.

— Jeśli ktoś mnie jeszcze nie zna — powiedziała intruzka — to nazywam się Gillian Cassells. — Jej głos był krzykliwy, tak samo jak jej ubiór. Gdy gestem od niechcenia zsunęła futro z ramion, oczom Maddy ukazała się sylwetka niezwykle szczupła, jak nakazywała moda. Tak bardzo szczupła, że mogłaby być zaledwie dodatkiem do swej uroczej bransoletki. I ta bransoletka była jedyną rzeczą dotyczącą Gillian, zasługującą na to określenie. — A to — Gillian Cassells wskazała na drzwi, wysuwając szpony jak pięć śmiertelnie niebezpiecznych sztyletów — jest Imelda. — W pole widzenia weszła nieśmiało miniaturowa Filipinka. — Będzie się tu czasem pokazywała, żeby zmyć za mnie naczynia. — Sztylety cofnęły, się jak kocie pazury do poduszek. — Mam wrażliwe skórki.

Octavie, Clarissy i Saskie patrzyły z rezerwą na nowo przybyłą. Ku rozczarowaniu speszonej Maddy, Gillian szeleszcząc spódnicą, opadła na wolny

stołek tuż obok niej. Usadowiwszy swój delikatny tyłeczek, bezceremonialnie sięgnęła do notatnika Maddy, by z głośnym szelestem wyrwać dla siebie kartkę.

— Na pewno się nie obrazisz.

Maddy demonstracyjnie przeniosła notatnik na kolana.

— Nie krępuj się.

— Jesteś z antypodów? — Taksującym spojrzeniem spod szczelnie pokrytych cieniem powiek zmierzyła Maddy od stóp do głów. — No nie, twoje ubranie jeszcze nie wyszło ze sklepu?

— Uważajcie, dziewczynki! — ćwierknęła Plum. — Mózdzek należy moczyć przez dwadzieścia cztery godziny, żeby pozbyć się różnych nagromadzonych tam świństw.

Maddy uznała, że taki zabieg dobrze by zrobił szarym komórkom jej sąsiadki. Gillian przyjęła tę zbawienną radę z rozbawieniem, gdyż leciutko świsnęła, po czym krzyżując stopy obleczone mgiełką pończoch, spytała:

— A ty jakiego szukasz męża? Maddy zarumieniała się z irytacji.

— Co takiego?

— Kurs gotowania stanowi część posagu każdej Angielki. Rozejrzyj się tylko. Czy któraś z nich tutaj wygląda na mężatkę?

Maddy złapała się za głowę w przesadzonym geście zgrozy.

— Gdzie my jesteśmy? Czy to są lata dziewięćdziesiąte? O Boże, przez chwilę wydało mi się, że zostałam przeniesiona w czasie do epoki Doris Day.

Gillian zmrużyła oczy, wyraźnie uradowana. — O rany. Feministka. Ale heca.

Maddy poczuła, jak krew uderza jej do głowy, ponaglana rosnącym rozdrażnieniem. Kim jest ta okropna kobieta? Wypisz, wymaluj wprost z kart *Poradnika Sloan Ranger*. Maddy nigdy nie spotkała kogoś tak wpatrzonego w siebie. Gillian Cassells wyglądała, jakby wyskoczyła z własnego tortu urodzinowego. Maddy zaczęła obojętnie bębnić palcami w cętkowany blat, zdecydowana ignorować swoją sąsiadkę.

— Czy wiesz, co zawdzięczamy feministkom? — zapytała prowokująco Gillian. — Wrzody żołądka, chorobę wieńcową i krótszą średnią życia.

Silne postanowienie Maddy stopniało natychmiast jak masło na patelni.

— Żeby nie wspomnieć o prawie wyborczym, prawie do aborcji i uwolnieniu się od konieczności beczynnego wysiadania w oczekiwaniu na pana Stosownego...

— Pana? — odparowała Gillian zgorziona. — A któż mówi o panu Stosownym? Ja na pewno nie czekam na pana Stosownego, ale na lorda, barona, w ostateczności na markiza Stosownego.

Maddy, zrezygnowana, odwróciła się od niej plecami, usiłując się skupić na wskazówkach instruktorki. Plum trzymała w rękę coś w rodzaju młotka licytatora. Tym przyrządem tłukła dętki rowerowe, dopóki nie zaczęły przypominać czegoś, co właśnie zostało sumiennie przejechane. Wszędzie rozchodził się fetor zepsutego mięsa.

Gillian pochyliła się w stronę Maddy i konspiracyjnie zaczęła szeptać jej wprost do ucha:

— Widzę, że jesteś nowa na naszej wyspie, więc ci udzielę kilku rad. Kandydat na męża musi spełniać trzy warunki: pochodzić z dobrej rodziny, ukończyć dobre szkoły i, co najważniejsze, mieć stały dopływ gotówki.

— Wybacz mi, Zsa Zsa Gabor, ale czy chcesz, żeby o tobie mówili: „materialistka”, „poszukiwaczka złota”, „wyżymaczka” albo „złapała go dla pieniędzy”?

Gillian prychnęła zdegustowana.

— Niestety, tak się składa, że dotychczas łapałam gołodup-ców. Poważnie, jeśli w promieniu pięćdziesięciu mil znajdzie się jeden bezrobotny pomywacz, to ja na niego trafię. Każdy facet, przypominający Jamesa Deana, ze ścieżką śladów po igle na wewnętrznej stronie ud, na pewno będzie miał wytatuowane moje imię. Ale koniec z tym. Definitywnie. Zmieniam taktykę. Dlatego ubiegam się o dyplom ukończenia kursu gotowania. Przecież nie dlatego, żebym chciała gotować. Dyplom będzie się zacie prezentował na ścianie. Zamieniam „twardych facetów” na typ, który nosi rękawiczki samochodowe ręcznie szyte na zamówienie.

Maddy, mimo wewnętrznych oporów, poczuła się zaintrygowana. Gillian była jak kusząca czekoladka, której nie można się oprzeć.

— Nie chwytam.

— Niezłe samochody to niezła gotówka. — Gillian zlustrowała z uwagą komplet swoich paznokci ostrych jak żyłki i wzdygnęła się. — Trzeba być

bogatym, żeby do końca życia móc nie brudzić sobie rąk pracami domowymi. Mój tatuś mawiał, że jedyny kubetek, z jakim kobieta może mieć do czynienia, to kubetek z mrożonym szampanem. — A ty? — Gillian skrzyżowała ramiona na piersiach prezentujących Armaniego i poufale nachyliła się do Maddy. — Czy twoja matka nie chciałaby odpowiedniego męża dla ciebie?

Najprzeróżniejsze fragmenty zwierzęcia, które Plum rozczłonkowała i poddała obróbce w głębokim tłuszczu, krążyły teraz po klasie. Do degustacji przeznaczono specjalne łyżeczki. Komplet platerów dotarł do rąk Maddy. Przyjrzała się im z obrzydzeniem.

— To ważna sprawa w waszym życiu, dziewczynki — powiedziała Plum z namaszczeniem — żeby wyrobić w sobie nowe poczucie smaku.

Maddy ostrożnie wsunęła do ust jeden kęs i żuła go z namysłem. Padlina nie była nawet taka zła. Jeśli ten eksperyment zoologiczny okazał się całkiem strawny, to panna Gillian Cas-sells też mogła się okazać strawna. Przełknąwszy kęs, Maddy zwróciła się do sąsiadki:

— Mama byłaby zadowolona, gdybym sobie znalazła nawet nieodpowiedniego męża.

— No więc jak? — nalegała Gillian. — Jest jakiś pan Stosowny?

— Cóż. Dotychczas spotykałam niemal wyłącznie samych panów Niestosownych. Raz czy dwa trafił mi się pan Obleci i parę razy Z-Braku-Laku.

— Tak jest z nami wszystkimi — zapiała Gillian, aż ich towarzyszkki siedzące przy jednym blacie zgromiły je wzrokiem i zaczęły sykać ostrzegawczo.

— Ale teraz...

Oczy Gillian rozbłysły.

— Mów prędko. Nazwisko, pozycja, numer konta bankowego. Plum jak w transie ubijała masę na pudding. Podziałało to na

Maddy dziwnie kojąco.

— To biolog. Z telewizji.

— A, ten. Facet z gatunku tych, którzy rzucają się do rzeki pełnej piranii. Ekscytujące.

— Nie tak znów bardzo. Bo to oznacza, że jest albo w studiu telewizyjnym, albo gdzieś wyjechał.

— Bogaty?

— Nie. Ojej, nie wiem. Chyba nie.

— No to co w nim widzisz?

Zaterkotał brzęczyk w piecyku. Kursantki rzuciły się do kuchni. Plum podniosła w górę tacę z ciasteczkami zagniecionymi w harmonijkę. Pomieszczenie wypełnił słodki i odurzający zapach cynamonu. Aromat ciasta i palonej kawy zdominował wszystkie pozostałe zapachy. Miedziane rondle i foremki do babek wyglądały już teraz całkiem swojsko, przepychając się z pękatymi słojami przetworów w zawodach o lepsze miejsce. Bębnienie deszczu o blaszane parapety nadawało wnętrzu atmosferę przytulności. Maddy oparła się wygodnie i pomyślała z czułością o swoim ukochanym.

— Jego niezwykłość, poglądy, namiętność, usta — odpowiedziała.

— Hmm. — Gillian sceptycznie uniosła brew. — Wygląda na to, że ma wszystko prócz blizny po pojedynku.

— Jego zdecydowanie, poczucie humoru, rozmach... — Od dawna nie miała okazji do babskich pogaduszek, więc nie mogła powstrzymać się od zwierzeń. — Za uprawianie z nim seksu dałabym się zabić. W sobotę kochaliśmy się przez trzy godziny, i to cały czas w jednej pozycji, na stojąco od tyłu.

— Wiem, fallusowa kuracja, znam to.

Dotarła do nich taca pełna cynamonowych ciasteczek, makaroników i bez. Cały nastrój prysł, kiedy Saskia, Clarissa i Octavia rzuciły się do jedzenia, krusząc ciastka i oblizując palce. Gillian capnęła dwa ciasteczka, po jednym każdą ręką.

— Domyślam się, że jesteś tak zakochana, że straciłaś apetyt.

— Nie wygłupiaj się. — Maddy udało się wyrwać swój przydział ze szponów koleżanki. — Jestem zakochana, ale nie do tego stopnia.

Przez cały długi tydzień, robiąc tylko przerwy na wiązanie skrzydełek bekaśki przed pieczeniem, skubanie bażanta, przyprawianie steków, marynowanie ozora i przyrządzanie *vol-au-vent*, Gillian wprowadziła Maddy w tajniki swojego życia miłosnego. Był więc Archibald, którego rozmiar kałesonów okazał się większy niż jego iloraz inteligencji.

— Przy czym nie nazwałabym go dobrze wyposażonym — podkreśliła Gillian. Był też Montgomery, beznadziejny skąpiec. — Ty wiesz, jak on sknerzył? Musiałam płacić za siebie. I to u McDonalda. — W ten sposób, z nonszalancją bywalca renomowanych restauracji, który zamawia przekąski, załatwiała odmownie aktualnych i byłych kochanków.

Obie — Gillian, w swoich wypolerowanych perłach i kostiumach od znanych projektantów, oraz Maddy, z ognistą burzą włosów, obgryzająca paznokcie — były zachwycone swoim związkiem kontrastujących osobowości. I chociaż Plum uczyła je, że dwa zdecydowane smaki mogą się kłócić ze sobą, ich nieoczekiwana przyjaźń krzepła gładko jak galaretka.

— O rany, ale jesteś wysoka, no nie?

— A ty... no...

— No co?

— Nie, nic.

— Śmiało, mów.

— Dobrze zakonserwowana.

Obie przyjaciółki stały naprzeciwko siebie tylko w samych majtkach. Wszystkie niedoskonałości ich skóry, pryszcze, fałdki czy blizny widać było wyraźnie w trójskrzydłowym lustrze przy-mierzalni. Gillian zrolowała w obwarzanki swoje samonośne pończochy. Pomijając srebrzystą pajęczynkę cieniutkich żyłek znaczących jej piersi i brzuch, wcale nie wyglądała na swoje trzydzieści pięć lat.

— *Liposuction* — wyjaśniła nie pytana, klepiąc się po bokach. — Wszystkie te ptifurki, *crème brûllées* i niepotrzebnie zjedzone łakocie zostają po prostu odessane. Jedyne problem, jaki pozostał, to że nie mam czucia po wewnętrznej stronie ud. Ode-ssanie komórek tłuszczowych zabiło przy okazji całą wrażliwość.

— Ale to skutkuje?

— W pewien sposób. Tłuszcz już się nie odkłada na udach, za to zaczął się gromadzić na pupie. Więc i z nią zrobiłam porządek. — Zademonstrowała omawianą część ciała. — Teraz z kolei tłuszcz umiejscawia się w okolicach przepony. — Z gorliwością przewodnika oprowadzającego po ruinach Pompejów Gillian zabrała Maddy w trasę szlakiem swojej historycznej budowy. — Właściwie chirurdzy wytoczyli ze mnie więcej tranu, niż mogą to zrobić Japończycy uzbrojeni w harpuny, jeśli mamy wierzyć bezkrytycznie we wszystko, co opowiada nam ten twój bezcenny Alex. Teraz przyszła kolej na brzusio. Ale prawda jest taka, że gdzieś ten tłuszcz musi się podziąć. Niedługo będę miała najgrubsze na świecie uszy.

Maddy przyjrzała się uważnie własnemu odbiciu. Popatrzyło na nią kpiąco jej dwadzieścia sklonowanych wersji.

— Chyba jeszcze się nie robi operacji, które zmniejszają ludzi, co?

— Coś ci powiem, ty zakuta inteligentko pracująca. Sypiasz z Alexandrem Drakiem. Wkrótce będziesz się ocierać o londyńskie wyższe sfery londyńskiej kawiorowej lewicy. Już oni zadbają o to, żebyś się nie wywyższała. Zwłaszcza że wyróżniasz się jeszcze strojem. A teraz przymierz to.

Tego dnia na porannych zajęciach Gillian nieoczekiwanie zwróciła się do Maddy z pytaniem, czy naprawdę uważa czerwony za swój kolor. Maddy ze strakami włosów, które jej się rozprostowały od pary, wytarła mokre ręce o ubranie — ufarbowaną na amarantowo bluzkę wetkniętą we wściekle różowe szorty — i wypaliła:

— Nie jestem zbyt blisko z Armanim. Wystarcza mi sieć French Connection i osobisty urok.

Gillian natychmiast wyciągnęła Maddy z sali, mimo że dopiero polewano sosem na wpół surową jeszcze pieczeń z jagnięcia, i zaprowadziła ją na Bond Street do ekskluzywnych butików, gdzie ubranie prezentowane było w szklanych gablotach, jak rzadkie okazy.

— Włóż to — poleciła, wręczając Maddy dwuczęściowy komplet z dzianiny w deseń alpejski, zdobiony przypinanymi warkoczami, aksamitne legginsy i zieloną jak limonka wiatrówkę. Strój ten może nie nadawałby się na występ w konkursie piosenki Eu-rowizji, ale jak powiedziała Gillian, trzeba mieć coś na wieczorne wyjścia.

— Nie wydurniaj się.

— Mówię ci jak lokalna przewodniczka objaśniająca dziwaczne obyczaje tajemniczego plemienia zwanego Anglikami. Kod ubraniowy jest tu wszystkim. Możesz mieć papiery nazistki, wynajmować sobie żigolaka, żeby ci wyjadał gnocchi z pepka, i nie będziesz szykanowana, dopóki nie zaczniesz łączyć lnu z tweedem.

Maddy uniosła ręce w geście poddania i naburmuszona wciągała pulower przez głowę.

— Na kursie wsadzą nas do kozy. Będziemy obierać kartofle pod schodami do końca naszych...

— Już ci mówiłam. To nie są wagary. To praca. — Gillian uważała, że jeśli mężczyźni mogli grać przez cały dzień w golfa i nazywać to pracą, kobiety mogły tak samo traktować chodzenie po sklepach i wybieranie ciuchów. Nazywała to grą w zakupy. Pierwszy dołek — Harrods. Drugi — Harvey Nichols. Zamierzała zatrudniać do tego Imeldę, która jako żeński odpowiednik chłopaka golfowego biegałaby za nią i nosiła torby z zakupami.

Nieustępliwa przy wyborze butów, Gillian kazała Maddy wbić się w buty z czarnej skóry sięgające do kostek, po czym odstępiała na krok, by przyjrzeć się z uznaniem produktowi finalnemu.

— MSW — orzekła zadowolona, co znaczyło: Majtki Są Widoczne.

W tym samym momencie, w którym Maddy zsunęła z siebie swą skromną bieliznę, do przymierzalni wdarła się wyondulowana asystentka. Jak to się dzieje — pomyślała Maddy — że nieprzeparta ochota zakupów nachodzi cię akurat wtedy, kiedy masz na sobie sprane majtki, które trzymają się niepewnie na sfatygowanej gumce, a pachy są od dawna nie golone?

— Och, prezentuje się wspaniale — zachwyciła się sprzedawczyni, podziwiając własne odbicie. Była to ta sama sprzedawczyni, która przez ostatnie pół godziny łąła jak z nut, wpierając w Gillian, że wygląda zachwycająco, szykownie i w ogóle tip-top w czymś, co spłaszczало to, co nie trzeba, pogrubiało w rejonach wymagających tuszowania i zniekształcało całą jej figurę, skądinąd całkiem niezłą. — Pasuje jak ulał. — W końcu zwróciła uwagę na Maddy, patrząc na nią ze skrywaną rezerwą i słabo maskowaną niechęcią. — Ale może trochę za małe. No, nie wiem, czy mamy coś w odpowiednim rozmiarze.

Maddy poczuła się sponiewierana, jak zdeptane u jej stóp welwetowe legginsy.

— Domyślam się, że nie udało ci się przebrnąć przez egzaminy wstępne. — Gillian przysła w sukurs przyjaciółce. — I dlatego wylądowałeś w sklepie.

— Gillian, co my tu robimy, do jasnej cholery?! — Maddy z furią zaciągnęła kotarę i utkwiała w swej nowej przyjaciółce badawcze spojrzenie, próbując domyślić się, do czego mają prowadzić jej nowatorskie pomysły dotyczące garderoby. — Mówisz o bryczesach?

— Przyszliśmy tu, bo chcę, żebyś pojechała ze mną na polowanie. I na rozgrywki polo. To są miejsca, gdzie można poznać nowych panów.

Maddy stała nieporuszona z rękami skrzyżowanymi na nagich piersiach.

— Po pierwsze, nie znoszę krwawych sportów, a po drugie, nie mam ochoty poznawać nowych panów.

— Posłuchaj osoby doświadczonej. Ten Alexander Flake...

— Drake — warknęła Maddy ostrzegawczo.

— ...nie myśli o tobie poważnie. Gdy tylko przyleciałaś do niego, on wyfrunął z klatki. Prawda?

— Jest na umowie,

— Wierz mi. Z Anglikami to jest tak: albo wkłada, wyjmuje, chowa i spada, albo się żeni.

— Jesteś niemożliwa. — Maddy usiłowała wypłatać stopę z porzuconego na podłodze fragmentu jedwabnej bielizny Gillian. — Zdajesz sobie sprawę z tego, że stanowisz pośrednie ogniwo pomiędzy Madonną a Barbarą Cartland?

— Wiesz, czego kobiecie potrzeba do szczęścia? Bogatego oldboya na męża, czegoś w rodzaju ożywionej torby podręcznej, którą zostawia się w przedpokoju, przychodząc na przyjęcia, a wychodząc, zabiera, bo ktoś musi zapłacić za taksówkę. A na boku chłopaczka do zabawy. Mam takiego jednego na oku. Piętnastolatek. Jeszcze za młody. Zachowuję go sobie na przyszłość.

— Rezerwowo do dymanka?

— Właśnie.

Druga sprzedawczyni wetknęła głowę do ich kabiny.

— Wszystko w porządku? — zapytała tonem wyraźnie sugerującym, że nie jest w porządku. Podejrzliwie zlustrowała Maddy, która właśnie przymerzała bieliznę z krótkiej serii sygnowanej przez projektanta. Maddy przyszło do głowy, że mogą ją zaaresztować za noszenie bielizny ponad stan.

— Ja już do tego przywykłam, moja droga — zarechotała Gillian. — W Anglii obsługa warczy na klienta.

Nie zwracając uwagi na sprzedawczynię, która gapiała się na nie z otwartymi ustami, Maddy zaczęła energicznie podskakiwać, by wbić się w bryczesy tak obcisłe, że zdawało się, że zaraz wycisną wszystkie soki z jej ud. Do takich ubrań należało mieć figurę narkomanki, i to ćpającej od lat.

— Gillian — wysapała. — Gdyby Pan Bóg chciał, żebyśmy nosiły takie spodnie, to by nas nie wyposażył w organy wewnętrzne.

— Dyby Pambuk — przedrzeźniła ją Gillian, mówiąc przez nos. — Jak skończymy z ubraniem, zajmiemy się twoją mową.

— Ja nie potrafię mówić jak dama!

— To wcale nie takie trudne, przekonasz się. — Gillian popisywała się przed sprzedawczynią. — Teraz mówisz tak, jakbyś miała cały czas w ustach fiuta.

Blade policzki sprzedawczyni oblekły się ciemnym rumieńcem, kłócącym się ze stylem Couture-HeH's-Angel, pomarańczową kurtką nabijaną ćwiekami.

— To może ja pójde po kierowniczkę — zapowiedziała. Maddy właśnie udało się szczęśliwie wyzwolić z krepujących

ją bryczesów, kiedy kierowniczką, kobieta z grubo wytapetowanym obliczem bez wyrazu, odciągnęła energicznie kotarę, demonstrując wszystkim przechodniom na Bond Street Maddy w całej okazałości jej skąpego odzienia. Przełożona z miną kapo przyglądała się Maddy.

— O co chodzi? — zdziwiła się Maddy. — Niech pomyślę. Czy ja coś komuś zrobiłam?

— Tylko bez krzyków, proszę spuścić z tonu.

— Tak jak pani spuszcza z ceny? — odcięła się, rzucając w stronę Gillian rąbek idealnie obszytego szyfonu. — Nie widzę tu żadnej metki. To znaczy, że ta rzecz jest za darmo, zgadza się?

— Ta konkretna suknia wieczorowa kosztuje pięć tysięcy funtów.

— Pięć tysięcy funtów! — Maddy wykrzyknęła ze zgrozą otwierając oczy szerzej niż rozstaw wyłogów w modelowym żakiecie kierowniczką. — Pani chyba żartuje. Tyle wynosi zaliczka na dom!

— Nie w mojej dzielnicy — odparowała szefowa.

W szczękającej szybami gablocie za jej plecami rękawiczki zbierały się do rękoczynów. Pod nimi cały oddział pantofli na wysokich obcasach czekał na rozkaz wymarszu. Maddy nie wiedziała jeszcze, że w takich sklepach, niestety, o ceny trzeba pytać.

Personel sklepowy rozstawił się po bokach swej przełożonej, pobrzękując złowrogo ortodoncyjnymi łańcuszkami. Widok karty kredytowej Gillian przywołał jednak na ich usta wymuszone uśmiechy. Rzuciła zakupy na ladę

— długą obcisłą suknię z weluru i botki z materiału sięgające powyżej kolan, po czym zwróciła się do przycupniętej Maddy.

— Chodźmy do domu, to znajduję coś dla ciebie na piątkowy koktajl w Kensington Pałace. Tam będzie pełno mężczyzn w moim typie, przystojnych brunetów z odpowiednim kontem bankowym.

— Przestań, Gillian. Nie mam pojęcia, jak się rozmawia z takimi ludźmi. Nie wiem nawet, kim oni są.

— Damy sobie z tym radę. Wszystko jest u Debretta. Dam ci egzemplarz. Będiesz się mogła nauczyć na pamięć.

— U kogo? De... co?

— Debrett. Książka. Są w niej wymienieni wszyscy, którzy coś znaczą. Dowiesz się z niej, co mająj jaki jest ich rodowód.

— Gillian, w Australii ważne są rodowody owiec. Moja odpowiedź brzmi: nie.

— Jeszcze *Who 's Who*. leż ci się przyda.

— Dlaczego chcesz, żebym tam poszła?

— Ponieważ tam się może znaleźć jakiś QC^{*2}, który jest ci przeznaczony.

— A tak naprawdę?

— Potrzebuję współnika. Żeńskiej odmiany batmana. Kogoś, kto sprawdzi, czy przed udaniem się na bitwę mam wszystko w porządku: zęby, cycki, nos i szwy na łydkach.

— A prawdziwy powód? — nie ustępowała Maddy. Gillian zdjęła nakładkę z pędzelka do warg i podkreśliła linię

ust, trochę drżących od skrywanych emocji, co prawie się nie zdarzało.

— Prawdziwy powód? Starzy kumple odwracają się ode mnie jak od zadumionej. Słowo już nic nie znaczy. Nie dość, że musiałam odprawić szofera i służącą, to na domiar złego widziano mnie, jak w zeszłym tygodniu wychodziłam ze sklepu z używaną odzieżą modelową.

— No i?

— Weszłam tam z paczkami, a wyszłam z pustymi rękami.

² * *Queen's Counsel* — tytuł nadawany przez królową prawnikom wysokiej rangi w służbie państwowej.

— Jesteś splukana?

— Tatusz zostawił mi udziały w swojej firmie. Wtedy warte były pięćdziesiąt funtów za sztukę. Teraz, kiedy załamał się rynek nieruchomości, warte są pensa za sztukę. Żyję wyłącznie na kredyt.

— A Imelda?

— Znajoma z agencji aktorskiej.

— A ja się zastanawiałam, dlaczego zawsze znikła w porze zmywania. No a te bambetle?

— To inwestycja. Tak samo jak kurs gotowania. Część mojego posagu. Teraz już wiesz, dlaczego poluję na męża. — Ubrania z nadrukowanym safari dzikich zwierząt zniknęły w torbach. — I dlaczego jesteś mi potrzebna. Prawo dżungli wymaga, żeby się polowało parami, no i...

— I co? — nalegała Maddy.

Szkarłatne wargi Gillian ułożyły się w znajomy dziobek.

— I, spójrzmy prawdzie w oczy, Maddy. Jesteś za wysoka, żeby stanowić zagrożenie.

Maddy nie mogła stać się współniczką Gillian w pełnym wymiarze czasu. Alex miał wobec niej inne plany.

— Zobaczysz, będą się tobą zachwycali.

— Nie będą. Jak dla mnie, to za wysokie progi.

— Nie martw się. Wystaram ci się o przepustkę do wyższych sfer.

— Alex. Wcześniej skończyłam szkolną edukację. Czuję się, jakbym przypadkowo znalazła się na jakiejś obcej planecie intelektu. Klucz nasadkowy... — Spod należącego do Alexa lotusa elana wystawały tylko jej długie nogi. Podczas jego nieobecności sprawdziła świece, zwrotnice, przeguby, kondensator, rozdzielacz, wyregulowała pasek wentylatora i wyczyściła gaźnik.

— Właśnie to ich zachwyci. — Położył narzędzie, o które prosiła, na jej wyciągniętej dłoni. — Będiesz dla nich nowinką. Czymś świeżym. Maskotką. — Palcem u nogi połaskotał ją po brzuchu. — Niezwykła Australijka

oswojona przez londyńskie towarzystwo. To stało się już tradycją. Od pani Nellie Melby do pani Edny Everage, od Don Bradman do Germanie Greer...

Maddy sceptycznie westchnęła, po czym dokręciwszy sfatygowaną nakrętkę, wyczołgała się spod samochodu.

— Uwielbiam kobiety, które wiedzą, co się robi z tymi wszystkimi rurkami. — Przełożył ją przez chłodną karoserię, przykrył, bo była uwalana wypracowanym olejem, i wrzucił swoją seks-wajchę na czwarty bieg.

Maddy tęsknie patrzyła na znikającą w bocznym lusterku stację St Pancras. Zatrzymali się w Soho przed jakąś kiepską jadłodajnią z panoramicznym widokiem na kartony rozłożone przez bezdomnych na pobliskim skwerku. Maddy poczuła mdlący ucisk w żołądku, co zdarzało się podczas nurkowania z akwalungiem, kiedy schodziło się zbyt szybko.

Alex ścisnął jej dłoń.

— Jesteś bystra. Inteligentna. Po prostu bądź sobą, a oni oszaleją na twoim punkcie.

Maddy uśmiechnęła się blado. Zbliżający się wieczór był dla niej mniej więcej tym, czym byłoby oczekiwanie na osadzenie w tureckim więzieniu dla mężczyzn za szmuglowanie narkotyków.

Soirée

Kiedy pojawił się Alex, wszyscy zgromadzeni cofnęli się jak odpływająca fala, po czym z nieuniknionym impetem przyływu zagarnął go tłum wołający jednym głosem: „Jak się masz, kochanie!” Napierały na niego wszystkie znakomości i sławy Londynu. Maddy była olśniona. Własnym oczom nie wierzyła, że sławni angielscy pisarze, poeci, dramaturdzy i malarze znajdują się od niej na odległość trzymanej w ręce kanapki. Panowie nosili obowiązkowe czarne golfy, czasem ożywione plamą pastelowej zapinki lub muszką w technikolorze. Fryzury pań odsłaniały spiralne kolczyki przypominające kształtem spirale antykoncepcyjne dobre dla słonicy. Było też mnóstwo całowania — i to nie pojedyncze cmoknięcia w policzek, ale na rosyjską modłę, siarczyste i potrójne. Wystarczyło rozejrzeć się wokół, żeby zobaczyć ludzi z pierwszych stron gazet, bohaterów kolumn „Guardia-na” poświęconych sztuce. Konwersacja toczyła się wokół byłego bloku wschodniego.

— Dzięki Bogu za Rumunię! — (Maddy zaintrygowana nadstawiła ucha, licząc, że zaraz będzie się pławić w nurcie intelektualnej konwersacji). — Moja analityczka wynalazła wspomniała agencję, która przysyła rumuńskie *au pair* za czterdzieści funtów tygodniowo.

— Jeśli chodzi o rozpad Rosji — (Maddy znów zaczęła chcieć słuchać) — najsmutniejsze w tym jest to, że urwały się dostawy kawioru. Ta namiastka ikry, jaką teraz można dostać, to nic innego, jak tylko rybna marmolada, za którą trzeba słono płacić!

Następnie Maddy zwróciła uwagę na dwie panie, które od chwili, gdy tu weszła, biły sobie nawzajem pokłony.

— Tak, ja sama sprzątam. Nie mogłabym poprosić kobiety z klasy robotniczej, żeby wyszorowała moją miskę klozetową. Czasem, kiedy już naprawdę wpadam w rozpacz, dzwonię do agencji, ale zawsze zaznaczam, żeby przysłały Australijkę.

Do Maddy stojącej z rozdziawionymi ustami podszedł kelner i wręczył jej wysmukły kieliszek szampana. Bąbelki wyływały ku górze, szemrząc najnowsze płateczki. Alex otoczony wianuszkiem wybranych osób wsiąkł w

doborowe towarzystwo. Hermetyczny język, jakim się posługiwali członkowie ekskluzywnego klanu, odbierał Maddy mowę. Czuła się tak, jak niegdyś w szkole podstawowej w Rooty Hill, kiedy z powodu choroby opuściła lekcje, na których przerabiano dzielenie pisemne, i nigdy potem nie zdołała nadrobić tej zaległości.

Jej uwagę natomiast zwróciło głośne wejście mężczyzny, który się przedstawił jako Pierwszy Agent Literacki Londynu.

— Przepraszam za spóźnienie — oświadczył Bryce zgromadzonym. — Ale akurat miałem spotkanie z Melem... Brooksem. Omawialiśmy wspólne wakacje z Bernardem Bertoluccim. A potem musiałem na krótko zobaczyć się z Jeremym Ironsem w sprawie interesujących nas planów Davida Puttnama...

Urzeczona Maddy słuchała, jak szermował nazwiskami znakomitości. Facet mógł być mistrzem olimpijskim w rzucaniu sławnymi nazwiskami. Przez cały czas, kiedy mówił, jego rozbiegane oczka penetrowały salę w poszukiwaniu jeszcze ważniejszych osobistości. Był jak angielski bulterier, mały i czepliwy, przyuczony do tropienia królików i wyciągania ich z nor. Za jednym zamachem unicestwił Johna Bryana — łysiejącego fagasa z Teksasu i „finansowego doradcę” księżnej Yorku — za towarzyskie kariero wiczostwo. Zaraz potem chępił się spotkaniem z Agą Khanem.

— Ho, ho. — Maddy z udawaną przechwałką w głosie komentowała ten wieczór. — Żaden z moich znajomych nigdy nawet nie spadł z tak wysoka.

Pierwszy Agent Literacki Londynu przyglądał się jej krytycznie znad kolorowych oprawek okularów.

— Aha, Australijka. Wszyscy Australijczycy, których znałem, wykazywali całkowity brak wrażliwości.

Maddy oblała się szampanem.

— Australijka w Londynie. Ciekawy pomysł — zwrócił się jeden łysiejący fircyk z kolczykiem w uchu i kucykiem do drugiego łysiejącego fircyka z kolczykiem w uchu i kucykiem.

— Aha, to ty jesteś tą nową... przyjaciółką Alexa, nie mylę się? — Bryce zapytał pogardliwym tonem.

— No cóż, tak, skoro Juliette Binoche była zajęta...

— Kochani! — Kobieta w bateldresie, upstrzonym nadmiarem kłapek, kieszonek, pętelek i napów, z nadprogramowym paskiem i nikonem na szyi,

rozdawała całuski, na koniec przedstawiając się jako Sonia, producentka filmowa, szczególnie zainteresowana źródłami brutalności z feministycznego punktu widzenia.

— Po twojej opaleniznie powinienem się domyślić, że jesteś Australijką — dodał lekceważąco Pierwszy Agent Literacki Londynu. — W sferach towarzyskich opalenizna uchodzi za coś równie niestosownego jak upicie się do nieprzytomności. Należysz, moja kochana, do kategorii ludzi, którzy muszą usprawiedliwiać swój wygląd.

— Taką mam karnację — skłamała Maddy w nadziei, że może Bryce'owi zrobi się głupio. Ale nic nie mogło zburzyć jego niewzruszenie dobrego samopoczucia.

Tymczasem Sonia okazała Maddy zdwojone zainteresowanie.

— Oczywiście większość moich filmów — wyjaśniła ze słodkim uśmiechem — traktuje o tubylcach. — Przekrzywiła główkę i śledziła każde słowo, każdy ruch Maddy z podziwem, jakim obdarza się ludzi, którzy bohatercko przyjęli wiadomość, że właśnie stwierdzono u nich wyjątkowo paskudną odmianę raka. Wkrótce ujawniła przyczynę swej protekcyjnej uprzejmości. — Tak ci zazdroszczę! My, biali, mamy mniejszą zawartość pigmentu, co sprawia, że biologicznie jesteśmy mniej doskonali niż wy.

— Kiedyś znałem pewnego aborygena. Nawet miły facet, ale nie tak bystry jak miły — wtrącił oryginał rzucający nazwiskami. — Myślał, że na wystawie Poussina kupuje się francuskie kurczaki.

Odpowiedział mu śmiech zebranych.

Sonia szepnęła Maddy na uszko, że jej zdaniem, powinno się *zakazać* wyśmiewania z osób, które na to nie zasługują.

— Australia? — zapytał facet, którego przedstawiono jako Najzdolniejszego Brytyjskiego Poetę Końca Dwudziestego Wieku. Humphrey miał muskularną, sprężystą sylwetkę i zaciśnięte jak potrzask usta. Patrząc na niego z góry, Maddy mogła prześledzić skomplikowany układ pasma włosów, które nagarnięte na łysinę miały ją maskować. Nasunęło się jej skojarzenie z liśćmi winorośli, które zmuszano, by pięły się po kracie. — Czy to nie tam zsyłaliśmy morderców pochodzących z wyższych sfer?

Uwagę tę przyjęto z pełnym uznaniem chichotem. Pobyt w Anglii przypominał Maddy próbę zagrania w grę planszową w której brakowało instrukcji.

— Proszę? — zapytała. Obwąchiwano ją, jakby była korkiem od butelki podejrzanego wina. Nie wiedziała, dlaczego została zdyskwalifikowana — z powodu zawartości taniny czy też uznano, że za wcześnie na konsumpcję, bo jeszcze nie dojrzała. — Nie rozumiem — powiedziała zachrypniętym głosem.

— Lord Lucan. — Słowa te wypowiedziane zostały tonem nie znoszącym sprzeciwu, wwiercającym się w uszy; głosem, który bardziej pasował do rzućania słów takich jak „bydlak” albo „imbecyl”. Maddy zlokalizowała jego źródło. Kobieta przypominająca swoim wyglądem kij hokejowy podeszła do grupki osób, które po chwili otoczyły ją wianuszkami. — Dobrze jest pomyśleć — zagrzmiała — zanim się coś powie. Albo jeszcze lepiej poczytać, zanim się pomyśli. To dobra rada dla przybyszów — zawyrokowała.

— Harry! — Zgromadzeni natychmiast zmienili szyki jak bakterie pod mikroskopem. W jednej chwili Maddy ją rozpoznała. Od trzech dziesięcioleci działała jak zdalnie kierowana rakietą o znaczeniu strategicznym, wymierzona w mężczyzn, by ich zniszczyć. Profesor Harriet Fielding potrafiła zrobić dobry użytek z chromosomu Y, który otrzymała około pięćdziesięciu lat temu.

Uśmiech, z jakim zwróciła się do Maddy, przylegał do jej twarzy jak przypięta broszka.

— Któż to jest? — zapytała, kręcąc przy tym głową, jakby chciała się wyzwolić z niewidocznego jarzma.

— Madeline Wolfe. — Czekala, az Harriet sama zechce sie przedstawic. Ale nie zechciala.

— A kim pani jest? — w koncu zapytala Maddy, robiac wyłom w przekonaniu tej kobiety, ze kazdy powinien ja znac. Zebrani wymienili porozumiewawcze usmieszki. Byli zimni, niedostepni i nieobliczalni, jak gora lodowa. Nie wiadomo, co moglo sie kryc pod ich gladka powierzchnia.

— Profesor Harriet Fielding — odrzekla wyniosle, uprzedzajac dalsze pytania. — Czym sie zajmujesz?

— Otóz... — Maddy ostroznie lawirowala wsród lodowej kry swoich rozmowców — ...prawde mówiac, trenuje, by zostac Angolką. Alex ma mi znalezc po drodze jakies zajecie, w charakterze wyciagacza pijawek z zaatakowanych lydek, moze przynety na lwa albo cos w tym rodzaju. — Maddy odczekala, az Harriet sama powie, co robi. Ale sie nie doczekala. — A co pani robi? — zapytala z niewinna miną.

Harriet juz nie promieniala, za to jej twarz stala sie jeszcze bardziej lodowata.

— Uwielbiam Alexandra... Szczególnie za te jego zdolnosc zadawania sie z kim popadnie.

Maddy byla zdruzgotana. Trafiona, zatopiona. Poszla na dno jak „Titanic”. Pograzyla sie w arktycznych wodach. Ratunek nadszedl ze strony Alexa. Uchwycila sie go jak kamizelki ratunkowej.

— Poznalicie juz Madeline? — Pogladzil japo wlosach. — Moja Boadicee z wybrzeza Bondi? — Objal ja teraz w pasie. — Maddy, to Harriet, moja stara przyjaciolka... To Humphrey, podobno swietny pisarz... Chociaz, o ile mi wiadomo, jedyne, co nawypisywal, to czeki bez pokrycia. Bryce, znany londyński agent literacki. Chociaz od lat podkrada moje dialogi. Sonia, Ekoterrozystka, Królowa Utylizacji Odpadów i Towarzyszka Zycia Swiatowej Slawy Gwiazdora Rockowego...

— O Alexandrze! — rozpromienila sie Harriet, wladczym gestem biorac go pod reke. — Masz uroczą praktykantkę. A teraz musisz mi opowiedziec o tych przemytnikach kości sloniowej. Zlapales ich na goracym uczynku? — To mówiac, wymanewrowala go w strone stołu, który stal na srodku pokoju o ścianach wyložonych dębowa boazeria. Równie zrecznie poradzila sobie z łokciem Maddy, wypychajac go na dalsze pozycje. Kelner wskazal jej miejsce

między Bryce'em a Humphreym. Siedzieli po jej bokach z ponurymi minami. Maddy wpadła w minorowy nastrój. Próbowwała wzrokiem odszukać Alexa wśród falujących głów, które bez przerwy wskakiwały w jej pole widzenia. Towarzystwo przy jego stoliku raczej się słyszało, niż widziało. Na tego typu przyjęciach jest niemal regułą, że przy sąsiednich stolikach ludzie chrypną od nieustannego śmiechu, podczas gdy ty siedzisz, mając po jednej stronie posępnego radcę cierpiącego na hemoroidy, po drugiej świeżego rozwodnika, gotowego opowiedzieć ci „całą prawdę, jak to było”, a naprzeciwko kogoś, kto wykonuje niesłychanie ważne zadania w kanalizacji.

— Koneser — mruknęła do pieprzniczki wielkości gaśnicy. Z prawej strony Humphrey pochłaniał kolację. Pod względem

manier przy stole Henryk VIII w porównaniu z nim wypadłby blade. Maddy rozważała możliwość wdania się z nim w jakąś rozmowę, ale podniósł głowę znad talerza jedynie wtedy, gdy dziennikarka ukryta za butelką wody wystąpiła z podniosłym apelem o pomoc dla bezdomnych.

— Tak jest, jak najbardziej — poparł ją, zatapiając siekacze w udźcu baranim.

Z lewej strony granicę towarzyskiej Syberii wyznaczała łopatka Bryce'a, przez cały czas odwróconego do niej plecami. Mogłaby na pamięć nauczyć się rozpoznawać jego marynarkę od Ozbeka: jej splot, kolor kratki, a także muskulaturę ciała, które opinała. Nie skorzystawszy z tej szansy, zaczęła obserwować pozostałych biesiadników. Mężczyźni z mizernym owłosieniem i w lnianych garniturach przypominali jej postaci z książki *Brideshead Revisited*. Nie zwracali na nią najmniejszej uwagi, przekrzykując się przez stół, by wymienić między sobą beznadziejne uwagi.

— Moja następna powieść to będzie bestseller — ryczał jeden. — Zatytułuję ją *Pieprzyć Koran*.

— W gruncie rzeczy moja biografia Billa Clintona jest jak autobiografia — ryczał drugi. — Mnie samego zdumiewa, ile mamy ze sobą wspólnego. Wiesz, że byliśmy na jednym roku w Oksfordzie?

Wszystkie kobiety miały kościstą budowę, czarne suknie i w ogóle się nie odzywały. Z wyjątkiem Soni, która zafundowała zebrany obowiązkowy przegląd swojej ideologii wyrażonej ubraniem — spodnie z bawełny uprawianej metodą organiczną i wolną od chemikaliów; koszula ufarbowana barwni-

kami roślinnymi, guziki z tropikalnych orzechów i przetworzanego szkła, kolczyki i pasek utkane z włosów mieszkanki Trzeciego Świata. — Nie tylko lepsze od jedwabiu — entuzjasmowała się weganka mody — ale pochodzą od ludzi, których nie hoduje się na farmach specjalizujących się w produkcji włosów.

Jej sławny mąż siedział obok niej, raz po raz opróżniając kielich wina. Maddy nie mogła uwierzyć, że przebywa w towarzystwie Światowej Sławy Gwiazdora Rockowego, jednego z największych na świecie. Był dobrem narodowym. To tak jakby jeść kolację z Elginem Marblesem. Idol jednak milczał jak głaz.

Nie widząc innej możliwości, spróbowała skusić Humphreya gotowym zestawem pytań.

- Żadnych rozmówek towarzyskich — burknął w odpowiedzi.
- Dobrze, to może poważniejsza rozmowa? Na przykład o polityce?
- Nie interesuje mnie to.
- Literatura.
- Nie interesuje mnie.
- Gwiazdy krążące wokół Ziemi czy inne niewytłumaczalne zjawiska?
- Nie interesują mnie.

Maddy zauważyła, że jego cera ma kolor sera, który właśnie spożywał,

— W takim razie nie mamy o czym mówić. Humphrey włożył okulary, których czarne druciane oprawki

brały w nawias wielkie płyty jego uszu. Popatrzył na nią znad szkieł.

— Nie, kurwa, nie mamy.

Pociągnęła łyk szampana. Był ciepły i bez bąbelków.

— Jesteś bardzo dorosły — powiedziała wiedziona jakimś rozpaczliwym impulsem.

Oczy Humphreya zwięzły się jak szparki.

— W jakim sensie?! — wrzasnął. — Możesz mi to wyjaśnić? Maddy raptem poczuła się strasznie nieinteligentna, stanowczo za wysoka i zupełnie nie na miejscu.

— Hmm...

Uratowało ją pojawienie się nieślubnej towarzyszkii życia Bryce^, Imogen Bliss, jasnowłosej ADM (Aktorki-Dawniej-Modelki), z dzieckiem w stroju

indiańskim na rękę, przytulonym do jej obfitej piersi obleczonej w ciuszki najlepszych marek. Imogen należała do tych angielskich piękności, przy których każda inna kobieta czuje się jak szara torba wypełniona płatkami owsianymi. Nawet bez makijażu mają one wszystko to, o czym inne tylko marzą. A jednak robiła wrażenie plastikowej lalki. Do tego stopnia, że Maddy miała ochotę ściągnąć jej majtki i sprawdzić, czy ona w ogóle ma jakieś narządy płciowe. Imogen Bliss przeważnie rozkładała się na kanapach psychoterapeutów albo pod reżyserami. Takie kobiety nigdy nie musiały się martwić, co mają sądzić na jakiś temat, bo nie myślały w ogóle. Uważały, że wszyscy mężczyźni do nich należą. Uśmiechały się miło, słysząc dowcipy, których nie rozumiały, i przekrzywiając główkę na bok w geście pilnej uwagi. Maddy podejrzewała, że Anglicy nabierali się na to, odczytując bezmyślność jako tajemniczość, intrygującą zagadkowość. Jeśli zaś chodzi o rodzaj męski tego gatunku, to Imogen Bliss uważała, że każdy jego przedstawiciel powinien bez wahania rzucać dla niej wszystko. I to natychmiast.

Wszyscy faceci, jak na komendę, z Humphreym na czele, zerwali się na równe nogi (dobrze obute), by złożyć czołobitny ukłon niczym w sali tronowej, po czym znów zajęli się sobą, rechocząc z kiepskich dowcipów i płaskich anegdot.

Humphrey, którego wkład w konwersację przy stole sprowadzał się do analizy brzmienia pentametry i aleksandryny u Homera i Wergiliusza, teraz zachwycony słuchał, jak Imogen klasyfikuje letnie kurorty pod względem wyposażenia w toalety. Maddy opadła na krzesło, nie wierząc własnym uszom. To nie były już tylko rozmowy na błahe tematy, to były rozmowy o niczym.

— Właśnie brałam udział w produkcji dla Kanału 4. — Imogen udzieliła odpowiedzi na entuzjastyczne pytania dotychczas milczącego jak głąz gwiazdora rocka. — Jakiś czarny gość też w tym brał udział.

— Otello? — podsunął Humphrey.

— O, właśnie! — Za każdym razem, kiedy zakładała nogę na nogę, jej minispódniczka z lycry podjeżdżała do talii. — W wersji Kena Russella.

Maddy poczuła, że wewnętrznie się skręca. Była pewna, że zaraz zniszczy Imogen w taki sam sposób, jak to zrobili z nią. Ale ich wargi cmokały zgodnie, dając rytmiczny podkład jej paplaninie: „Naprawdę?“, „Fascynujące!“

Sonia, co u niej niezwykle, siedziała spokojnie na miejscu. Odsunęła talerz. Jedyne, co jadła, to skórki od paznokci, które żuła z apetytem, po czym zerwała się, by pobiec do toalety.

Aktorka-Dawniej -Modelka poskrobała paluszkami w dłoń Humphreya.

— Jestem taka uradowana, że się poznaliśmy. — Humphrey rozprostował ramiona, skłonił głowę i wyciągnął szyję, bardziej niż zazwyczaj pozując na kogoś, kto postanowił zostać znacznikiem pocztowym. — Taka jestem przejęta, że poznaję autora *Czekając na Godota*.

Tego jej nie darują, pomyślała Maddy, teraz się do niej dobiórą. Ale nic się nie zdarzyło. Żadnego parsknięcia. Wokół same uśmiechy. Humphrey skwitował pomyłkę nieznacznym uniesieniem brwi, jakby taki lapsus był całkowicie usprawiedliwiony.

— A potem jestem już umówiona na następną sztukę opartą na *My Fair Lady*. — Wystudiuowanym przed tysiącem luster gestem potrząsnęła swą sztywną jak beza kopułą włosów w kolorze zablonego karmelu.

Humphrey nappełnił jej kieliszek szampanem.

— *Pigmalion!*

Maddy podstawiła też swój kieliszek, ale pozostał pusty.

— O tak — przystąpił do rozwijania tematu. — Jest to błyskotliwe oskarżenie brytyjskiego systemu klasowego. — Nieoczekiwanie dotychczas pan Skwaszony zaczął wydzielać tyle wazeliny, ile wytwarza się w całej Arabii Saudyjskiej.

Eteryczna aktoreczka popatrzyła na niego zdumiona.

— System klasowy? W Brytanii? Nigdy nie zauważyłam żadnego systemu klasowego.

Maddy czekała, aż ktoś, wszystko jedno kto, przejedzie się po tej kobiecie. Zdrucgocze ją buldożerem na aksamitnych kołach, tak jak przed chwilą ją samą starli na pył. Ale panowie kiwali tylko głowami z minami pełnymi szuncunku, jakby mieli przed sobą kruchy a cenny przedmiot. Można by ich rozsmarować jak masło. Sonia wróciła z toalety pobladła, lekko zalatywało od niej wymiocinami.

Hamulce puściły i Maddy straciła panowanie.

— Bo jesteś cholerną idiotką — wypaliła. — A gdyby nie twoja pieprzona uroda, powiedziałby ci to każdy kandydat do dorocznej Nagrody Kiepskich Roku.

Humphrey popatrzył na nią przez ułamek sekundy i postanowił obrócić to w żart.

— Australijczycy... — powiedział wyrozumiałym tonem. — Co za świeżość...

Ledwo Maddy skończyła mówić, a już zaczęła żalować swego frontalnego ataku na boginię seksu. Przecież to mężczyźni powinni być celem tego ataku. Tak, ci faceci, którzy tyle opowiadali o działaniach wspierających i o trosce o dziecko, uważali, by na wszelki wypadek nie używać słów takich jak „szczaw" czy „wymachuje", mogli jednocześnie snuć bezwstydną rojenia, by przebrać ją w szkolny mundurek i wydupczyć to głupiątko. Ale Imogen okazała się skutecznie zaimpregnowana na takie ataki.

— Uwielbiam twój akcent — wyznała, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do Maddy.

— Tam, gdzie mieszkam, wszyscy mówią z tym akcentem — odrzekła ponuro.

Imogen przekazała Bryce'owi do rąk jego syna i dziedzicę.. Przerzuciwszy go sobie bezceremonialnie przez ramię, zaczął informować zgromadzenie o urokach płynących z ojcostwa. Kocha tego szkraba. Kocha go również wtedy, gdy mały płacze. Kocha nawet jego gówienka. Organizery, przenośne telefony, porsche, kokaina, to wszystko było w służbie pokazowego dzieciątka. Sonia, która odzyskała humor jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, chwyciła za swojego nikon.

— Żadnych zdjęć! — oświadczył Bryce, zasłaniając buzię dziecka.

— Dlaczego? — zapytała zaskoczona Sonia, posłusznie opuszczając aparat.

Bryce popatrzył na nią, jakby była opóźniona w rozwoju.

— A kidnaperzy?!

Po kawie i herbacie Maddy poczyniła przygotowania do wielkiej ucieczki.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał Humphrey, wciąż się opychając. Mogła mu zajrzeć do wnętrza ust jak do otwartej pralki, domagającej się napełnienia. — Zaraz nastąpi poważna część wieczoru.

Tak jakby pierwsza część wieczoru obfitowała w same gry i zabawy, pomyślała Maddy. Zanim rozpoczął się zapowiadany wykład na temat szkodliwego wpływu torysów na BBC World Service, Maddy odczuwała już znacznie mniejszy respekt przed znaczącymi londyńskimi dramatopisarzami, poetami, malarzami, twórcami filmów i dziennikarzami. Kobiety w sukniach koktajlowych, wykończonych pretensjonalnymi aplikacjami, czytelniczki „Solidarity” i „Workers Unite”; mężczyźni w pomiętych surdutach, mających wywoływać skojarzenia z domami opieki, gdyby nie widoczne z bliska metki Jeana Paula Gaultiera; wszyscy oni słuchali wykładu z minami wieszczącymi nabożne skupienie. Zdaniem Maddy jednak ich zatroskanie losami biednych mieszkańców tej planety było mniej więcej tak samo autentyczne jak kolor włosów ADM.

Kiedy już omówiono program następnego spotkania, Maddy mogła się wreszcie wyrwać z Alexem na świeże powietrze. Na ulicy minęli Bryce'a. Chodził nerwowo tam i z powrotem, trzymając na odległość wyciągniętych ramion, z dala od zaplamionej mlekiem marynarki od Ozbeka, wrzeszczące dziecko. Pojawiła się Imogen jak łabędź wypływający na środek jeziora, zwinna, o smukłej szyi, z ustami podkreślonymi czerwoną szminką.

— Już jestem! — zawołała rozpromieniona.

— Akurat, kurwa, w porę — odezwał się Ojciec Roku, wciskając okutane, skrzeczące zawiniątko matce.

Kiedy szcześnie zamykane drzwi lotusa, Maddy mogła dać upust powściąganym emocjom.

— Rany boskie! — zawołała. — Nigdy w życiu nie widziałam tylu bufonów! Zadzierają nosa, poniżają mnie, a ja jestem wyższa od nich wszystkich! Przerastam ich! Przy stole ten dupek, co siedział po mojej lewej stronie, ten agenciak, zapytał, na jaki uniwersytet chodziłam. Powiedziałam mu, że jedyne, co wyniosłam ze szkoły, to wyrazić bekaniem „Boże, zachowaj królową”.

— Mam nadzieję, że mu to zademonstrowałaś — powiedział bez przekonania Alex.

— A żebyś wiedział, że tak!

Alex zaśmiał się przeciągle. Auto podskoczyło na wybojach, rzucając Maddy na Alexa.

— Możesz się nim nie przejmować. Bryce uzyskał absolutorium na wydziale klasycznym w Oksfordzie i nie przepuści żadnej okazji do przechwałek. — Pocieszającym gestem poklepał ją po udzie, chociaż to on wyglądał na speszzonego.

— Z czego zrobił specjalizację? Z najwyższego stopnia zniżania się?... A ta kobieta... Ta twoja stara przyjaciółka...

— Harriet? Oj, ona wszystkich nienawidzi i wszyscy jej nienawidzą. Lady Fielding mądrze by uczyniła, gdyby wszędzie zabierała ze sobą oficjalnego kiperą, który by przed nią próbował wszystko, co się jej podaje. — Przysunął się do Maddy, tak że mógł zahaczyć wskazującym palcem o gumkę jej majtek.

— I ten sam autor, ten z szelkami, który napisał o rozmówkach towarzyskich, zaczął rozwodzić się na temat najgorszych na świecie toalet, ze szczególnym uwzględnieniem dziur, nad którymi się przykuca w Kalkucie. Potem już wszyscy porównują wychodki. Oczywiście rzecz się dzieje przy jedzeniu...

— Z szelkami? — Alex zjechał w zaułek oznaczony jako ślepa ulica, tuż za King Cross. Żwirowa dróżka na chwilę stała się widoczna w świetle reflektorów. Zgasił silnik. — O, mówisz o Humphreyu. Może się jedynie poszczyścić krótkim pobytym w katolickim szpitalu z powodu stanu zapalnego odbytu. Podczas operacji lekarz wyciągnął mu stamtąd tipsa, wiesz, taki sztuczny paznokciec polakierowany na czerwono. Nie muszą dodawać, że nie stał się przez to ulubieńcem sióstr. Od tej pory ma hyzia na punkcie odbytu i spraw z nim związanych.

— Co ty powiesz? — Maddy roześmiała się z przymusem. — Cały problem w tym — dodała z nutą skargi w głosie — że próbowałam się z nimi porozumieć. Naprawdę się starałam.

— Nie ma w tym twojej winy, skarbie. Jak twierdzi Harriet, być Australijką jest tak samo *pasze*, jak być byłym ministrem z gabinetu sandinistów... Bryce sugerował, żebym sobie znalazł Mulatkę, córkę politycznego uchodźcy z Dolnej Wolty. Najlepiej taką, która ledwo uszła z życiem z nieudanego zamachu zorganizowanego przez jakiegoś chwackiego porucznika kierującego obecnie rządem. Albo jakąś zakamuflowaną Kanadyjkę.

— Kanadyjkę?! Chyba nie mówisz tego poważnie!

— Oczywiście. Humphrey powiada, że nagle stały się niezmiernie popularne.

— A może... może powinieneś znaleźć sobie nowych przyjaciół?

— Wiesz, w gruncie rzeczy to nie są źli ludzie. Tylko nieufni wobec nowych. — Maddy wyczuła, że mówi to bardziej, by przekonać samego siebie. — Może uznali, że jesteś trochę za bardzo... — odpiął jej pasy bezpieczeństwa — ...spontaniczna. Dla nas, Anglików, każde okazywanie uczuć jest czymś w rodzaju ekshibicjonizmu.

— Ekshibicjonizmu! Ci ludzie okrzyknęliby cię ekshibicjonistą za, bo ja wiem... noszenie butów bez skarpetek. O Jezu! I to mają być pieprzeni lewicowcy!

Alex uśmiechnął się blado.

— Uwielbiam, jak świntuszysz. — Jeden ruch ręki w przegubie, a fotel pasażera rozkładał się posłusznie. Już trzeci raz w ciągu tygodnia kochali się w samochodzie. Maddy miała już chyba na stałe odcisniętą na plecach kierownicę. W latach dziewięćdziesiątych ludzie zastanawiali się, jak uniknąć ryzyka, jakie niosły kontakty seksualne. Jej natomiast najbardziej niebezpieczna wydawała się zbytnia bliskość dźwigni zmiany biegów. — Polubią cię — obiecał niepewnie.

Perspektywa ta nie wydawała jej się szczególnie nęcąca.

— Może jakbyś spuściła troszkę z tonu... To znaczy byłoby lepiej, gdybyś nie pytała Harriet, co ona robi.

— Najmocniej przepraszam panią profesor. W przyszłości spróbuję być bardziej wyrafinowana.

— Uch! — Alex wyrznął głową w lusterko wsteczne, kiedy usiłował wciągnąć Maddy na siebie. — Oni mają swoje zalety, przekonasz się.

— Aha! — skwitowała jego obietnicę, usiłując jednocześnie oprzeć się łokciami o deskę rozdzielczą tak, aby nie włączać świateł awaryjnych, nie nacisnąć klaksonu ani nie wywalić całej zawartości popielniczki na podłogę. — Jeśli się lubi jadowite zmięje.

Gdy tylko weszła do domu, natychmiast rzuciła się do telefonu, żeby zadzwonić do Gillian. Polowanie na lisy nie mogło być bardziej brutalnym sportem niż obiad z artystyczno-inteligenckimi sferami Londynu.

Pieszczoszki

Maddy wyobrażała sobie, że poznając Londyn, zobaczy wszystkie te domy i mosty, które pamiętała z plastikowych podkładek pod filiżanki u cioci i z obrazków na blaszanych pudełkach, w które pakowano herbatniki. Tymczasem przelotne obrazy, które utrwały jej się w ciągu kilku miesięcy przerzucania się z jednego końca towarzyskiego spektrum na drugi, były zupełnie odmiennie niż te, których się spodziewała.

Do tej pory myślała, że określenie „sezon” funkcjonuje jedynie w odniesieniu do pór roku oraz godów u zwierząt. A tu nie. Ascot, Henley, Wimbledon, rzeź bażantów w Szkocji... „Sezon” oznacza w Anglii okres, kiedy bogaci Brytyjczycy kojarzą się w pary. Na zawodach polo sponsorowanych przez Cartiera poznała dwie dziewczyny w spodniach do jazdy konnej, za to bez kucyków, o imionach Lucinda i Lavinia. „Bliźniaczki”, nazwała je Gillian, bo chodziły zawsze w jednakowych zestawach ubrań. Mimo braku umiejętności jeździeckich bardzo pasowały do otoczenia. Kolejnym panom jadały z ręki, potrafiły też ze słodkimi minami, jakby chrupały kostki cukru, konwersować o zarobkach dżentelmenów i ich wiejskich posiadłościach.

Alex nie miał czasu na śledzenie rozgrywek. Jego zdaniem polo to nic innego jak ping-pong na koniach. Na spotkaniach z okazji założenia funduszu charytatywnego Charter 88, na które ją zabrał, wszyscy poznani ludzie byli w trakcie albo jakichś kursów uniwersyteckich, albo szukania rozwiązania hasel krzyżówki w „The Times”. Byli to sympatycy sławnych ludzi, z aktorami komediowymi włącznie, których przedstawiono jako pravicowców, gwiazdy pop o rozbudzonej świadomości społecznej oraz producenci filmików, które Maddy określała mianem „podwieczorków filmowych”.

Gillian nie miała czasu dla Alexa i jego „porschowników postępu”, którzy jej zdaniem byli równie skuteczni jak cała półka koszulek z nadrukiem „Uwolnić Nelsona Mandelę”. Za to zabrała ze sobą Maddy na ostatnie w tym

sezonie polowanie na lisy. Po całodziennych obserwacji zabiegów Gillian, goniącej niezmordowanie za najbogatszym dostępnym psem Wielkiej Brytanii, przyszło jej do głowy, że jeśli zwierzyzna chce ochronić najbardziej narażone, a bezbronne egzemplarze, powinna objąć szczególną ochroną dzianych kawalerów. Prawdę mówiąc, oni sami powinni założyć własną ligę przeciw polującym na męża.

Alex nie chciał wysłuchiwać opowieści o tym, że w kategoriach seksu Gillian osiągnęła status oznaczany na niebiesko*³. Jego zdaniem dyskwalifikowało ją traktowanie lunchu jako powołania. Sami właśnie jechali na lunch do Soni i gwiazdy pop wyrobionej społecznie. Sonia była rzeczniczką praw zwierząt, uznali więc, że lepiej będzie, jeśli drobny incydent Maddy z polowaniem na lisy zachowają dla siebie.

Już u wejścia zaskoczył ją widok brazylijskiego Indianina z talerzykiem zwisającym u dolnej wargi. Żeby tylko był to talerzyk. Wyglądało, jakby obnosił się z całym serwisem obiadowym. Obiecując modlić się do Boga Drzewa, Brazylijczyk wyrwał rosnący za domem rododendron, żeby zbudować „rozkoszną chatkę” w kształcie igloo.

Pomysł ten spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem ze strony Gwiazdora Pop Wyrobionego Społecznie, którego nie trzeba było specjalnie zachęcać, by rozebrał się do swych workowatych portek lansowanych przez Calvina Kleina. Entuzjazm Soni też był zrozumiały. W końcu była to kobieta, dla której rośliny domowe były „botanicznymi przyjaciółmi”.

Maddy zaofiarowała się zaczekać na jedzenie na wynos.

Rozneglizowani, za to pokryci głównie gęsią skórą, wszyscy razem zniknęli w prowizorycznym szałasie na resztę popołudnia, wynurzając się stamtąd z zaczerwienionymi od dymu oczami tylko po to, by wrzucić coś na ruszt.

Na balach debutantek Gillian przedstawiła jej kobiety, które musiały spędzić większość swoich młodych lat pod maseczkami z jogurtu i płatków

³ * Blue — określenie zakazanego seksu, pornografia; stosuje się na określanie na przykład filmów wyświetlanych w specjalnych kinach lub klubach.

owsianych, i wyglądało na to, że resztę życia spędzą pod Marmaduke-Davenport's i Hickson-Smythes. Dla Maddy Anglia jawiła się jako jedna wielka szkoła; wszyscy, których spotykała Gillian, znali się od młodych lat.

Na jednym z takich bali Maddy znalazła sobie towarzystwo dwóch bufonowatych paparazzi, na urlopie od Lady Di. Żeby jakoś zbliżyć się do ludzi, Maddy przyznała się współbiedniakom, że nie rozumie całego tego hałasu o bandę rzeźmieszków z tytułami baronów, która wparowała z Billym Zdobycwą, wpakowała wszystkich Angoli do feudalnych obozów koncentracyjnych, by potem przez następne parę wieków leżeć do góry brzuchem i obrastać w piórka. Po takim wyznaniu wszyscy od niej odskoczyli, jakby rozsiewała zarazki syfilisu.

Mając do wyboru: skupić się na spotkaniu, na którym Alex na scenie wyпитыwany był o przyczyny zanikania brytyjskich torfowisk, albo wysłuchać odczytu na temat: „Wrastanie paznokci u nóg — przyczyny i zapobieganie”, Maddy raz jeszcze podjęła próbę nawiązania przyjaźni.

Oddzielony od niej tacą z wyschniętymi kanapkami i ciepłym winem indonezyjski dysydent robił jej wykład o szkodliwości wpływu „północocentryzmu”. Jak się okazało, kryło się za tym przekonanie o bezwzględnej wyższości kultury zrodzonej na północy. Jako Australijka Maddy znalazła się w mniejszości zepchniętej na margines, wydziedziczonej i uciskanej przez dominującą kulturę.

Mimo to Maddy podobała się Anglia i angielska kultura, o czym nieśmiało wspominała. Jej świadomość kształtowali: George Eliot, Johnny Rotten*⁴, Piotruś Pan, Monty Pyton*⁵.

— Już zostałam uciśnięta — zażartowała, ale w rezultacie usłyszała od maoryskiego separatysty-okularnika, że jej iloraz inteligencji jest na poziomie nogi stołowej.

Przyjaciele Alexa i Gillian bardzo się różnili od siebie, ale w pewnym sensie tańczyli na jedną i tę samą melodię. Był to rodzaj tańca towarzyskiego, w

⁴ * *Johnny Rotten* — członek zespołu „*Sex Pistols*”.

⁵ * *Monty Pyton* — popularny w Anglii program telewizyjny o charakterze skandalizująco-komediowym.

którym krążąc po pokoju, trzeba było machać do jak największej liczby osób. A jeszcze lepiej — jeśli to do ciebie machano. Jednak ktokolwiek brał ją do tańca, natychmiast myliła krok. Życie w Anglii robiło wrażenie nie kończącego się przyjęcia urodzinowego, urządzanego u coraz to innej osoby.

Maddy odrzuciła zaproszenie Gillian na rozgrywki Wimbledonu, nawet o nich nie wspominając Alexowi. Dla niego, kibica Arsenalu, Wimbledon był zanadto elitarny. Podobnie jak krykiet, było to miejsce przeznaczone dla mężczyzn, którzy każą krochmalić swoje koszule. Ponadto impreza wypadła akurat w rzadko zdarzającym się dniu wolnym od filmowania. Maddy zdążyła już zapakować koszyk z prowiantem, wybrać tomiki poezji miłosnej i opracować listę zacisznych londyńskich klozetów, kiedy Alex przypomniał sobie o spotkaniu w klubie sterników. Maddy pomyślała wtedy, że Alex ma więcej klubów sterników niż admirał. Po prostu całą flotę.

— W którym z kolei państwie Ameryki Południowej tym razem przebywa Alex? — zakpiła Gillian, przepychając się przez tłum ludzi, którzy od tygodnia stali w kolejce, by kupić bilety na główne korty, i wcale nie zbliżyli się do celu. — On mi przypomina potwora z Loch Ness... Widziano go gdzieś, ale nadal nie ma dowodów na jego istnienie. W takim razie możesz iść oglądać tenis.

— Alex ma o tym nie wiedzieć. — Maddy musiała podnieść głos, by przekrzyczeć grupę anarchistów, którzy protestowali przeciwko torysom dlatego, że udzielili Murdochowi wyłącznych praw do bezpośredniej transmisji telewizyjnej z turnieju. — Alex nie lubi, jak się miesza z tłumem.

Gdy tylko przekroczyły bramę, Gillian zręcznie wyminęła umundurowanego strażnika, kierując się wprost na służbowe pole namiotowe przygotowane przez organizatorów dla honorowych gości. Było to całe miasteczko namiotowe dla lepszej klienteli. Wielkie namioty, utrzymane w tonacji złota i beżu, sponsorowane przez banki, sieci telewizyjne i wyłącznych dostawców sieci barów przy autostradach, wyrastały na trawnikach jak ogromne cytrynowe bezy.

— Czuję, że pachnie tu mężem — szepnęła Gillian. Odwróciła się do Maddy i zaprezentowała swój panoramiczny uśmiech. — Jak zęby?

Maddy sprawdziła, czy nie ukrywają resztek śniadania i nie noszą śladów szminki.

— W porządku.

— A cycki? — Po uważnej lustracji Maddy zapuściła rękę za dekolt Gillian, by odrobinę poprawić zawartość lewej miseczki. Gdy sprawdzała rezultat poprawki, Gillian znów zwróciła się twarzą do niej w celu dalszej inspekcji. — Nos?

— Czyściutki.

— Pończochy? — Obróciła się raz w jedną, raz w drugą stronę, by Maddy mogła ocenić przebieg linii szwów przez jej łydki, zanim obie wyruszą po wyznaczonych na porośniętym trawą boisku do krykieta pasach, wiodących do namiotu dla gości Sky TV.

Już w progu wyłożonym czerwonym dywanem wciśnięto im w ręce wysmakłe kieliszki z szampanem i ozdobne kanapeczki. Ogarnął je duszący zapach płynu po goleniu używanego przez telewizyjnych bonzów, których trudno było zlokalizować. W namiocie tłoczyli się bywalcy zazwyczaj uświetniający tego typu imprezy — bramkarz zespołu Chelsea, kobieta reprezentująca dział ogłoszeń „Damskiej Higieny”, wszechobecny David Frost, kilku potentatów przemysłowych, mężczyźni, którzy wycisnęli miliony ze skórek od salami i noszenia piłek — ludzie z rodzaju tych, którzy co roku rozprawdzają kartki świąteczne ze zdjęciami zupełnie obcych im dzieci — oraz były dyktator jakiejś porośniętej puszczy republiki. Mężczyźni prezentowali mocne szczęki, kobiety — biżuterię. Jakby się weszło do otwartego sezamu w świecie bogactwa.

Faceci zgromadzili się wokół monitora, na którym Monica Seles stękała i prychała, dochodząc do kulminacji meczu.

— Chrystusie. Ta ma krzepę — zapluł się gość, tak że gruda bigosu wylądowała mu na klapie. — Co za uda, same mięśnie. Mogłaby nimi zabić chłopca.

— Zamknij oczy, a zobaczysz ją w swoim łóżku. Uwielbiam głośne laski. — Zachowywali się jak lumpy pod budką z piwem, choć wlewali w siebie nie piwsko, ale najlepsze szampany.

— Sam się lubię opierdalać — wyznał dziobaty i brzuchaty członek zarządu Sky z wymową ciężką jak cios karate. W poszukiwaniu jeszcze większych

dzikusów stary Rupert ścigał teraz niemal wyłącznie południowych Afrykanów.

— Miałbyś ochotę na małe bzykanko z tą małą? — włączył się jego gość, dziwadło bez brody, za to pod krawatem. Obserwując, jak je, Maddy zrozumiała wreszcie, dlaczego klasa wyższa wykształciła u siebie profil z cofniętą brodą. Podczas gdy inni musieli wycierać zatłuszczone okolice ust, przedstawicielom wyższych sfer tłuszcz z homara skapywał wprost na podłogę.

Za nimi siedziały kobiety, których szyje spowijały koronki. Z posępną determinacją miażdżyły ciastka, czego dowodem były okruchy przyklejone do ich lepkich od blad różowej szminki ust. Twarze otynkowane od fundamentów, palce zaoczkiwane pierścieniami, stopy wciśnięte w za ciasne trzewiki, z nad których wylewały się napuchnięte kostki jak rosnące w formie ciasto — wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, dało się wyczytać: „żona”.

Podczas gdy Seles atakowała siatkę, czterej mężczyźni zaczęli rozgrywać konkurencyjnego debła na słowa przy stole Maddy. Już lekko zamuleni przeczucali się żartami nad wędzonym łososiem. Pierwszy serwował członek zarządu Sky przybyły z Afryki Południowej, ten z wyglądem przystosowanym do niekłopotliwego raczenia się gotowanym homarem.

— W każdej chwili wciągnąłbym tę małą Argentynekę na swoje prawidło.

— I zaraz miałbyś dosyć — odbił z woleja australijski baron piwny. — W końcu nie chodzi przecież o samo dupczenie, ale o pogoń za dupą.

Żony obracały pierścionki na palcach, zwiły końce apaszek, poklepywały fryzury, jakby upewniając się, że nie są niewidzialne.

— Cały kłopot z żonami... — baron piwny wskazał kciukiem na małżonkę, obnażając zaniedbane zęby — ...polega na tym, że w kulki z nimi nie pograsz.

Odpowiedział mu pełen uznania rehot. Jego żona natomiast bezgłośnie pogryzała rozek, odstawiwszy przedtem z elegancką precyzją żłobkowaną filiżankę na porcelanowy spodeczek.

Maddy poderwała się.

— Moje panie, nie będziemy przecież udawać, żeśmy tu przyszły dla tenisa. — Chlusnęła im do kieliszków szampana. — Przecież tak naprawdę przyciągnęły nas tu męskie zadki. Spójrzmy, tam jest Agassi... Jego tyłek żyje własnym życiem, pełnią życia towarzyskiego. — Przy stole zaległa cisza. —

Chciałam powiedzieć — brnęła dalej Maddy — że jest taki ruchliwy, prawda? — Maddy przez chwilę rozważała możliwość popełnienia harakiri szpatułką do koktajli, gdy tymczasem żona barona piwnego z Australii, pociągnąwszy sobie długi łyk, odezwała się:

— Mam nadzieję, że lepsi z nich kochankowie niż gracze — powiedziała. — Mężczyźni przeciętnie po trzech minutach ogłaszają koniec zawodów. — Jej małżonek objawił nagle zainteresowanie zadartymi czubkami swoich butów. — Bez żadnych długich podań, krótka piłka, po prostu pach, pach i po wszystkim. I pani już dziękujemy.

Współbiedniczki zgodnie zachichotały. Po ściągniętych rysach barona piwnego widać było, że z trudem powstrzymuje wybuch gniewu. Z kącików jego ust promieniście jak szurze wąsy rozchodziły się cienkie linie wróżące powściąganą irytację.

— Nie spodziewajcie się, że to, co mówi, będzie miało jakiś sens — warknęła. — Ona bierze HRT. Co, nie wiedzieliście o tym? To wyciąg z moczu żrebnej klaczy.

Jego żona pominęła to milczeniem. Uśmiechnięta przygryzała wargi, zjadając szminkę. Teraz dla Maddy stało się jasne, skąd ta cała biżuteria. To były medale za odniesione rany, doznane upokorzenia, za wykazanie się dzielnością w obliczu męskiej niewierności. Zanim mogła pod stołem za pomocą sztylcika w akcie zadośćuczynienia wymierzyć sobie karę, baron piwa wykazał nieoczekiwaną chęć udania się na trybuny.

— Idziesz, moja droga? — zapytał krótko, wyciągając żonę z krzesła. Kiedy wszyscy biesiadnicy gremialnie zrejterowali od stołu, Maddy odnalazła Gillian w ramionach mężczyzny z różowym przedziałkiem, który miał być potentatem w dziedzinie pozbywania się odpadów radioaktywnych.

— Myślę, że to jest to! — zachłystywała się Gillian, kiedy wreszcie wyszły na słońce. — To Milo Roxburghe. Wiesz, że on ma tytuł księżęcy? A nawet dwa! Jest podwójnym księciem!

— By wieść podwójne życie — ponuro przepowiedziała Maddy.

— Ma własne boisko do krykieta! Wyobrażasz sobie, ile to musiało kosztować?

— Słuchaj, Gillian. Nie wybiorę się z tobą więcej na safari. — Gillian lekkiem krokiem jak w somnambulicznym transie wspinała się po schodach pawil-

lonu. Maddy wlokła się ciężko za nią. — I ty też powinnaś dać sobie z tym spokój. Widziałaś te kobiety? Naprawdę chcesz być taka jak one?

Przy wejściu na najwyższą kondygnację zatrzymał je umundurowany strażnik.

— Óóóó. — Położył palec na ustach, gestem nakazując im milczenie.

— ...Skazana na wieczne zaciskanie zębów i wciąganie brzucha?

— Co? — Z twarzy Gillian uśmiech znikł bez śladu, czar prysł. — Czy ja wyglądam grubo?

— Ci ludzie to bałwany. Alex ma rację. Ich wdzięk to wdzięk szwadronów śmierci. Nic dziwnego, że nie chce się dać zagrzebać razem z nimi.

Gillian odwróciła się bokiem.

— Czy widać, że ja wciągam brzuch?

— Lepiej już wyjść za jakiegoś golca niż za kogoś takiego!

— Mówiłam ci, że zastanawiam się nad liposukcją brzucha. To jedyny sposób, żeby się pozbyć tego obrzydliwego sadła.

Zdaniem Maddy jedynym sposobem na pozbycie się obrzydliwego sadła byłoby wykopanie po kolei tych wszystkich sepiących darmozjadów z namiotu dla honorowych gości Sky TV. Zanim jednak zdążyła podzielić się tą opinią z koleżanką, ryk widowni obwieścił koniec seta. Jakby ktoś uchylił pokrywkę szyb-kowara. Gillian objęła prowadzenie, kierując się ku zarezerwowanym dla nich miejscom w najbardziej prestiżowym sektorze. Przecisnęły się przez rząd obleczonych tweedem kolan, których właścicielami była grupa spoconych lysiejących biznesmenów. Kiedy tak siedzieli równiutko jeden obok drugiego, wyglądali jak wytłoczka pełna jajek.

Ale to ona za chwilę miała się poczuć rozbita. Bo kiedy już poprawiła poduszkę siedziska, żeby się wygodnie rozsiaść, naraz poczuła w sercu ucisk na dziwnie znajomy widok burzy czarnych włosów tuż przed sobą. To samo pochylenie głowy. Znajome fałdy skóry na szyi. Gardłowy śmiech. Oblał ją gorący rumieniec wywołany sprzecznymi uczuciami — nieoczekiwaną radością ze spotkania i furią.

— Przepraszam — zaczęła, wychylając się do przodu. — Czy nie zboczyłeś nieco z kursu, kierując się na zebranie koła sterników?

Alex obrócił się gwałtownie. Sięgnął po swoje ciemne okulary, rozejrzył się ukradkiem wokół, po czym potrząsnął głową i roześmiał się szeroko.

— Rzeczywiście. Masz rację. Ale ono się rozleciało.

— Ale ty wyszedłeś bez szwanku?

— Oczywiście.

Maddy przyjrzała się mężczyznom, którzy towarzyszyli jej ukochanemu. Ubrani byli w garnitury z nieprzewiewnego materiału w ponurych odcieniach. Należeli do tego gatunku facetów, którzy obnosili wykrochmalone torsy.

— Wydawało mi się, że Wimbledon jest dla ciebie zbyt elitarny.

— Tak. — Alex uśmiechnął się przebiegle. — Ale jednocześnie uważam, że z wrogami należy rozmawiać.

Maddy jeszcze raz zlustrowała jego kompanów. Nagle jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

— Czy to nie Rupert Murdoch? — zapytała z niedowierzaniem.

— Cśś! — uciszył ją. — Chyba znasz moje nierozsądne upodobanie do wielkich synów i córek Australii.

— Alex, jeśli Rupert Murdoch jest wielki, to w takim sensie, w jakim Attila był wielkim Hunem.

— Spokój, prosimy o ciszę! — Maddy skupiła się na nosowej wymowie sędziego. Monotonny odgłos uderzeń rakiet o piłkę został nieoczekiwanie zakłócony przez dwóch bojowników reprezentujących walkę klas, którzy rozciągnęli na trawniku transparent z krótkim hasłem: „Śmierć bogatym świniom”. Natychmiast rzucili się z nimi porządkowi oraz policjanci uzbrojeni we wszystko, z wyjątkiem pocisków nuklearnych. Paparazzi stłoczyli się na dogodnych pozycjach. Dziewczyna zbierająca piłki upadła na ziemię. Rzucił się do niej pędem sanitariusz z karetki, a w ślad za nim gracze. Sędzia głosem Davida Nivena poprosił wszystkich o zachowanie spokoju, niewpadanie w panikę oraz pozostanie na miejscach.

— To on rzeczywiście istnieje — zauważyła stenterowym tonem Gillian, kiedy Maddy opadła z powrotem na krzesło, starając się zachować spokój, nie ulec panice i pozostać na miejscu. Skinęła tylko głową, czując dziwną słabość w żołądku. Niedogodność oglądania turnieju na żywo polegała na tym, że nie było powtórek. Zaskoczona widokiem Alexa nie była w stanie zwrócić uwagi na jego reakcję. Chciałaby przyjrzeć się temu raz jeszcze, najlepiej w zwolnionym tempie. Gillian obejrzała go sobie dokładnie, od stóp do głów, potem obrzuciła uważnym spojrzeniem jego gładkich towarzyszy. — Już wiem —

zakomunikowała. — Dom na południu Francji, najlepsze miejsce na turnieju Wimbledonu w rzędzie dla socjalistów. Jak na dziecko klasy robotniczej, prowadzi raczej luksusowe życie.

No tak, chłodno rozważała Maddy. Wyglądało na to, że szampan spłynął po niej jak woda po kaczcze.

Wytrzymała spokojnie zaledwie kilka setów, po czym pochyliła się, by szepnąć Alexowi wprost do ucha:

— Nie wysiaduj zbyt długo. Jutro mamy bardzo ważny dzień.

— Naprawdę? — odpowiedział kątem ust, nie odwracając się do niej.

— Naprawdę. Zamierzam cię zabić. Posiekam cię na kawałki i zgarnę wyplątę z twojego ubezpieczenia na życie.

Nie mówiła tego wyłącznie dla żartu.

Uświadomiła sobie właśnie, że jej uczucie do Alexandra Dra-ke'a uległo pewnej zmianie. Jeszcze nie drastycznej. Powiedzmy, że jeśli dotąd czuła się jak w niedzielę, to teraz nastał dzień wolny od pracy.

Potrawka z kangura

Angielskie przyjęcia przybierają formę SM. Sado-masowania brzucha. Przed przyjazdem do Londynu jedyny sposób na proszoną kolację, jaki Maddy знаła i praktykowała, sprowadzał się do tego, że trzeba było wsiąść w samochód i pojechać do którejś z przyjaciółek w porze posiłku. Po skończonym kursie Prue Leith nadal nie miała żadnych osiągnięć w dziedzinie przystrajania stołu i tak jak przedtem, faszerowała Alexa rybnymi paluszkami i rygopodobną papką kukurydzianą wprost z puszki. Kiedy raz ją zapytał, czy nie zaprosiłaby przyjaciół na jakąś małą przekąskę, odpowiedziała, że nie chciała by skończyć jako trucicielka.

Zakochani zdolni są jednak do najdziwniejszych rzeczy. Van Gogh obciął sobie ucho. Pewien król abdykował. A Maddy postanowiła przygotować kolację dla siedmiu osób, których, najogłędniej mówiąc, nie lubiła. Kiedy obgryzała koniec ołówka, próbując coś wymyślić i cierpiąc przy tym jak potępieniec, przemknęło jej przez głowę, że pani Pankhurst w akcji protestu przywiązując się do krat, musiała mieć chyba więcej powodów do desperacji.

Gdy tylko Alex wyszedł na premierę filmu — wielka impreza, która miała przynieść fundusze potrzebne na akcję promującą kobiety na posłanki do parlamentu — Maddy rzuciła się do telefonu szukać ratunku u Gillian.

— SOS — nadała lakoniczny komunikat. — Spaliłam ścierkę. Aha, przynieś jeszcze wyciskacz do czosnku.

— Przyznaj się, Madeline, jakież to smakołyki chcesz wypichcić? — Gillian wygospodarowała nieco miejsca na blacie w kuchni, by tam, między słoikiem musztardy a majonezem, ulokować swoją panią.

— Bóg raczy wiedzieć. Dwie pary szykują się do spółdenia dziecięcia. Dzwonił Bryce i mówił, że tym razem planują dziewczynkę, więc Imogen może jeść tylko... zapomniałam... tofu i pancerze nietoperzy. Sonia i gwiazdor rocka chcą wycyrklować chłopca, więc będą jedli wyłącznie tybetański koper i Maltesery.

— Jednym podaj różowe jedzenie, a drugim niebieskie.

— Aha. I cytrynę pierwszemu pechowcowi.

— Mówisz.

— O Boże. Już mi się robi niedobrze. Zobacz, co wcisnął mi rzeźnik. Co za badziewie. — Patrzyły sceptycznie na tackę z przepiórkami.

— Spokojnie. Nie jest tak źle. — Niepiesznie wyciągała z torby butelkę wina. — Jeśli się przypała, powiemy, że to indyjska przyprawa. — Ścisnęła szyjkę butelki między kolanami i wkręciła korkociąg. — A jeśli się nie dopieka, nazwiemy je sushi. — Nateżyła się i korek wyskoczył z charakterystycznym głuchym puknięciem. — W porządku? — Podwinęła rękawy i ześlizgnęła się z blatu, by pomóc Maddy w nadziewaniu ptaszków. — O, przyniosłam ci też swoje *Who's Who* — dodała z przesadną nonszalancją.

— Gillian, mówiłam ci przecież, że nie będę chodziła z tobą na te twoje safari.

— Dobrze, przejrzyj tylko — namawiała ją łagodnie. — Po ostatnim doświadczeniu na Wembley możesz uznać, że to w końcu... ciekawa lektura. To znaczy, musisz poznać jeszcze mnóstwo niuansów angielskiej konwencji — przekonywała ją, wtykając palec wskazujący pod ptasi kuper. — Zaznaczyłam parę istotnych fragmentów...

— Gillian, jeśli teraz nie uda mi się podzielić tego ptaka, skończy się to katastrofą.

Gillian postukała znacząco paznokciem w okładkę.

— Coś mi się wydaje — powiedziała zagadkowo — że raczej tu znajdziesz przepis na katastrofę.

Obie jeszcze tkwiły po łokcie w przepiórczych wnętrzościach, kiedy do mieszkania wparował Alex, wesolutki jak ptaszek, prosto z premiery. Obrzucił Gillian podejrzliwym spojrzeniem, tak jakby była małym mózdzkiem, który nagle znalazł się na jego talerzu. Maddy dokonała prezentacji.

— Aha. — Gillian wyciągnęła do niego mokrą dłoń, inkrustowaną drobnymi przepiórczymi kostkami. — Książę w tabaczkowej zbroi.

Alex pobałdł lekko.

— A to wielka łowczyni białych mężów.

— To ja idę zamknąć drzwi — oświadczyła Maddy. Kiedy wróciła po chwili, by wziąć kieliszki, zastała ukochanego i swą najlepszą przyjaciółkę

patrzących na siebie wilkiem znad miski z padliną. — W porządku? — zapytała, przyglądając się obojgu badawczo.

— Najzupełniej — skłamał Alex. — Gruchamy sobie jak dwa gołąbki.

— Że też musiałaś ją zaprosić — naskoczył na Maddy, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem uszu gości zgromadzonych w salonie. — Ona tu zupełnie nie pasuje.

Modna kuchenka w ich mieszkaniu była tak mała, że gdy się stało pośrodku, z łatwością dawało się dotknąć wszystkich czterech ścian, nie ruszając się z miejsca.

— A to dlaczego? Nie ta sfera?

— Maddy, twoja przyjaciółka Gillian jest ulepiona z całkiem innej, pośredniej gliny. Ty, moja miła, jesteś jak jedwab... — Zawadził głową o kuchenne akcesoria podwieszane u sufitu. — Co prawda surowy... Natomiast ona to w stu procentach tworzywo sztuczne. Na litość boską, wiesz, kim był jej ojciec? Handlarzem bronią!

— A co ma do tego jej stary? — Maddy z tłumioną furią wymachiwała kuchennym nożem. — Ja biorę ludzi takimi, jakimi są. — Obeszła Alexa, żeby dostać się do zlewu. — Przynajmniej jest uczciwa. Ona wie, że jest próżna, płytka i że myśli wyłącznie o sobie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Alex próbował się do niej zbliżyć, ale wydał tylko przeciągły jęk, kiedy pożyczony stół na kółkach walnął go boleśnie w gołe.

— Po prostu nie znoszę tego zgrywania się twoich przyjaciół na Matkę Teresę. Tu ofiara na Oxfam, tam wsparcie dla Vaclava Havla. Wydaje im się, że mają monopol na rynku ludzkich tragedii.

— Przynajmniej starają się coś robić. Dla Gillian Cassells tragedia może się kojarzyć najwyżej z... bo ja wiem... śladem szminki na zębach.

Maddy wrzuciła do miksera mikroskopijne serduszka, wątróbki i inne niezbędne do życia organy wyjęte z trzewi ptaszków, nie zużyte do nadzienia.

— Na przykład Humphrey, ta kreatura, który bredzi, że jest postępowym socjalistą... Przecież jemu zależy wyłącznie na tym, żeby w kieliszkach było wino, a przy stole towarzystwo pań. — Włączyła mikser, co skutecznie zagłu-

szło jakiegokolwiek protesty Alexa. — Masz, spróbuj — powiedziała, dając mu do skosztowania odrobinę szaroróżowej miazgi.

— Przecież to surowe!

— Wydawało mi się, że właśnie lubisz surowe rzeczy. Alex chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle, za-

pętlął się bowiem w warkoczce czosnku i szalotki zwieszające się z podstawki na garnki umocowanej pod sufitem.

— Nie mówiąc już o starej Harriet. Akurat teraz pieprzy o bezrobociu. Co ona, do kurwy nędzy, wie o bezrobociu. Ma posiadłości ziemskie.

— Ale ona mówi o pracy zarobkowej — wyjaśnił Alex, wyplątując się z warzywnego naszyjnika.

— Dla niej „wymówienie” oznacza tylko „wymówić się”, na przykład od kolacji, i to na pewno nie z tobą.

— Przyznaję, obiecałem cię zabrać na następną wyprawę, ale zrozum, mamy od czynienia z kanibalami. Dla ciebie odmienne gusty w jadłospisach to najwyżej wegeterianizm. Ale ci ludzie żywią się ludzkim mięsem. Zjadają ludzi.

— Spróbuj. — Mały palec, połyskujący od mięsnych drobin, nadal był wyciągnięty w jego stronę. — Nie trzeba dosolić?

Alex wzdrygnął się z obrzydzeniem.

— Nie mogę. To wygląda jak rzygowiny rottweilera. Maddy poczuła drobniutkie krople potu, zbierające się na jej plecach.

— Słuchaj, chłopie — powiedziała, patrząc na niego spod oka. — To nie był mój pomysł, żeby całe popołudnie spędzić na blanszowaniu skórek od grejpfruta. To ty masz być nowoczesnym mężczyzną. To ty masz poznawać wszystkimi zmysłami tych, co nie gardzą żadnym jedzeniem. Wszystkojadów.

— Wszystko co?

— O Jezu. — Pokrywki na parkoczących garnkach zaczęły ostrzegawczo dygotać. Nad kuchnią wbiły się obłoki pary. Maddy uświadomiła sobie, że właśnie odbywają swoją pierwszą kłótnię. — Jak to się dzieje, że z chwilą zamieszkania z facetem pod jednym dachem, on w jakiś przedziwny sposób traci męską krzepę, kiedy tylko znajdzie się choćby w pobliżu kuchni?

W polu widzenia pojawiła się ufryzowana główka Harriet. Uśmiechała się szeroko i zjadliwie.

— Wszystko u was w porządku?

— Doskonale — odpowiedzieli jednocześnie, prezentując głupawe uśmieški.

— Jest może coś do picia? — Wymownie pomachała pustym kieliszkiem. Harriet popijała tak, jakby przez cały czas trzymała w zanadru zapasową wątrobę.

— Zaraz tam będę, H. — Gdy tylko się oddaliła, Alex zakrył sobie nos i usta złożonymi dłońmi, co miało udawać maskę tlenową. Parę razy głęboko wciągnął powietrze, a kiedy odjął ręce, zademonstrował minę ozdobioną błagalnym i przymilnym uśmiechem. — Masz rację, kochana. Przepraszam cię bardzo. Widzisz, jak jesteśmy zepsuci przez tę swoją „sferę”? — Przykucnął, wywracając karton z winami. — Weź to pod uwagę. Nawet nasze listy są wżone pierwszą albo drugą klasą.

— Zauważyłam. Czy listom z pierwszej klasy wyświetla się filmy podczas długich lotów, podaje koktajle ozdobione papierowymi parasolkami czy może coś jeszcze?

— Kochanie, to wcale nie jest takie śmieszne. Żyjemy w chorym społeczeństwie. — Odstawił wino i objął ją w pasie. — Z ulgą powrócisz do swojej

krainy Oz. — Pocałował ją we włosy. — À propos, kiedy chcesz wracać? — zapytał z udaną obojętnością.

Odepchnęła go, chociaż pod wpływem jego dotyku przeszły ją znajomy dreszcz.

— Wizę mam ważną jeszcze przez cztery miesiące, ty pacanie. — Szturchnęła go żartobliwie. — A zresztą pupasie, nie będzie problemu, kiedy dostanę kartę stałego pobytu. — Zwichrzyła mu włosy; jej akcent stał się wyraźniejszy. — I kiedy zrobisz ze mnie porządną dziewczynę.

Alex zacisnął palce na wąskiej szyjce butelki, jakby chciał ją zdusić. Wyciągnął korek.

— No, jasne... — mruknął i wycofał się pospiesznie do bawialni. — Musiałem najpierw wyperswadować parę drażliwych drobiazgów... Wiecie... Załatwić parę nie dokończonych spraw...

Poczuła się, jakby ktoś zdzielił ją obuchem w głowę. Zsunęła na patelnię całą ptasią kostnicę. Przy zetknięciu z gorącym tłuszczem skrzydełka przepiórek opadły bezwładnie. Wiedziała, jak muszą się czuć.

Lekceważąc jej pieczołowicie obmyślony plan rozsadzenia gości w męskodamską przeplatankę, zajęli miejsca jak popadło: Humphrey — Największy z Żyjących Pisarzy, Sonia, ekofaszystka niezwykła oraz jej Gwiador Pop Wyrobyony Społecznie, Bryce i Imogen, modelowe dziecko przy malowniczej pierśi, szef opozycji na wygnaniu jakiegoś afrykańskiego państewka (Alex nalegał, żeby czarna rasa była reprezentowana), Harriet, Gillian i księżę Maddy w tabaczkowej zbroi. Wszyscy mówili jednocześnie. Przyjaciele Alexa nie prowadzili rozmów, tylko przerywane monologi. Można by powiedzieć, że było to brnięcie przez konwersacyjny pudding z tapioki. „Jedzenie i psioczenie”, tak to ochrzciła Maddy. Psioczyli na rząd torysów, na brak dobrego mechanika samochodowego od saabów na południowym brzegu rzeki, na trudności ze znalezieniem dziewczyny do dziecka na stałe, a nie na przychodne, oraz na to, że posyłanie latorośli do szkół prywatnych to żaden snobizm.

— Nie ma przecież państwowej Montessori*⁶ — dowodził Bryce. — Gdyby była, tobym go tam posłał. — A wszystko przez ich nieszczęsne łądowisko dla helikopterów. W państwowej szkole dzieciak byłby prześladowany z tego powodu.

Bryce przystąpił do rzucania ważnymi nazwiskami. Maddy naliczyła ich trzydzieści pięć w ciągu pierwszych ośmiu minut — niektóre z nich to naprawdę wielkie nazwiska: Gore Vidal, Al Gore, Vanessa Redgrave, Woody Allen.

— O Jezu, Bryce — przerwała mu. — Musisz chyba zmienić sobie zawiasy w szczękach, żeby się w nich mieściły jeszcze większe nazwiska.

— Czy to moja wina — ryknął ochryple — że wszyscy moi przyjaciele są sławni?

Alex skarcił Maddy spojrzeniem.

— Tak naprawdę to nikt nie może sobie nawet wyobrazić — wtrąciła na-dąsana Imogen — jak ciężko jest być sławnym. — Poprawiła spódniczkę z rozcięciem, tak by każdy mógł zobaczyć jej jędrne uda. — Pożyczę gdzieś aparat z teleobiektywem, żeby zrobić parę ujęć topless i z gołymi dupami tym redaktorkom plotkarskich pisemek. Zobaczymy, jak się wtedy poczują. — Widząc, że skupiła na sobie wzrok wszystkich zebranych, powoli odstawiła karmione dziecko od jednej napęczniałej piersi i przystawiła je do drugiej.

Wiedziony potrzebą odwrócenia uwagi Szefa Opozycji na Emigracji od wyeksponowanych sutków Imogen, Gwiazdor Pop Wyrobiony Społecznie przemówił. Maddy nie wierzyła własnym uszom. Mógłby być najślawniejszą gwiazdą rocka na świecie, gdyby nie to, że miał osobowość martwego inkasenta z gazowni. Ale i tak był lepszy od lidera opozycji na emigracji, który każdą swoją wypowiedź zaczynał od: Jako czarnoskóry obywatel..."

— Ładną mamy pogodę, prawda? — zagaił gwiazdor.

— Jako czarnoskóry obywatel...

— Niezłe to wińsko, co?

⁶ * *Montessori* — system nauczania indywidualnego dzieci młodszych (3-6 lat), oparty na swobodnym rozwijaniu osobowości i zainteresowań; Maria Montessori (1870-1952) — włoska lekarka i pedagog.

— Otóż jako czarnoskóry obywatel...

— Szkoda, że mnie w dzieciństwie nie zgwałcono — Humprey zwierzał się dzbankowi z wodą. — Miałbym co opowiadać prasie.

— Nie pamiętam, żeby mnie zgwałcono w dzieciństwie — wyznała szczerze Sonia. — Jestem jednak pewna, że to się zdarzyło... Tylko musiałam to wymazać z pamięci.

— Z tym się oczywiście wiązą zaburzenia w odżywianiu — włączyła się do rozmowy Gillian. — Bulimia i tak dalej.

Chcąc okazać się osobą towarzyską, Maddy uznała, że z tą bulimią to nawet niezły pomysł. Jak się człowiek pospieszy, to może mieć podwójną radość z jedzenia. Raz, gdy się je połyka, a potem, gdy się je oddaje. Możesz zjeść ciastko, a potem je zwrócić.

Panie patrzyły na nią, jakby je żywcem odzierała ze skóry, i to z użyciem drutu kolczastego.

— Ja cierpiałam na bulimię przez trzy miesiące — pochwaliła się w końcu Imogen.

— Trzy miesiące? — prychnęła lekceważąco Sonia. — Ja miałam bulimię przez trzy lata!

Maddy zapomniała już, że wszystko, co przypisywano księżnej Di — od zdrady małżeńskiej na wakacjach spędzanych na Necker do nerwicowej bulimii — stawało się natychmiast modne. Nic dziwnego, że nie umiała się odnaleźć w Londynie, zawsze podążała w złym kierunku. Taktownie wycofała się do kuchni, a za nią wymknęła się Gillian, dzierżąc egzemplarz *Who's Who*.

— W tej książce jest naprawdę mnóstwo ciekawych informacji. Dowiesz się tu rzeczy, o których powinnaś wiedzieć... Maddy, moja złota, uwierz mi. Nie ma dymu bez...

— Spalonych grzanek — dokończyła ponuro Maddy, widząc, co zostało na patelni.

Gdy tak krążyła między kuchnią i jadalnią, do jej uszu dochodziły dziwnie synkopowane urywki konwersacji. „Młody rocznik”. „Jeszcze nie dojrzałe”. Dopiero za trzecim razem zorientowała się, że rozmowa dotyczy wina, a nie domyślania się wieku ADM. Nakładając na talerze, przesuwając garnki i patelnie, podając modną wodę, wino, serwetki i łyżkę wazową, zaczęła się czuć

jak żona, i to niejednego męża, ale siedmiu — żarłocznych, ochrypłych i niewątpliwie już podpitych. Niewiele trzeba, by Anglik poczuł się jak maharadża. „Połóż gdzieś moją marynarkę. O, dzięki, złotko”. „Możesz mi jeszcze dołożyć?” W jednym tylko przypadku wszyscy jednocześnie zwrócili na nią uwagę. Było to wtedy, gdy sos do pieczenia niepokojąco się zsiadł. Umilkły rozmowy, przerwane w pół zdania. Atmosfera stała się lodowata. Jedyne Alex spróbował rozładować sytuację, żartując, że Maddy powinno się aresztować za niedozwolone testowanie na ludziach nowych przepisów.

Harriet zwróciła się do niej ze słowami:

— Cieszę się, że wzięłaś sobie do serca moje słowa i nie zadawałaś sobie zbyt wiele trudu.

— O Boże! — wykrzyknął Bryce, maczając palec w fatalnym sosie, a następnie oblizując go z niesmakiem. — A już myślałem, że zostaniemy przyjaciółmi. — Potem pogroził jej tym samym palcem przed nosem. — Dodałaś tu kostki rosółowej, prawda?

— Mną się nie przejmuj. Z dużą ilością tabasco gotów jestem zjeść wszystko — bełkotał niezrozumiale gwiazdor rocka.

— Ojej — pisnęła Imogen, dziobiąc widelcem w swojej sałatce. — Chyba ktoś już ją przede mną próbował!

Humphrey wyciągnął z sosu saszetkę aromatyczną, potrzymał ją dyndającą na nitce jak zużyty tampon, po czym z pluskiem upuścił na sam środek stołu.

— Może powinnaś raczej trzymać się waszych tradycyjnych potraw — powiedział z namaszczeniem. — Na przykład coś z kangura. Albo kaktusa. Wsadzić do gara jednego kangura albo dwa plus jedną siekiere, gotować, aż siekiera zmięknie, i podawać.

Harriet przestała się śmiać, żeby teraz poddać nieszczęsny sos wnikliwemu badaniu.

— Najlepiej jest krwią zageścić sos — zaleciła.

O to nietrudno, pomyślała Maddy. Czuła się tak, jakby w ciągu ostatniej minuty wytoczono z niej na dywan hektolitry krwi grupy 0. Gotowanie dla londyńskiej świetnokracji okazało się zajęciem bardziej nawet wyczerpującym niż inicjacja samurajów.

Umieściwszy wreszcie na stole stertę pieczonego ptactwa, opadła z westchnieniem na krzesło. Ptaszki leżały na grzbiecie, z bezradnie wyciągniętymi

w górę łapkami. Wniesienie smakołyku nie zostało jednak powitane gromkimi „och” i „ach”, jak sobie wyobrażała, ale przywołaniem Alexa: „Szybko, jesteśmy na wizji!”, co skutecznie wywabilo wszystkich gości do salonu, żeby mogli podziwiać swego gospodarza, jak na pustynnym tle pojawia się na wielbłądzie, by opowiadać o spowodowanej wojną domową klęsce głodu, barwnie zilustrowanej widokiem chudych jak szkielety bestii nękanych przez roje much.

Osamotniona przy stole Maddy przyglądała się w zadumie, jak serek brie topi się i spływa z deseczki smętnymi strużkami.

Kiedy metalicznie brzmiący w telewizji głos Alexa skończył wyliczankę wszystkich plag, goście powrócili do stołu, by uprzątnąć ptasie zwłoki. Między jednym kęsem a drugim Harriet przepytowała Gillian co do miejsca i czasu poznania Maddy.

— Na kursie gotowania? — Uniosła w niezmiennie podejrzliwym zdziwieniu brwi. — Zupełnie jak w latach pięćdziesiątych!

Maddy była zbyt zaintrygowana zachowaniem Soni, by pospieszyć z odpowiedzią. Co kilka minut Sonia sięgała do swojej przyjaznej środowisku torebki, ręcznie plecionej z włókien kaktusa w jakiejś meksykańskiej spółdzielni, gmerała w niej chwilę, by na koniec wyciągnąć stamtąd papierową chusteczkę, która też się dawała powtórnie przetworzyć. Następnie przyciskała ją do ust, kaszłała, po czym odkładała na kupkę już zużytych serwetek.

— Co takiego? — Znów mogła się skupić na Harriet. — Nie słyszałam.

— To rewolucja seksualna jest już *passee* — orzekła Gillian.

— Teraz mężczyźni interesują się głównie smakołykami, pasztecikami. Spytaj Alexa. Domyślam się, że to był jego pomysł...

— Tak? Aleksie? — zapytała ze złośliwą satysfakcją pierwsza feministka Oxford University.

— Maddy mówi, że polujesz na męża — zrewanżował się.

— Jeśli tak, to twój ślub musi być wystrzałowy. Ojciec Gillian — wyjaśnił zebrany — parał się handlem bronią.

Brwi wszystkich, jak na komendę, podniosły się do góry. Istne *corps de ballet* owłosionych nóg. Maddy najchętniej wyskoczyłaby przez windę kuchenną, gdyby tylko wzrost jej na to pozwolił.

Gillian odpowiedziała uśmiechem. Był to uśmiech tak lodowaty, jakby wyjęty wprost z zamrażalnika.

— Oczywiście rozumiem twoje zainteresowanie rodzinnymi powiązaniem. Inaczej nie znalazłbyś się w *Who's Who*.

Uśmiech Alexa zgasł szybciej niż popularność Johna Majora. Był wyraźnie zaniepokojony.

— Ach, o to ci chodzi. — Głośny śmiech nie zdołał pokryć jego zdenerwowania. — O, to nie ma ze mną nic wspólnego.

W co ty pogrywasz?, zdawał się mówić pytający wzrok Maddy, skierowany na Gillian.

— Osiągnąłem pewien stopień sławy, więc mnie po prostu włączyli do tego spisu. — W zdenerwowaniu zaczął mówić niewyraźnie, połykając spółgłoski. — Nawet nie widziałem tej cholernej książki na oczy...

— Nie? To masz szczęście. Bo ja się bez niej nigdzie nie ruszam. — W jej głosie brzmiała nie skrywana satysfakcja. — Przecież nigdy nie wiadomo, kogo można spotkać. — Wyciągnęła opaski tom ze swej płóciennej torby, w której mieściło się wszystko.

Alex zaplatał i rozplatał palce.

— Wypisują tam różne bzdury...

— Naprawdę? — Gillian udała zdziwienie. — Domyślam się, że wstępne informacje pisze się samemu. A... B... Ktoś nie wtajemniczony mógłby pomyśleć, że to setki przejętych badaczy pracuje nad tym, by wypisać w końcu stek bałwochwalczych idiotyzmów. C... D... O, mamy. Drake... Alexander Drake. Urodzony w Grimsby...

— Nie wydaje mi się, byśmy musieli wchodzić w te wszystkie nudne szczegóły. — Alex z trudem zmusił się do uśmiechu. Trochę zbyt gwałtownie zabrał książkę z rąk Gillian.

— Chcę zobaczyć. — Teraz Maddy wyrwała tom z rąk Alexa, wywracając przy tym na Imogen miseczkę z wodą do rąk. Alex, Humphrey, Szefer Opozycji na Emigracji oraz Gwiazdor Pop Wyrobiony Społecznie — wszyscy rzucili się do niej z serwetkami, gdy tymczasem pozostawione samemu sobie dziecko ześlizgnęło się na podłogę głową w dół.

Maddy wodziła palcem po kartce, śledząc podane informacje. Rodzice... Wyksz...

— Wykształcenie — odpowiedziała jej Gillian. — Dalej...

— Co to znaczy „Ż”? — Maddy podniosła głowę i zdążyła jeszcze pochwycić wymianę porozumiewawczych spojrzeń. — Co to za skrót? — Odpowiedziała jej nie tyle wymowna cisza, ile zgłębienie jednoczesnych monologów. Humphrey wdał się w nietypowy dla niego wykład o tym, jak śmierć niejakiego Maurice'a Reckitta usunęła ostatni pomost pomiędzy przedwojennym a powojennym krykietem. Sonia nagle wyraziła ochotę na rozmowę o amatorskiej grze w badminton. Bryce wygłosił mowę na temat masażu dla dzieci oraz roli stosowania pieluch jednorazowych w ochronie środowiska — wydychując cały czas dym z cygara zatruwającego środowisko. Jak kraby okrążali temat — z odwróconym wzrokiem i wyciągniętymi szczypcami.

— Na miłość boską! — ryknęła Harriet. — Oszczędź biedactwu zgryzoty! Twarz Alexa przypominała wymiętą po nocy pościel.

— Właściwie to znaczy „żonaty” — wyjaśnił.

Maddy próbowała zmierzyć się z tym słowem, wypluć je, ale nie mogła, jakby rzeczywiście stanęło jej kością w gardle. Złękła się, że będzie tak tkwiło w niej na zawsze, pozostawiając ją osłupiałą, w szoku, który nie przemija. Oderwała ręce od stołu i złapała równowagę, chwytając się kanapy, którą dzieliła z Sonią. Lewą ręką natrafiła na coś wilgotnego i obrzydliwego. Ledwo zauważyła, że całe dłonie, aż po kostki, miała unurzane w wymiocinach.

— Żonaty? — wyjąkała w końcu. — Żonaty? Ty masz żonę?

— W pewnym sensie — przyznał tchórzliwie. Próbował coś zrobić ze swoimi ustami, by się uśmiechnąć ujmująco. — Mówiłem ci przecież, że mam do załatwienia parę spraw. — Łódź unosząca ich miłość zmieniła kurs i po nieudanych negocjacjach zmierzających do zawieszenia broni w Iraku podążyła teraz w kierunku Zatoki.

— Czyżby on ci nie powiedział, że jest żonaty? — zdziwiła się nieszczerze Gillian. Wzięła kredkę do ust, otworzyła z trzaskiem puderniczkę i podkreśliła linię warg, teraz kpiąco wydętych.

— To przez mój żołądek — wyznała Sonia. — Jest skurczony. Nie przyjmuje więcej niż gotowane jajko. I dlatego wymiotuję...

Dziecko zaczęło płakać. Bryce i Imogen patrzyli na siebie wrogo.

— Teraz twoja kolej — powiedział Bryce.

— Nie, nie moja — odrzekła Imogen. — To twoja kolej.

— Jeśli nie twoja kolej i nie moja, to czyja, do jasnej cholery? — zasyczał ojciec roku.

Gwiazdor obojętnie potrząsnął dzieckiem i posadził je na kolanach ojca.

— Ty nie znosisz dzieci — przypomniała mu Sonia, majstrując nerwowo przy swojej przyjaznej środowisku biżuterii ze sprytnie przerobionych rur od ciepłej wody i plastikowych opakowań po mleku.

— Może serka? — Humphrey podsunął Maddy pod nos kawałek cuchnącego sera. — Nieznane pochodzenie... Mleczny produkt z serca płynący... Nie?

Imogen odkroiła kawałek sera i pochłonęła go łakomie, oblizując palce.

— Brie ma smak spermy — stwierdziła, wpatrując się w gwiazdora rocka.

— Nie wtedy, kiedy się go trzyma w lodówce. Musi być ciepły — podtrzymała temat Sonia, nie chcąc pozostawać dłużna.

— Próbuje sobie przypomnieć... — zastanowiła się Harriet, podczas gdy mężczyźni wymienili porozumiewawcze uśmiechy. — ...kiedy ostatni raz próbowałam brie — zachnęła się.

— To jest dyskryminacja z powodu wyglądu. — Sonia rozkładała i składała z powrotem zaprasowane fałdy swojej heskiej sukni, której wzór przypominał twórczość początkujących kursantów origami. — Nie powinno się prześladować ludzi nie uznających kosmetyków.

— Jako czarnoskóry obywatel...

— Moja miła, trochę makijażu naprawdę nie zaszkodzi — powiedziała Gillian z łagodną perswazją.

— Jak sobie pomyślę o tych wszystkich testach, jakie się przeprowadza na szczeniaczkach albo na króliczkach...

— Dlaczego troszczyć się tylko o miłe zwierczaki? — skontrolowała Gillian. — A co ze szcurami albo ślimakami? To też jest dyskryminacja z powodu wyglądu.

— Przypadkiem mam przy sobie egzemplarz swojego najnowszego wiersza — oświadczył Humphrey, nieczuły na rozgrywane się w jego obecności dramaty. — Może wam przeczytać?

— Jako czarnoskóry obywatel...

Maddy patrzyła na wszystkich obojętnie. Oto właśnie uzmysłowiła sobie, że przecież on jej mówił. Problem jednak polegał na tym, że w Anglii nikt nie

mówił po angielsku. Wszyscy mówili eufemizmami. Powinna być wyposażona w słuchawki na uszy, jakie mają w ONZ-ecie. Wtedy mogłaby rozszyfrować znaczenie komunikatów, jakie jej nadawano od czasu przyjazdu do Londynu.

„Australijczycy”, mówił Humphrey, „są tacy nieskażeni”. Należało to odczytać, teraz to sobie uświadomiła, jako: „odpierdol się, ty pyskata kolonialna ździro!” „Tak się cieszę, że mogłaś do nas przyjść”, przywitała ją Sonia, kiedy Alex przyszedł z nią na proszony obiad do ich domu w Chelsea. „Dbamy o to, by poszerzać nasz krąg znajomych”. Teraz Maddy przełożyła to na: „W ostatniej chwili ktoś odwołał swoją wizytę i nie mogliśmy nikogo innego zorganizować, tylko ciebie, żeby było do parry”.

Albo ten straszny sprzedawca na Bond Street. „Teraz się nosi workowate ubrania” należało rozszyfrować jako: „Potrzebujesz rozmiaru osiem, ale my mamy tylko czternastki”. „To bardzo oryginalny strój” znaczyło, że cena znacznie przekracza tysiąc funtów. „Jedna albo dwie szaszeweczki, dołem troszёнkę dopasować” oznaczało koszt przeróbek przekraczający cenę całego ubrania. „Akurat dla ciebie” wskazywało, że żaden idiota by tego nie kupił.

No i Alex. Jego „Musiałem najpierw wyperswadować parę drobiazów, załatwić parę niedokończonych spraw” znaczyło zobowiązania hipoteczne, pojazd napędzany na cztery koła, należący do pana domu, zestawy majsterkowi-cza, *pied-à-terre* w Ma-ida Vale oraz dom rodzinny w Oksfordzie, który dzielił z żoną o imieniu Felicity — felietonistką, która pisywała, by użyć określenia Harriet, niewinne dyrdymałki o szczęściu małżeńskim.

Alex, na chwilę tylko zbity z pantalyku, już odnajdywał dawną formę, stroszył piórka, opowiadał dowcipy, rechotał, otwierał następne butelki wina.

— Rozchmurz się. — Poklepał Maddy po dłoni. — Jak mawiał Degas, „życie musi być niedoskonałe”. Wolał nie wymawiać słowa „małżeństwo”, choć to przecież miał na myśli.

— Naprawdę, Alexander, czas już wyrosnąć z tych... — Harriet wskazała wzrokiem Maddy — niestosownych przygód.

Maddy przełykając wino ze łzami, starała się ze wszystkich sił nie rozpląkać w obecności gości uwikłanych w intrygę. Teraz rozumiała zamiłowanie Alexa do ryzyka, jego gonienie za kłusownikami i wielorybami. Odgrywanie przed kamerą, jak to stoi po kolana w wodzie pełnej narybku piranii. Jazda z

zawrotną szybkością, wybieranie dróg bez wyjścia. Parkowanie w niedozwolonych miejscach wtedy, gdy obok są wolne miejsca z parko-metrami. Wpadanie na lotnisko na kilka sekund przed startem. Wyskakiwanie z pociągu w biegu. Wybieranie klaustrofobicznych toalet i tylnego siedzenia samochodu. Wdawanie się w romanse, bez wspomnienia choćby o swoim statusie żonatego mężczyzny. A wszystko po to, żeby sprawdzić, jak długo to się będzie udawać. Pokochała faceta uzależnionego od adrenaliny.

— Jeszcze jedno. — Alex nadal popisywał się swoją zwykłą czupurnością i pobłażliwością wobec samego siebie. Wykazywał wyjątkowy talent rozgrzeszania się ze wszystkiego. — Czy niewierność może być przestępstwem? To by znaczyło, że sama miłość jest przestępstwem, a to przecież nie ma sensu.

Dla Maddy było to mniej więcej równoznaczne ze stwierdzeniem, że skoro jest się mięsożernym, to równie dobrze można być kanibalem.

No więc tak wyglądało „picie z czary życia”. Madeline Wolfe, która zostawiła dom i cały swój świat, by napić się do woli z czary życia, wkrótce miała przekonać się, że na dnie owej czary spoczywa martwy, rozkładający się już karaluch.

CZEŚĆ DRUGA

KOMPLIKACJE

RS

Komplikacje

Jest ósma rano. Jezus Maria. Zawołajcie kogoś z *Księgi rekordów Guinnessa*, bo to chyba najdłuższy w historii ludzkości poród. Adopcja wydaje się bardzo humanitarną alternatywą.

— Doktorze? — pyta położna. — Może podamy epidural? Epidural? Eutanazja wydaje się znacznie bliższa moim odczuciom.

Spoglądam na mężczyznę, który sterczy pomiędzy moimi nogami. Jego oczy bez wyrazu i sztuczny uśmiech wydają mi się znajome.

— Siostró, epidural może utrudnić parcie pannie... — patrzy w moje *dossier* pacjentki — ...pannie Wolfe. — Nadal są tylko cztery centymetry. — Trzyma w rękę coś, co przypomina szydełko. — Przebiję błony.

Yolanda zrywa się z fotela, gdzie zapadła w drzemkę.

— Co pan chce zrobić? Przecież jej już odeszły wody!

— Tyle, co kot napłakał — mówi położna. Yo-Yo podskakuje wokół łóżka, jest wściekła.

— Wiesz, że możesz się nie zgodzić. Dziecko ma się urodzić w czepku. To przynosi szczęście. Jak u Davida Copperfielda. Nigdy się nie utopi. — Kiedy tak wymachuje rękami, widzę drobne kędziorki pod jej pachami, zroszone kropelkami potu. — Madeline, to twoje ciało. Doktorzy, szczególnie mężczyźni, bardzo pochopnie interweniują. Niech natura zrobi swoje.

Niech zrobi, chcę powiedzieć, ale nie mogę.

— Ona cierpi na hipotoniczną inercję. Przebicie znacznie skróci poród.

O, ja głupia. Myślałam, że to jęki i krzyki rodzących pacjentek rozlegają się na szpitalnym korytarzu, a tymczasem to odgłosy lekarzy rozgniewanych z powodu przedłużających się porodów, które uniemożliwią im powrót do domu na czas, by zdążyć na partię golfa.

— W takim razie dam jej syntocinon. Teraz mówią w sanskrycie. Co chcą mi dać?

— To syntetyczny odpowiednik — Yolanda mówi powoli, jakbym była świeżo przybyłą emigrantką z Uzbekistanu — oksytocyny, hormonu produkowanego przez organizm ludzki.

— Przestańcie pieprzyć i... wyciągnijcie ze mnie to... świństwo! — Słodka scenka rodzajowa. Wyciska łzy z oczu. Wyobrażałam sobie siebie w śnieżnobiałej pościeli, o brzasku, przy mnie Alex, nie odstępujący mojego łóżka... Czuję ukłucie, po którym ciepła woda zmieszana z krwią zostawia plamy podobne do rozlanego na prześcieradle beaujolais. Muzyka sącząca się z głośników to *New York, New York*, które przekształcam bezwiednie w podobnie brzmiące wersety. Ku memu niezmiernemu zgorszeniu Yolanda zaczyna podśpiewywać. Zapowietrzony rury centralnego ogrzewania sapią i świszczą. Kiedy doktor wychodzi, słyszę przez uchylone drzwi śmiech szczęśliwych ludzi, których nic nie boli. Czuję, jak mi się wszystko wywraca w środku.

— Jak ciemno. — Otwieram oczy i widzę na szybie ślad po oddechu Yolandy. Czuję się zagubiona w świecie wypchanych poduszek do siedzenia, na tym kontynencie bezkresnych połączeń aksamitnych brunatnych ręczników. Jestem tak bezsilna jak malowane przez Salvadora Dalego zegarki na rękę. Nie wiem, czy upłynęły minuty czy godziny od czasu, kiedy ostatni raz się odezwała.

Dotychczas wydawało mi się, że wysiadywać w kucki może bezdomny nastolatek. No proszę, ja się nawet podpieram rękoma i tkwię tak, w pozycji na czworakach. Yolanda przykucnęła obok mnie na swych krótkich nogach i podaje mi do ust następną kostkę lodu.

— Nienawidzę zimy. Czy wiesz, że w Finlandii ludzie się zabijają? — mówi beztroskim tonem.

To ja się czuję, jakby mnie zabijano. I to stopniowo, na raty. Cierpienia świętego Sebastiana to betka w porównaniu z moimi katuszami. Już bardziej humanitarne byłoby wbijanie bambusowych drzazg pod paznokcie.

— Naprawdę. Mają najwyższy na świecie wskaźnik samobójstw. Wyobrażasz ty sobie?

Sama miałabym ochotę ją zabić, ale nawet nie mogę jej tego powiedzieć, ledwo bowiem starcza mi czasu, by zaczerpnąć tchu między skurczami. Wynurzam się, łapię trochę powietrza, by zaraz znów się pogrążyć w zapierających dech głębinach. Tak jak u Jules'a Verne'a. Macki bólu ściągają mnie na dno. Skurcze są coraz częstsze. Przeszywający ból, który co prawda trwa tylko parę sekund, ale skurcze wydają się długie jak wieczność, podczas gdy prze-

rwy między nimi — krótkie jak okamgnienie. Mam napięte ścięgną ręk, zbiełały kostki. Czuję się uwięziona w diabelskim młynie, z którego nie ma wyjścia.

W sali znajdują się studenci. Poznają to po intensywnym zapachu środków dezynfekujących i cukierków.

— Działanie hipertoniczne związane jest z pozycją posteriorną. — To znów doktor, tym razem ma obchód ze studentami. Mówi o mnie tak, jakby mnie tu nie było. — Zazwyczaj wiąże się to z poważnymi bólami kręgosłupa. — No, nie, bez żartów. Biorę minimalny oddech. Tak jakbym tego nie wiedziała. Wsiąkam w podłogę. Bąbelki bólu unoszą się coraz prędzej, a ja syczę, jakby mnie rozsmarowywano na niewidocznych gorących fajerkach. — Krótkie, przesywające skurcze macicy nie są tak skuteczne jak normalne. Z tego powodu występuje tendencja do wydłużania się porodu. — Doktor bierze do ręki lusterko, w którym mam obserwować, jak dziecko przychodzi na świat, i znów przegarnia palcami ondulowaną czuprynę. Znam ten typ ludzi. Należy do tych pasażerów, którzy podróżując samotnie, rzną w samolotach przygodne znajome. Wypacykowane studentki wloką się za nim. Szelest odwijanego cukierka w kieszeni stojącej najbliżej studentki jest odgłosem ze świata żywych. — Najczęstszą przyczyną hipertonii jest... No, kto wie? — Gdyby był tu Alex, toby ich wszystkich stąd wykopsał. — Strach. Dobrze. A teraz pójdzmy zobaczyć, co słyhać u pani Singh.

— Ona się boi — Yolanda łapie za poję wychodzącego doktora gestem osoby uprawnionej — bo jej mężczyzna ją zostawił.

— Na litość boską, Yolanda! — krzyczę ochrypłym głosem, który mnie samej wydaje się obco brzmiący od długiego nieużywania. — Przestań, do cholery, robić ze mnie ofiarę losu! — Ale rzeczywiście boję się. Jest mi zimno ze strachu. Bo tak naprawdę wcale nie chcę zostać matką. Nie chcę być dostawcą pokarmu czynnym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę — barem na obcasach. Skurczy mi się mózg. Już mam blizny na umyśle od niepotrzebnych informacji dotyczących ząbkowania albo pożądanej temperatury butelki. Do tego nie znana dotychczas część mojego ciała daje mi niepokojące znaki. To gruczoły winy. Przypominam sobie te ilości wypitego szampana, zanim dowiedziałam się, że jestem w ciąży. I whisky, którą wypilałam, kiedy już dowiedziałam się o swoim stanie. Dziecko może mieć uszkodzony mózg. Albo

jeszcze gorzej. Może nadawać się tylko do straży miejskiej i zakładania blokad na koła.

— To mi się nie podoba — cmoka położna z zatroskaną twarzą. — Zostań z nią.

Słyszę, jak gumowe podeszwy skrzypią ciężko na szarym linoleum.

— Powiedz Alexowi — dyszę, próbując znaleźć bardziej suche, nie przepocone miejsce na poduszce — że jeśli stanie się coś złego, podam go do sądu.

Yolanda poprawia swoje czerwone oprawki na nosie.

— Uspokój się. Nic złego się nie stanie. Jestem z tobą. — Jakoś mnie nie pociesza to zapewnienie. — A poza tym miałaś robione badanie prenatalne. — Nadal przemawia do mnie tonem nauczycielki z pierwszej klasy. — To badanie pozwala wykryć do dwustu wad wrodzonych. Nie ma się więc co martwić.

No tak, chciałoby się powiedzieć, ale badanie to nie wykáže, czy dziecko nie będzie po sobie zostawiało mokrych ręczników na podłodze w łazience. Czy nie zdziczeje. Czy czasem nie będzie mi pisane ujrzeć je któregoś dnia w połowie schodów z niańką w zębach. Czy inne dzieci w piaskownicy będą miały całe oczy, nosy i paluszki. Badanie prenatalne nie wykáže też, czy czasem w wieku lat trzynastu nie ujawni alergii na hormony swoich rodziców, tak jak mnie się to przytrafiło. Ogarnia mnie wściekłość. Gdzie jest ten cholerny sukinkot? On mnie w to wpakował. Był ze mną, kiedy dzieciak się załagał w mój brzuch, powinien też być, kiedy małe ma się stamtąd wynieść.

Słyszę, jak ktoś otwiera drzwi. Serce podskakuje mi z radości. Zęby dzwoniąjak kastaniety. Łapię się na absurdalnej myśli, że powinnam umalować sobie usta. Mimo wyczerpania dźwigam się na łokciach. O Jezu, to tylko położna. Teraz ogarnia mnie rozpacz. On nie przyjdzie.

Do sali wpada doktor, za nim studenci ze ściągniętymi napięciem twarzami. Przenoszą mnie na wózek. Kiedy jadąc, klekocze po szpitalnym korytarzu, słyszę grzechotanie kostuchy. Na całym ciele czuję dotyk czyichś rąk. Znow zasmarowujęmi brzuch jakąś maścią, by szary aparat mógł się przyssać do mego ciała. Narzędzia na wózku połyskują metalicznie. Głosy przyptywają i odpływają jak przy międzykontynentalnym połączeniu. „Tętno płodu... słabnie...”, „Pępowina opłotła szyję”, „Główka ciągle w odwrotnej pozycji”.

— Zagrożenie życia płodu przy niedostatecznie rozwartej macicy — słyszę, jak doktor teatralnym szeptem przekłada informacje na język bardziej zrozumiały — ...prawie zawsze zapowiada cesarskie cięcie.

Aha, ciachnąć i capnąć. Nic dziwnego, że nazywają ten szpital cesarskim pałacem. Po akcji porodowej pan doktor pójdzie na golfa. Czuję lekkie ukłucie w ramię. Strzykawka wsysa cyklamenowy słupek mojej krwi. W pokoju unosi się gęsty zapach przejętych pach. Lekarze wymieniają poważne spojrzenia, potrząsają głowami jak mędracy.

Chwytam spojrzenie Yo-Yo. Patrzy z rezerwą na monitor spod półprzy-
mkniętych powiek.

— Czy wiesz, że mimo tych wszystkich aparatów i operacji zajmujemy piętnaste miejsce na świecie pod względem śmiertelności noworodków?

W pokoju zalega cisza. Skórę mam napiętą jak bęben. Czyżby ustało bicie serduszka mego dziecka?

Położna ma minę posepną i nieugiętą.

— Panie doktorze? — pyta nagłaco.

— Wyłączyć monitor. — Słowa doktora mają moc nieodwołalnego wyroku. Włazy okrętu podwodnego mają się zamknąć, choć nikt nie wie, że zostałaś na pokładzie.

— Proszę zadzwonić do teatru.

Mam uczucie, że zaraz będę złożona w ofierze. Przerazenie paraliżuje mi płuca. Chcę krzyknąć: co się dzieje? Ale w ustach mam kostkę lodu.

Wtedy monitor podłączony do płodu dostaje czkawki. Jakby dobosz wrócił po przerwie i podjął swoje głucho bębnienie. Bada mnie lekarz.

— Dziecko się obróciło, główka jest w prawidłowej pozycji. Studenci, zawiedzeni, odskakują od łóżka. W swoich buro-

białych fartuchach wyglądają jak stojące w szeregu majestatyczne góry lodowe. Jeden z nich posyła w obieg torebkę z toffi, które po chwili wszyscy smoktają zawzięcie. Pokój pustoszeje, jakby skończył się odpływ, który wyrzucił mnie zmaltretowaną na brzeg.

Obrócona na bok, gapię się na obrazek wiszący na przeciwnej ścianie. Jest na nim doberman z dwiema martwymi kuropatwami w pysku. Przeglądam się w lustrze. Przypominam szczura doświadczalnego; mam czerwone oczy,

zwieszają się ze mnie jakieś druciki, jestem przebadana, otumaniona i rozstrojona. Czuję czyjeś palce przy moim kręgosłupie.

— Biedactwo, miałaś drobne komplikacje i one cię tak wymęczyły — użała się nade mną położna.

Kiedy anestezjolog przygotowuje epidural, Yolanda podśpiewuje do melodii płynącej z głośnika. Urywa w połowie, a na jej twarzy, wyrażającej przeważnie dezaprobatę, teraz maluje się zgroza.

— To ma być igła? Nadaje się raczej dla konia. Są kobiety, które nigdy nie stanęły na nogi po epiduralu, wiesz o tym?

— To zdarza się bardzo rzadko — zapewnia pielęgniarka. — Chociaż niektóre kobiety źle znoszą epidural... — To tak jakby powiedzieć, że Saddam Husajn jest tylko trochę demoniczny. Mimo swoich krzyków słyszę, jak Yolanda szemrze (co otumania bardziej niż nieustanna muzyka) o tym, jak to wiedza i przygotowanie potrafią zmienić cały proces porodu z przerażającego na wręcz przyjemny. Wprawdzie jej wykład dotyczy odchodzenia od medycznej interwencji, mówi jednak głosem ostrym jak skalpel. Ból zaczyna się wzmacniać. W pokoju rzednie atmosfera, aż staje się niemal przezroczysta. Wówczas zapadam łagodnie w sen. Zaraz przyniesie mi ulgę.

Babski wieczór

Życie w Anglii przypominało przebywanie wśród obcych plemion z dala od cywilizacji. Maddy czuła się tak zdezorientowana i zagubiona w gąszczu nie pisanych zasad i etykiety jak kapitan Cook, widząc mężczyzn z plemion aborygeńskich, kiedy przytra-czali sobie do penisów orzechy kokosowe. Może gdyby podrzucono ją nagą tubylcom, potrafiłaby jakoś się z nimi zaprzyjaźnić. Starzy Angole mogli zadzierać nosa, ale pod majtami w prążki mieli takie same zmarszczki, fałdki, dołki i pryszcze.

Maddy i Gillian, owinięte w ręczniki jak rzymskie nałożnice, wyciągnęły się na leżankach przypominających leżaki plażowe. Wokół nich wylegiwały się nagie damy, z nosami w książkach Jackie Collins albo Jilly Cooper. Przypominało to scenerię plaży Morza Śródziemnego, ale ogrzewało je tylko słoneczko o mocy osiemdziesięciu watów. Zamiast piasku rozciągało się linoleum. Tło stanowiły ściany Łaźni Porchester. To był babski wieczór. W przerwie na herbatę między szorowaniem a sauną Gillian zasiadła do studiowania trzeciego tomu listy dokonanych zakupów pokrytych kartą Visa.

— Co to za firma ta Yokel Okel Stores i za co mnie obciążają sumą dwustu czterdziestu siedmiu funtów? Powinnam mieć wspólną kartę z kimś bogatym. I to jak najszybciej.

— A co z Milo? Zaprosił cię na obiad?

— Nie. — Zmiała wyciąg w kulkę i rzuciła za siebie. — Bary mleczne były już zamknięte.

Maddy roześmiała się.

— Mówiłaś, że on jest dziany.

— Owszem. I ze strasznym wężem w kieszeni. Kazał szoferowi jeździć w kółko, aż znajdzie parkometr, gdzie by jeszcze była moneta do wykorzystania.

— To tak jak Montgomery. Przynajmniej wiemy, w jaki sposób dochodzi się do trylionów. — Herbaciarka dołała im do filiżanek letniej cieczy w beżowym kolorze i poczłapała dalej na swych nogach przypominających cheddar. — Gdybyś zużyła tyle samo energii na zrobienie kariery, ile wydatkujesz na tych swoich męskich mutantów...

Gillian odsunęła się, jakby nie chcąc mieć z tym nic wspólnego.

— Trzeba ci wiedzieć, moja droga Madeline, że kobieta, która robi karierę, dostaje zawału i traci włosy.

— Jesteś jakby żywcem wyjęta i przeniesiona w czasie z powieści Jane Austen, wiesz o tym? A tak dla twojej informacji: zbliża się koniec dwudziestego wieku. Kobieta powinna stać mocno na swych własnych wysokich obcasach od Maud Frizon.

— Wychowano mnie na dziedziczkę dużych pieniędzy i przyszłą żonę. Nie mam innego wykształcenia. — Bez makijażu Gillian wyglądała znacznie starszej. W bezlitosnym świetle żarówek i z odległości bliższej niż na wyciągnięcie ręki wszystkie ślady jej operacji plastycznych stawały się widoczne. Gillian była testamentem Picassa. Ilustracją kubizmu. Wewnętrzna strona jej ud przekształciła się teraz w tkanę piersiową. To, co kiedyś miała pod kolanami, teraz znajdowało się na jej szyi. Oprawiona, warta byłaby miliony. — Zresztą — mówiła dalej kpiącym tonem Gillian — gdyby Bóg nie kazał nam polować na męża, to czy obdarzyłyby nas cudownym biustem?

— Daj spokój, Gillian. Jesteś inteligentna, atrakcyjna. Co potrafisz robić? Spróbujmy na tym bazować... W czym jesteś dobra?

Gillian oparła głowę na splecionych dłoniach. Myślała długo i intensywnie.

— Potrafię bezbłędnie wepchnąć się do pierwszej klasy... Picie szampana też jest moją mocną stroną... Tak jak równomierne opalanie się bez zostawiania białych plam i pasków, no i wymigiwanie się od miłości francuskiej.

Maddy popatrzyła na przyjaciółkę z lekką przyganą.

— Jesteś cholernie zręczna w knuciu intryg i manipulowaniu. Dziewczy-no, mam dla ciebie idealne zajęcia. Weź się do polityki.

— Ojej, zabawne, że o tym wspomniałaś. Prawdę mówiąc, ostatnio zmi-trzężyłam trochę czasu, kręcąc się wokół Izby Lordów. Nie mówiłam ci o tym? To londyński dom starców.

— Dowód na to, że istnieje życie po śmierci.

— Zgadza się. Właśnie o śmierć mi chodzi. Dzięki... jak im tam? ...dzięki Yokel Okel Stores zamierzam poślubić jakiegoś kasiastego staruszka, a potem go wykończyć. Anglia jest krajem cywilizowanym, gdzie zabójstwo można usprawiedliwić zespołem napięcia przedmiesiączkowego.

— Aha. A jeśli udowodnią ci, że nie zrobiłaś tego tuż przed okresem?

— Wtedy powołałam się na przedwcześnie występujący zespół napięcia przedmiesiączkowego. Albo — rozłożyła ręce — napięcie pomenstruacyjne pozostałe z ubiegłego miesiąca. Czy też...

— Nie wiedziałam, że jesteś gerontofilką. — Od kiedy Maddy zamieszkała z Alexem, jej słownictwo zaczęło cierpieć na *elephantiasis*.

— Zdecydowanie. — Gillian odcodziła przez zęby ostatni łyk herbaty i położyła hojny napiwek na spodeczku. — Tyle że zatrzymuję się tuż przed grobem.

Maddy zamotała ręcznik wokół talii i wsunęła stopy w lepkie klapki.

— Skąd będziesz wiedziała, mając do czynienia z Anglikami z wyższych sfer?

Następny etap wpięknostąpienia polegał na obłożeniu ciała czymś, co przypominało przecier awokado zmieszany z chilli, zawinięciu całości w folię i pozostawaniu w tropikalnej temperaturze w pomieszczeniu pełnym pary. Najwyższa rangą kosmetyczka poinformowała je, że jest to terapia antycellulitis z morskich wodorostów, która pozwala wypocić toksyny.

— A skoro mówimy o wyższych sferach... — zaczęła Gillian, zwracając ku Maddy swą postać w marsjańskim kostiumie i łypiąc na nią znad raybanów — ...to jak się ma Alex?

Tego się obawiała.

— A ty — zrobiła unik — jak ty...

— Co ja?

— Jak wywijasz się z miłości francuskiej?

— Och, jest tyle rzeczy, o których mamy nam nie mówią...

— Na przykład?

— Na przykład, że w wieku lat trzydziestu pięciu na brodzie zaczynają wyrastać czarne włoski. Widzisz? — Wyciągnęła szyję. — Albo że sperma może mieć różny smak w zależności od tego, jaką dietę stosuje nasz dżentelmen... Albo że kiedy dostanie się do oka, to piecze...

Maddy obróciła się na tyle, na ile pozwalał jej pancerz.

— Gillian, co ty robiłaś, że sperma dostała ci się do oka?

— Właśnie ją przetykałam. Tego akurat nie lubię. W strategicznym momencie udaję, że łapie mnie kurcz w nogę. Nie zawsze jednak udaje mi się odegrać tę scenkę dostatecznie szybko...

W pomieszczeniu rozległ się tłumiony chichot.

— Kiedy pierwszy raz odstawiałam francuza — odezwała się kobieta siedząca obok — wszystko wyrzygałam. Mój facio, tak jak był w siódmym niebie, od razu znalazł się na samym dnie. Zwłaszcza że obzarłam się curry.

— Tak czy owak, powinno się z tego zrezygnować — podsumowała Gillian. — Od rozciągania ust robią się straszne zmarszczki. W każdym razie mnie się nigdy cały nie mieści w ustach.

Wszystkie starannie zafoliowane panie wychyliły się, by pogapić się na Gillian.

— Podaj mi natychmiast jego imię, nazwisko i numer telefonu — zażądała Maddy.

— Dobrze — zgodziła się Gillian, gdy tylko ucichł ogólny śmiech. — Wi-dzę, że postanowiłaś zerwać z tym panem. — Przemysłna taktyka Maddy zmierzająca do odwrócenia uwagi od tego tematu okazała się kompletnym fiaskiem. — Spójrz prawdzie w oczy. Jego nigdy nie ma. Jest żonaty. Jest...

— Mądry, inteligentny i funduje taką minetę, że nie masz pojęcia. — Turban na głowie Gillian nie wytrzymał gwałtownego wychylenia, przesunął się do przodu, strącając słoneczne okulary z arystokratycznego nosa Gillian i zostawiając jasną smugę na pokrytym mazidłem obliczu. — A do tego mnie kocha.

Gillian chrząknęła znacząco.

— Kocha mnie — upierała się Maddy.

— Uwierzę ci, złotko, jak zobaczę jakieś przekonujące dowody.

— Jakiego rodzaju?

— Bo ja wiem... Na przykład zawrotna suma zdeponowana na twoim koncie bankowym mogłaby wystarczyć.

— A przekonasz cię odejście od żony? Dzisiaj ma jej powiedzieć. Teraz, właśnie w tej chwili, kiedy rozmawiamy. Nie czuję się tak bardzo winna. Wiesz, on jej nigdy nie kochał. Alex mówi, że ona używa właściwie tylko dwóch wyrażeń: „uderzenia gorąca spowodowane menopauzą” oraz „głęboko zniesmaczona”.

— W takim razie dlaczego się z nią ożenił?

— Ponieważ tylko to mogli zrobić. To było dla nich jedyne wyjście. Uznali, że lepiej będzie zostać ze sobą na papierze, niż się kłócić, kto ma wziąć albumy „Abby”, a kto Wagnera. A także dlatego, że jak mówi Alex, mężczyźni żonaci żyją dłużej.

— Skoro on ją oszukuje — Gillian zerknęła znad okularów na Maddy z miną pełną wyższości osoby lepiej poinformowanej — to dlaczego myślisz, że ciebie nie będzie oszukiwał?

— On mówi, że seks, który nas łączy, jest jednocześnie związkiem serca i umysłu, i że to jest przeżycie z całkiem innym wymiarem — trajkotała Maddy. — Mówi, że nasza monogamia jest dla nas rozkosznym więzieniem, którego sami nie będziemy chcieli opuścić.

Gillian wybałuszyła oczy, jej dopiero co uratowany turban znów niebezpiecznie się przekrzywił. Odzyskując zarówno turban, jak i opanowanie, powiedziała stanowczo:

— Maddy, musisz pamiętać o kilku regułach. Jak rozpoznać, kiedy żonaty mężczyzna kłamie? Odpowiedź: wtedy, gdy porusza ustami. Wszyscy Anglicy, bez wyjątku, mają skłonności do zdrady. To pewnik. Podwójne życie jest

częścią życia. To taki angielski sport. Jak na przykład krykiet, w powszechnym rozumieniu... Wierz mi, wierność w małżeństwie możesz między bajki włożyć.

— Ona ma rację — potwierdził jakiś nie zidentyfikowany głos z głębi zaparowanego pomieszczenia.

— Wszystkie chłopcy kłamią i to jest prawda — przypieczętował sprawę głos z drugiej strony.

Obłoki pary spowijały szyję Gillian. Maddy patrzyła z podziwem na Gillian, która nawet w maseczce na twarzy prezentowała się szykownie.

— Oni mają przewagę nad swoimi żonami, a bierze się to z ich dyskrecji. Jeśli chodzi o Alexa, to właśnie ryzyko daje napęd jego romansom. Wierz mi, moja miła, on jest i będzie żonaty. Owszem, może być zakochany w miłości, ale mężczyznom romans potrzebny jest po to, aby mogli poczuć, że znów żyją. Ty najwyżej jesteś jego stymulatorem.

— I nawet taniej mu to wychodzi — orzekła inna anonimowa komentatorka.

Oparzy z morskich wodorostów stały się duszące, a miłe ciepło Saharą w samo południe. Maddy zerwała z siebie aluminiowy kokon i wygrzebała się z niego jak poczwarka.

— Nie mamy zresztą żadnej pewności, że istnieje tylko jedna żona.

Maddy zignorowała tę uwagę i jak Helen Keller^{*7} po omacku ruszyła w stronę wyjścia, znikając dumnie we mgle.

— Bo ten twój Alex może się okazać drugim Vigliotto. — I chociaż Maddy nie zadała żadnego pytania, Gillian pospieszyła z wyjaśnieniami: — To włoski fagas, który wsławił się tym, że miał sto cztery żony, i to jednocześnie.

— Jedyne, co się zdarzy jednocześnie w naszym małżeństwie, to będzie orgazm. — Mówiąc wyniośle te słowa, Helen Keller poślizgnęła się na mokrych kafelkach i potknęła o zafoliowany na zielono kokon, ozdobiony klip-

⁷ * *Helen Adams Keller (1880-1968) — niewidoma i grucha Amerykanka, działaczka społeczna, która dzięki swym książkom i odczytom wygłaszanym w wielu miejscach Ameryki potrafiła przezwyciężyć własne kalectwo i ustanowić fundację mającą pomóc niewidomym w osiągnięciu wykształcenia.*

sami wielkimi jak żyrandole, który przemówił do niej najczystszy cockney-em: „Stul giczoły, bo ci śmierdzi z japy”. I to były ostatnie słowa, jakie doszły do jej uszu, zanim się nie wykopyrtnęła wprost do baseniku z zimną wodą.

Ale nawet ta przypadkowa lodowata kąpiel w basenie nie zadziałała otrzeźwiająco jak kubeł zimnej wody. Liczył się bowiem fakt, że Maddy była zakochana, nie tyle nawet beznadziejnie, ile — wręcz przeciwnie — pełna największych nadziei. I wbrew wszystkiemu nadal była gotowa czcić ziemię, po której on stąpał.

RS

Conan Poprawny

Alex najbardziej podobał się Maddy w chwilach tuż przed orgazmem. Wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem kogoś, komu się właśnie przypomniało, gdzie położył kluczyki od samochodu, których dotąd nie mógł znaleźć.

— No i? — zapytała, opadając na jego zgrzaną pierś.

— No i co? — mruknął w odpowiedzi. Oczywiście miał półprzymknięte.

Całowała go po owłosionej klatce piersiowej, bawiąc się kędziorkami włosów.

— Jak na to zareagowała?

— Reakcja Felicity będzie zależała od jej humoru. Może być rozsądna i wielkoduszna, a może być też nierozsądna i mieć pod ręką fuzję.

Maddy poderwała się.

— Chcesz powiedzieć, że nie rozmawiałeś z nią na ten temat?

— Posłuchaj, naprawdę trudno jest zabierać się do rozwodowych podziałów, kiedy się przebywa w miejscu, gdzie statystycznie ma się do przeżycia nie więcej niż trzy, cztery sekundy. Jeśli ta cholerna wojna w Zairze potrwa jeszcze dłużej, to wyginą gibony srebrzyste. Popatrz. — Odwrócił się do niej plecami, by zaprezentować ledwo widoczną szramę na prawym pośladku. — Gdybym stał odwrócony lewą stroną, a nie prawą, miałabyś teraz do czynienia z kastratem.

— Tak, wiem — odpowiedziała z rezygnacją Maddy. — Widziałam to ujęcie. — Obciągnęła koszulkę, która podjechała jej gdzieś w okolice szyi, zeskoczyła z łóżka, by wbić się w legginsy. Pochwyciła pełne dezaprobaty spojrzenie Alexa. Wiedziała, że nie pochwalał jej obyczaju nakładania na siebie w dzień tego, w czym spała. — Ojej — zachnęła się. — To pozwala rano zaoszczędzić parę chwil. — Czekala, żeby się uśmiechnął. Ale się nie doczekała. — No więc kiedy od niej odchodzisz?

— O Boże, jak już późno. — Alex poderwał się jak z procy i zaczął przewracać wszystko w bielizniarce. — Uczuciowo już dawno od niej odszedłem. Każde z nas prowadzi zupełnie niezależne życie. Musisz jednak zrozumieć...

— Nie znalazłszy czystej bielizny, wyciągnął z kosza na rzeczy do prania biały podkoszulek, nadający mu wygląd porządnego chłopaka z klasy robotniczej, który wyszedł na ludzi. Zmarszczył nos. — Maddy, jeśli nie opróżnisz wkrótce tego kosza, to on się rzuci na ciebie...

— Alexandrze? — Patrzyła mu prosto w oczy i czytała w jego twarzy jak w otwartej książce.

Wzruszył ramionami.

— Posłuchaj, ja i Felicity jesteśmy ze sobą od piętnastu lat. Stanowimy dwa boki etażerki, między którymi trzyma się przyjaciół, domy, historię... Nie mogę tak po prostu rozmontować tego wszystkiego.

— To napiszesz historię od nowa! — Maddy cisnęła koldrę w okolice łóżka, to było jej ustępstwo na rzecz domowych porządków. — Wojnę z Burami, Gallipoli, oderwanie się Singapuru...

— Byłoby miło, gdybyś od czasu do czasu pościeliła łóżko. — Usiłowanie Alexa, by wygładzić pościel, zostało zniweczone przez Maddy, która jednym susem znalazła się na wierzchu, by na łóżku poćwiczyć skoki jak na trampolinie.

— Nie mów, że ja nie ścielę łóżka, bo ja je wietrzę!

— Od dwóch miesięcy? Aha, i jeszcze jedno, wiem, że chciałaś tylko pomóc kelnerce, ale naprawdę wolałbym, żebyś nie zrzucała resztek na jeden talerz i nie układała ich w stosik. W każdym razie nie w jednej z najdroższych restauracji w Londynie. I przestań skakać na tym cholernym...

— Coś ty. Jestem po prostu młodym rocznikiem. Musi trochę potrwać, zanim dobre wino dojrzeje, prawda? — Mówiąc to, skoczyła mu wprost na plecy.

— Maddy, masz już prawie trzydziestkę. — Zrzucił ją z siebie. — Pora przelać wino do karafki. Ja właśnie przestaję demonstrować przejawy swojej przedłużonej młodości — picie wódki wprost z butelki, papierosy, marycha, czekoladowe eklerki, naprawdę smakowite, jakie Felicity... — Mówiąc to, jednocześnie wyciągał szpilki z zafoliowanej w pralni koszuli. — Mimo że jest to naprawdę trudne, jak Boga kocham... — Mógłby teraz wbić w nią te szpilki.

— Co takiego? — Maddy udąa, że nie rozumie, o co mu chodzi. — Zerwać z paleniem? Za to stań od czasu do czasu za samochodem, a będziesz miał pełne, dogłębne doznanie niedostatku tlenu.

— Nie mogę działać zbyt gwałtownie, by nie doznała szoku. Musi się stopniowo odzwyczajając ode mnie.

Ogarnął go posepny nastrój, który Maddy opacznie brała za intelektualną głębię, a co było jedynie zapatrzeniem w siebie. Gotowa do ustępstw, przytuliła się do niego, zagląając mu zalotnie w ponure oblicze.

— Pamiętasz, jak zaręczyliśmy się kólecikiem z puszki coca-coli? Na Bondi Beach? To była naprawdę wzruszająca chwila. Może to śmieszne, ale ludzie, którzy się zaręczają ze sobą, często potem biorą ślub.

— „Borąsiu” — przedrzeźnił ją. — Pólykasz głoski. Maddy przeciągle gwizdnęła.

— Wielkie dzięki, panie gramaturzysto. Jesteś Conan Poprawny.

— Może cię to śmieszy, ale badania wykazują, że zdecydowana większość angielskiej populacji łączy poprawną wymowę z wyższym ilorazem inteligencji, lepszym wyglądem, ogólną schludnością, seksapilem i rzetelnością. To się nazywa wymowa wyniesiona z domu. Biorą ślub — powtórzył z pedantyczną artykulacją.

Maddy uwolniła go z czulego uścisku.

— Jak mówi prosty człowiek pracy.

— Przez całe lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte, kiedy ja usilnie pracowałem nad swoim akcentem, Mick Jagger i jego kumple podrabiali te nosowe przeciągłe głoski. Możesz mi jednak wierzyć, ich akcent jest już dawno preterminowany. — Kroczył teraz z dumną miną po pokoju, zawiązując krawat i wpinając spinki w mankiety. Maddy miała ochotę dotknąć jego włosów, wyglądały bowiem nęcąco jak ptaki w locie. Uziemił je grzebieniem. — Taki bełkot dopuszczalny jest w zoo.

— Och, przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jestem postacią z kiepskiej sztuki Bernarda Shaw. Muszę zmienić cały swój aparat mowy, żeby mieć wytworną wymowę. Chociaż muszę ci powiedzieć, że ledwo rozumiem Harriet i Humphreya. Mówią tak, jakby mieli śliwki w gębie. „Banany w kremie z Tanzanii” znaczy „Jaka jest atmosfera w tej cholerniej ekonomii?”

— Może się zdziwisz, ale oni też cię prawie nie rozumieją. Znasz takie powiedzenie: jak się nazywa osoba między dwoma Australijczykami? Odpowiedź: tłumacz. A jeszcze gorzej, jeśli ciebie rozumieją. Własnym uszom nie wierzyłem, jak powiedziałaś Bryce'owi, żeby sobie zmienić zawiasy w szczęce! — burczał rozeźlony, szarpiąc guziki od koszuli. — Jeśli zamierzasz mieszkać w Anglii, to musisz się nauczyć trochę dyplomacji.

— Chciałeś powiedzieć, że muszę się nauczyć kłamać?

— Jeśli planujesz zacząć życie od nowa, to tak. — Przez chwilę zmagając się wewnątrz ze sobą potem odwrócił się do niej i czułym gestem odgarnął jej włosy z policzka. — Ale z drugiej strony, Bóg mi świadkiem, że nie miałbym ci za złe, gdybyś chciała wracać do domu. Byłoby to dla mnie trudne do przeżycia. Piekielnie trudne. Ale nie powinienem być samolubny. Rozumiesz, jedynym powodem, dla którego Anglia stała się kolonialną potęgą, było to, że nie chcieliśmy czekać, aż inni przyjdą i nas stąd wykopią. Jak ci się wydaje, dlaczego Humphrey, Harriet i Bryce zachowują się z taką rezerwą? Bo oni ciągle nie dowierzają, że wyekspediowaliśmy stąd kryminalistów, byśmy sami mogli tutaj zostać i czuć się bezpiecznie.

Maddy spojrzała na niego podejrzliwie.

— Mnie się Anglia podoba. — Jej zdaniem urodzić się w Anglii, z jej całą literaturą i architekturą, każdym zaułkiem pełnym duchów i historii, to jak wygrać los na loterii życia.

Alex, z rękami w kieszeniach, zadzwonił drobnymi monetami. Jego głos znów brzmiał ostro, kiedy powiedział:

— Skoro postanowiłaś zostać, w takim razie uważaj, jak mówisz. — Siadł ciężko na łóżku, żeby związać sznurowadła. — Ludzi odrzuca, kiedy mówisz „więzień” zamiast „więzienie”... Kiedy zmieniasz szyk i sens... A już twoje czasowniki nieregularne...

— Och, wiesz, że nie chodziłam długo do szkoły. Dobrze, jeśli uda mi się znaleźć jakiś regularny czasownik... — Maddy posłała mu najbardziej figlarny uśmiešek, na jaki ją było stać, Alex jednak konsekwentnie odmawiał przedstawienia się na lżejszy nastrój. — No dobra. Moja wiza jest ważna jeszcze tylko przez kilka miesięcy. Jeśli się ze mną nie ożenisz, odstawią mnie ciupasem do granicy — dodała z goryczą. — Czy teraz mój pieprzony angielski da się jakoś zrozumieć?

Jej słowa, ledwo wypowiedziane, zawisły w powietrzu niezręczne, niestosowne. Natychmiast pożałowała swojego wybuchu. Mogła pamiętać, że Alex cierpiał z powodu zmiany czasu. Och, cierpiał też z powodu żony. I takiego życia. Siedział przed nią w pełnym rynsztunku, jak duża paczka, która czekała na rozpakowanie. Zaczęła ściągać z siebie ubranie, równocześnie odwijając go z kunsztownego opakowania.

— Jeśli tak cię rażą moje samogłoski, to możemy w ogóle nie rozmawiać. Rozważmy inny sposób porozumiewania się ze sobą. — Popchnęła go lekko na łóżko i przyssała się do jego pępka. — Na przykład język ciała. Mamy przed sobą cały weekend, żeby nabrać biegłości. — Zatrzeszczało stare łóżko, a materac ugiął się jak hamak.

Alex stuknął się w czoło.

— Och, weekend! Byłbym zapomniał. Strasznie cię przepraszam, żabko. Ale natychmiast po powrocie z Ameryki Południowej muszę wyskoczyć za miasto, do chaty w wiejskiej głuszy. Mamy tam seminarium telewizyjne. Straszliwie nuudne. — Jego głos przeszedł w jęk, dla odmiany wyrażający rozkosz. — Proszę, nie przerywaj...

Maddy natychmiast jednak oprzytomniała. Nadal klęcząc nad nim, odsunęła się od niego, urażona i nadąsana. Zarys bikini w negatywie wywołany przez nieustanne australijskie lato stał się już prawie niewidoczny.

— Słuchaj — powiedziała spokojnie — jeśli ci już wychłodło...

Alex pociągnął ją z powrotem na siebie.

— Wychłodziło? Słoneczko, sama twoja obecność wywiera na mnie cieplarniany efekt. Jesteś mi droższa nad życie. — Dyszał ciężko. — Możesz być pewna mego uczucia. Należę do ciebie bez reszty. Niech się dzieje, co chce... Będziemy mogli więcej ofiarować światu, kiedy będziemy sobie nawzajem oddani... Felicity to pomyłka, rodzaj ustępstwa. To ty jesteś moją partnerką intelektualną... Póki pamiętam: odebrałaś z pralni moje koszule? Ona się z tym pogodzi. Czy w końcu nie jesteśmy wszyscy wyposażeni w niezmienne prawo do życia, wolności i dążenia do szczęścia? Może powinniśmy przenieść się do Suazi? Pojechałem tam kiedyś, żeby zrobić film o obojnackich obyczajach ślimaków lądowych. Wiesz, że mężczyzna może mieć więcej niż jedną żonę? O Jezu! Uważaj!

Maddy powstrzymała się, żeby nie zazgrzytać zębami. Miała wrażenie, że Vigliotto właśnie się przyznał, kim jest. Przełknęła złe przecucia zmieszane ze spermą.

Prasa doniosła

Nazajutrz Alex, uzbrojony w kombinezon nurka wzmocniony kolczugą, wyruszył popływać z patagońskimi wielorybami ludojadami. Maddy w tym czasie miała za zadanie opanować wcale nie łatwiejszą sztukę — wyokraglić swoje samogłoski. Jak kiedyś Eliza Doolittle, tak teraz ona stała się zapamiętałą bojowniczką w starannej wymowie samogłosek. W ciągu tego tygodnia jej wargi stały się cieńsze, nie dlatego, że znalazła szczególne upodobanie w tego typu snobizmie, ale na skutek nieustannych ćwiczeń w cyzelowaniu końcówek i zwalczaniu połykania sylab, które teraz musiały w całości meldować się na miejscu.

W sobotę Maddy zadzwoniła do Gillian, by zaskoczyć ją swoją odnowioną, jak po przeszczepie, wymową, ale spotkał ją zawód, gdyż przyjaciółka właśnie wybierała się na lotnisko. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że Gillian zamierzała dojechać tam pociągiem. Wołała nie ujawniać swemu nowemu mężczyźnie swoich znacznie skromniejszych niż dotychczas warunków życia (dla kogoś takiego jak Gillian różnica między Knightsbridge a Fulham, dokąd się przeniósła, równa była przepaści dzielącej Claridges od śródmieścia Kalkuty), dlatego zdecydowała się umówić z nim od razu na lotnisku Gatwick przy stanowisku odpraw. Maddy postanowiła ją odprowadzić. W istocie spełniła rolę eskorty, gdyż Gillian, nienawykła do korzystania z publicznych środków transportu, podeszła do kasy i władczym tonem zażądała: „Bilet proszę”.

Jej bagaż wystarczyłby na roczny pobyt za granicą, wszystko było nowiutkie i odświeżone, z wyjątkiem oczekującego na nią towarzysza podróży, który był stary jak świat i w widoczny sposób sterany życiem. Na upstrzonej plamami szyję zwieszały się fałdy pomarszczonej skóry. Posysając ze świstem swoją sztuczną szczękę, obrzucał krótkowzrocznym spojrzeniem halę odlotów, dłubiąc przy tym bezwiednie w aparacie słuchowym.

— To on? — zapytała Maddy pełnym niedowierzania, głośnym szeptem, popatrując na niego zza filaru, który służył za niezłe zamaskowane stanowisko obserwacyjne. — Ależ on jest łysy jak kolano.

— Wcale nie jest łysy — szepnęła oburzona Gillian. — Ma tylko upośledzone mieszki włosowe.

— No, nie. Jezu kochany. Przecież on jest głuchy jak pień.

— Powiedziałabym raczej: niedosłyszający. Maddy zarechotała.

— Daj spokój, Gillian. Naprawdę będziesz całowała z języczkiem faceta, który chowa szczękę do szklanki?

— Jesteś beznadziejna. On ma po prostu uzębienie zastępcze, ot co.

Maddy raz jeszcze wyjrzała zza filaru.

— Chyba nie mówisz poważnie. Pytałaś go, ile ma lat? — Cofnęła się zdjeta zgrozą. — Jest tak wiekowy, że pewnie tego nie pamięta.

Gillian uwolniła się od uchwytu Maddy.

— Moja złota, czy to ma jakieś znaczenie, że ma obwisłą skórę, skoro jego penis znajduje się na swoim miejscu? — To mówiąc, ruszyła, by pozbierać rozsypujące się szczątki swojego osobistego ludzkiego bagażu. — Kochanie! — Cmoknęła go na powitanie w zwiędły policzek, po czym sprawdziła w lusterku w torebce, czy nie musi poprawić sobie ust. — To Madeline, moja pokojówka.

Podczas gdy Maddy, zdumiona, wytrzeszczyła na nią oczy, dziedziczny członek Izby Lordów skinął zdawkowo w jej stronę, zanim nie zaliczył jej do niższych form życia, i pospieszył z paszportami do odprawy.

— Byłabym zapomniała, czy ten pan uporządkował swoje domowe sprawy, tak jak obiecywał?

Od czasu pamiętnego a fatalnego przyjęcia Gillian nie określała Alexa inaczej jak „ten pan”.

— Jedyna rzecz, jaka jest obecnie porządkowana, to moje samogłoski — oświadczyła Maddy.

Gillian zmrużyła oczy.

— Nie pozwól, by ten pan śmiał ingerować w twoje samogłoski! Samogłoski mogą się okazać najcenniejszym skarbem dziewczyny.

— Myślałam, że mam mówić tak, jakbym przez cały czas trzymała w ustach fiuta?

Pod pretekstem, że odrywa lubemu kawałek woskowiny, jaka mu się rzekomo przykleiła do kłaka bokobrodów, Gillian zręcznie wyłączyła staremu aparacik słuchowy.

— Tak, ale jeśli ten pan chce, żebyś coś zrobiła, to musi być podejrzane. A poza tym, jeśli naprawdę zamierzasz udawać kogoś z wyższych sfer, to naucz się jakiegoś obcego i bardzo odległego języka, na przykład mandaryńskiego albo suahili. Dzieci z wyższych sfer zawsze mówią jakimś dialektem, bo jak wiesz, nas się często trzymało pod schodami, pod opieką służby. A teraz *ad iós*. Następnym razem, kiedy się zobaczymy, powinnam być już księżną. Dlaczego ty nie rzucisz tego pana i nie znajdziesz sobie jakiegoś podstarzałego milionera ze szmerami w sercu? — Klepnęła w ramię swego towarzysza, który zdezorientowany uśmiechał się, patrząc tępo przed siebie. — Nie używaj wobec niego określenia „stary”. Jeśli powiesz „z życiowym doświadczeniem”, to akurat trafisz w sedno. — Gillian, włączywszy na powrót jego aparat słuchowy, rzuciła kilka uwag fortissimo na temat wiosennych porządków w ciepłarni, wypolerowania brązowych okuć schodów, co poparła obietnicą podwyżki, posuwając się cały czas drobnym kroczeniem w stronę wyjścia dla podróżnych. Zanim zniknęła za bramką, zatrzymała się jeszcze i pomachała upierścienioną dłonią. — I w ogóle nie myśl o nim i jego pani, jasne?

— Jasne.

Na drogę powrotną do miasta Maddy zaopatrzyła się w plik gazet. Ponieważ nie wiedziała, dla jakiego czasopisma pracuje Felicity, kupiła wszystkie dostępne tygodniki. Znalazła tam całe kolumny poświęcone majsterkowiczom, którzy chcieliby na przykład samodzielnie wypychać zwierzaczki, kolumny zapełnione ciekawymi zdarzeniami, jakie zaszły w wannie sławnych ludzi, kolumny poświęcone znacnym osobistościom, które cierpiały na hemoroidy, i wreszcie felietony na temat trudności pisania felietonów. Tyle było tych kolumn jak na Akropolu, choć raczej przestarzałych niż starożytnych, ale w końcu Maddy trafiła na to, czego szukała. Felicity Drake. „Perspektywy Kobiet”.

Jasne — pisała — że nigdy nie wchodzę do salonu kosmetycznego Harvey Nichols frontowymi drzwiami. Używam wejścia awaryjnego. Nawet nie po to, żeby coś tam ze sobą zrobić. Gdybyście były tak jak ja, drogie Czytelniczki, wysmagane wiatrem i deszczem, to też chodziłybyście tylko po diagnozę...

O Jezu, pomyślała zniesmaczona Maddy. Może to i jest śmieszne.

Ostatnio odniosłam wrażenie, że wszędzie, w każdym pomieszczeniu znajduje się kobieta, która narzeka, iż jej mąż ją zdradza. No cóż, obawiam się, że doszłyśmy właśnie do pewnego wieku.

Serce Maddy przestało na chwilę bić. O Boże. Ona wie.

Czy w Twoim małżeństwie panuje zatęchła atmosfera? Najlepszym sprawdzianem okaże się odpowiedź na pytanie, kiedy to ostatni raz całowałaś się namiętnie? Czy było to wtedy, gdy on zbyt długo pozostawał pod morską wodą na Karaibach?

Jakich znowu Karaibach?, pomyślała Maddy z irytacją. Kiedyż to oni byli na Karaibach? Hm, ostatnio nawet wyglądała na opalonego.

Oczywiście wypada bredzić o rozwodzie. Nie ma nic bardziej niemożliwego niż szczęśliwe małżeństwo. Opowiadanie o zdradach, orgiach czy rzucanie się z nożyczkami na mężowskie garnitury, których pozbawia się strategicznych fragmentów, wyzwała jedynie uczucie niesmaku wobec publicznego prania brudów.

Chciało jej się rzygać, kiedy to czytała. Więc nic jej nie powiedział.

Ale nawet kobiety, które tak jak ja mają udane małżeństwo, powinny pamiętać o tym, że mężczyźni też przechodzą swoją menopauzę. Mojego ostatnio trzeba było wieźć na sygnale do szpitala, bo miał ostry ból w klatce piersiowej. Podejrzewany atak serca okazał się nadwężeniem mięśnia na skutek zbyt intensywnych ćwiczeń z ekspanderem, jaki mój małżonek zafundował sobie na swoje czterdzieste dziewiąte urodziny.

Zagotowało się w niej. Czterdzieste dziewiąte! A jej powiedział, że dopiero co przekroczył czterdziestkę!

Ale po czym poznać — zapytują klientki salonu piękności Harvey Nichols — że mąż akurat ma romans? Otóż, jeśli budzisz się rano i masz w pamięci wydruk karty kredytowej, i nie jest to twoja karta kredytowa, to już może być wskazówka, którą trzeba wziąć pod uwagę.

Karta kredytowa? Czyja karta? Maddy przecież nie miała żadnej karty kredytowej.

Innym niezbitym dowodem może być fakt, że twój mąż zaczyna przychodzić do domu o różnych, nietypowych porach. Albo gdy bierze prysznic przed snem lub też wraca już wykąpany. Czy używa płynu do ust, zanim pocałuje cię na dzień dobry? To są wskazówki świadczące o tym, że być może posłubiłaś dwu-

licowe-go gada. A wtedy władze terenowe powinny zarządzić stan pogotowia i przeczesanie terenu. Nie mścij się jednak. Nie zapominaj, że zemsta to danie, które najlepiej smakuje na zimno. Wodę mineralną powinno się podawać schłodzoną. Trzeba pamiętać, że jeśli mężczyźni pozwalają sobie na skok w bok, jest to sprawa rozgrywająca się wyłącznie w sferze seksu. To skutek funkcjonowania jego gruczołów. I nic nie trzeba z tym robić, samo przechodzi.

Wyłącznie w sferze seksu!

Wkrótce wróci do siebie, by ze zdwojoną energią pisać artykuły o potrzebie spędzania większej ilości czasu z dziećmi, choć sam będzie nieczuły na błagania własnej progenitury, by przegrać z nimi w Monopol...

Zimny pot oblał Maddy. Progenitura? Czyja progenitura? Przypomniała sobie wstępne informacje z *Who's Who*. Jak tam było? Jedno „s” i jedno „c”. Wszystko jasne. Wtedy była zbyt ogłuszona, żeby właściwie odczytać ten kod. A co jest złego w ciepłej wodzie mineralnej? Maddy poczuła nagle nieprzepartą ochotę sprawdzenia, ile czasu potrzeba, by zobaczyć, jak Alex będzie siniał w nurtach Tamizy. Cisnęła na kolana zmiętą gazetę. Boże, jakaż z niej idiotka. Skończona kretynka. Beznadziejna oślica. Kochając Alexa, nie tylko oderwała się od ziemi, ale zaparła się obiema nogami w powietrze. Między innymi pociągał ją swoją ryzykancką odwagą. Otóż to! Gdzieś na Sumatrze mógłby zwieszać się nad kipiącym kraterem wulkanu, uczepiony jedną nogą sterowca z jednoosobową załogą, ale nie starczyło mu odwagi, by przyznać się, że ma żonę, szczęśliwe małżeństwo oraz... słowo to nadal trudne było do wymówienia nawet w myśli — potomstwo. Potwory takie jak Alex powinny być specjalnie oznakowane, by można je było z daleka rozpoznać. Co począć?

Maddy szamotała się całą drogę z Gatwick do Victorii. Każde rozwiązanie musiało sprawić ból. Tak jak oderwanie plastra. Zerwać go szybko czy powoli? Powoli to oskarżyć go o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa. Jak w powieściach Jane Austen. Szybko znaczyło odnaleźć go, wytrząsać po pysku, dać kopa w przyrodzenie i zapytać, co tu jest, kurwa, grane.

Jedną ze zdobyczy cywilizacji, jaką Anglia mogła się poszczycić, było zainstalowanie telefonów w niektórych pociągach. Po zaskakująco niedługim wahaniu sekretarka Alexa podała Maddy numer telefonu jego wiejskiego ustronia. Kiedy wreszcie odezwał się w słuchawce, głos miał drżący od z trudem powstrzymanej irytacji.

— Maddy, na Boga, o co chodzi?

— Ilu facetów trzeba do wymienienia żarówki?

— Zebrało ci się na żar...

— Ani jednego. Faceci wołają, żebyśmy pozostawały nieoświecone.

— I po to przerwałaś mi ważne spotkanie? Żeby powiedzieć coś takiego?

— Prawdę mówiąc, dzwonię, żeby ci zwrócić uwagę na bardzo interesujące rzeczy w dzisiejszych gazetach — odpowiedziała lodowatym tonem.

— O czym ty, do cholery, mówisz? — zapytał zniecierpliwiony.

— Może byśmy tak przestali bawić się w policjantów i złodziei, dobra? Bez przerwy kłamiesz jak sto pięćdziesiąt, ty tchórzliwy szczyłu! — Kolejka oczekujących do toalety wyciągnęła ciekawie szyję, by nic nie uronić z tej konwersacji. — Musimy pogadać. Lepiej wracaj do Londynu.

— Kiedy nie mogę... — wydusił z siebie wreszcie po dłuższym odchrząkiwaniu. — Jutro porozmawiamy.

— W takim razie ja przyjadę. Wyczuwało się pełne trwogi napięcie.

— Wierz mi — powiedział w końcu — że niczego bardziej nie pragnę, jak zobaczyć się z tobą. Ale to cholerne seminarium. Jest piekielnie ważne, nie da się go odłożyć. Och, te ciągle zebrania, praca, ciągła praca...

— A co ty sobie wyobrażasz? Że ja będę tam siedziała jak na tureckim kazaniu?

— Nie, kochanie, skądże. Tylko że nie znajdziesz tu dla siebie odpowiedniego towarzystwa. Po prostu tego się nie robi.

— Nie bądź taki Anglik. Jak przyjadę, to zobaczysz, że tak się robi, i to będzie precedens. Fakt dokonany. — Maddy cedziła słowa jak przez gęste sito.

— Uspokój się, proszę — syczał do słuchawki. — Teraz nie mogę rozmawiać. Jutro porozmawiamy o wszystkim. Muszę już wracać. Ale — zniżył głos — pamiętaj, że trzymasz mnie przy życiu. Jesteś moim skarbem, wiesz przecież. — Maddy obserwowała, jak skinhead z szyderczą informacją na czole „Made in London” pracowicie ugniatał w palcach grudkę wydobyłą z nosa, a następnie ją zjadał. — Kocham cię... — szepnął konspiracyjnie Alex — ...Pysiu.

Przyszło jej do głowy, że gdyby scenarzyści zapisywali dokładnie to, co ludzie mówią do siebie w chwilach pełnych dramatyzmu, fotele w kinach świeciłyby pustkami.

Miała przesiadkę na Victoria Station. Przechodząc przez długie tunele i śledząc w szybach swoje odbicie, Maddy ćwiczyła wymawianie ścięzionych samogłosek — przeciwnie do zaleceń dykcjonarzy. I obmyślała zemstę. Humor jej się poprawił na samą myśl o tym, jaką Alex zrobi minę, kiedy zobaczy ją, jak daje nura w sam środek jego telewizyjnej burzy mózgów. Do tej wizji dodała jeszcze wyobrażenie śladów zębów rottweilera, i to ją bardzo pocieszyło.

RS

Niestrawne mięczaki

W Australii, gdy ktoś mówi: „Wyskoczę do chaty w wiejskiej głuszcy”, to ma na myśli rozpadający się szalas, bez bieżącej wody, ze sławojką na podwórku, zamieszkaną na stałe przez pająka krzyżaka. W Anglii natomiast te same słowa oznaczają dużą wiejską rezydencję. Fosa, labirynt i wszystkie dodatki. Mad-dy, brodząc po łące usianej żonkilami tak złocistymi, że wydawały się sztuczne, patrzyła na rozciągające się pola o soczystej zieleni rodem z odpustowych landszaftów, na pienne obłoczki i szesnasto wieczny wiejski dworek. Było to miejsce godne magnatów i purpuratów, a nie rozwalająca się chałupa, do której jej strój wydawałby się bardziej odpowiedni. Wzięła głęboki oddech. Anglia była rajem dla zwolenników używania na krzywy ryj. Bo Anglicy są tacy grzeczni. Zbyt grzeczni, by zapytać, kim, u diabła, jest ten facet, który pochłania hektolitry nektaru pochodzącego z twoich winnic i ławice wędzonego łososia. Ostatni raz obrzuciła krytycznym spojrzeniem swoją minispódniczkę w szkocką kratę, do tego skapłą górę sięgającą najwyżej do przepony, i z determinacją weszła do środka.

Tak to jest, że jak się zagłąda w czelusć lufy, to całe dotychczasowe życie przewija się przed oczami. Maddy poszukała wzrokiem drogi ewakuacyjnej. Ściany najeżone były rogami prehistorycznych łosi, wielkimi jak śmigła helikoptera. Po obu stronach korytarza żelazne broje przeżyły się na baczność. Nawet za balustradą balkonu dla bardów majaczyła broja z wymierzoną prosto w nią piką.

— Madeline! — Sposób, w jaki feministka psycholożka wymówiła jej imię, niewiele miał wspólnego z ciepłym powitaniem, raczej mroził krew w żyłach. — W porządku, panie oficerze. To przyjaciel, nie wróg.

Policjant ze służb specjalnych schował pistolet do kabury i wycofał się w mrok wnętrza.

— No, proszę. — Harriet odsłaniała w uśmiechu całe dziąsła, których różowy kolor przypominał krwistą tkankę, jaką widuje się po przedwczesnym zerwaniu strupa. To czyniło jej usta podobne bardziej do rany niż do tego,

czym w istocie były — groźną bronią. — Nadal ubiegasz się o stanowisko żony Alexandra?

Jej słowa nie tyle raniły Maddy, ile drażniły jak powolne rżnięcie tępą piłą.

— Co tu robi ten gliniarz? Rany boskie... Chciałam powiedzieć, co właściwie zamierzacie omawiać na tym pieprzonym seminarium?

— Spotkanie zapładniające. Seminarium polega na tym, że pan i władca zapładnia pomysłami, które następnie trzeba donosić, zanim się je urodzi. Nie uważasz? A tak naprawdę to, o ile się orientuję, zrobiliśmy sobie chwilę oddechu na łonie natury na koszt nieszkodliwego gwiazdora rocka. Z udziałem, oczywiście, Bardzo Ważnego Gościa.

— Ten dom jest ich? — Maddy czuła się jeszcze bardziej upokorzona przez pełną wyższości postawę Harriet.

— Madeline... Ty jesteś Madeline, nie myłę się? — Jej głos dochodził z bardzo wysoka, tak potrafiła się wywyższać Harriet. To chyba jedyny w świecie kraj, pomyślała Maddy, gdzie osoby całkiem znajome potrafią cię zrównać z ziemią. — Czy wiesz, po czym poznać, kiedy mężczyzna przechodzi menopauzę? Zaczyna uprawiać biegi długodystansowe, kupuje jacht w kształcie cygara albo funduje sobie skok w bok z młódką.

Maddy odnalazła schody ewakuacyjne i rzuciła się ku nim, biorąc po dwa stopnie na raz.

— Czy ty naprawdę uważasz, że rzuciłabym wszystko: dom, pracę, przyjaciół dla czyjegoś „skoku”? Nie powiesz mi chyba, że on po prostu ma zwyczaj częstego zakochiwania się.

Harriet prychnęła lekceważąco.

— Zrozum, przez całe lata pracowaliśmy w sąsiadujących ze sobą biurach. I możesz mi wierzyć, on nigdy nie przychodził do pracy z tego samego kierunku.

— Gówno prawda.

— Moja złota, można by ułożyć całą grę planszową z miłosnych dróg Alexandra Drake'a.

Nie ma nic bardziej okrutnego niż udawana słodycz samotnej feminokratki, uznała Maddy.

— Również z twoim udziałem? — zaryzykowała. Harriet pobladła. Maddy już się zorientowała, że Anglicy nie

znoszą osobistych pytań. Cała Anglia powinna być obwieszona tabliczkami ostrzegawczymi: „Nie przeszkadzać”.

— Istnieje pewna etykieta — oświadczyła Harriet, wytarłszy przedtem starannie usta serwetką, którą miała w dłoni od dłuższego czasu — dotycząca romansów. Taka kobieta jak ty jest czymś w rodzaju trofeum, którym można się pochwalić w niektórych kręgach. Alexander ma liczne kręgi znajomych. Jedne z nich akceptują jego... — tu popatrzyła na Maddy z pogardą — flirty. Inne natomiast postrzegają go przede wszystkim jako męża i...

— Ojca? — odpowiedziała usłużnie Maddy.

— Wzorowego ojca. A do tych kręgów nigdy nie będziesz miała wstępu.

Jasnego umysłu Harriet nie mąciła żadna troska ani wątpliwość. Nie miała męża ani dziecka, które by mogło zachwiać jej pewność siebie, wyręć zmarszczki na twarzy albo uczynić wyłom w jej niezłomnej logice.

— On interesuje się wyłącznie kobietami, które są nim zainteresowane. Nigdy nie wybierze kogoś, kto by z nim konkurował. W ciągu tych lat przywiózł ze swoich podróży całą kolekcję niezwyklej okazów — zadudniła. — Akrobatkę z Argentyny, prawdziwą tancerkę na linie! Rewolucjonistkę z Timoru. To była piękność, a przy tym chodząca powaga. Była też mistrzyni świata w skokach spadochronowych, skazana za coś tam, już nie pamiętam, co to było, ale w każdym razie przysporzyło jej to niemało popularności. Napisała książkę o torturach, jakim została poddana. Była wprost rozrywana przez różne kręgi towarzyskie i koła dyskusyjne. A teraz mamy wysoką Australijkę, która zajmuje się nurkowaniem z akwalungiem i z równą wprawą prowadzi coś w rodzaju ciężarówki...

Mimo całego autorytetu, jaki sobą reprezentowała, Harriet Fielding w jakiś sposób była wyobcowana, może nawet zagubiona.

— Biorąc pod uwagę mnogość i zmienność jego upodobań, radziłabym ci, koleżanko, przeciąć te więzy i pójść swoją drogą.

Maddy wyminęła ją i weszła do jadalni. Było to mroczne i przepastne pomieszczenie, z sufitem poprzecinanym żebrami białych i czarnych belek. Odnosiło się wrażenie, że jest się we wnętrzu wieloryba — połkniętym w całości. Znała przeszło połowę zebranych wokół mahoniowego stołu. Pomyślała, że mieszkańcy Londynu, choć to metropolia, krążą jak wiry w jednym i tym samym miejscu. Przyjrzała im się z uwagą kogoś, kto penetruje zawartość lo-

dówki, by dociec, co tam tak śmierdzi. Humphrey, z twarzą bladą i poprzecinaną niebieskawymi żyłkami, wyglądał jak stiltonski ser. Gwiazdor rocka, w opakowaniu od Versacego wartym milion dolarów, wodził wybałuszonymi jak jajka na miękko oczami za Imogen Bliss, Modelką i Matką Roku, która siedziała w pobliżu, kręcąc na wymanikiurowanym paluszku swoje słynne loki. Ukradkiem posyłała mu całusa, ale tylko wtedy, gdy Bryce zajmował się ich wzorcowym dzieckiem, upozowanym wdzięcznie na afgańskim dywaniku modlitewnym. I wreszcie pomiędzy smolistooką Rosjanką a Salmanem Rushdiem siedział Alex, wyglądający jadalnie, a nawet apetycznie, ale przecież w środku zupełnie zepsuty. Z chwilą jednak, gdy pochwycił spojrzenie Maddy, twarz mu się skurczyła i zwiędła, przypominając suszone pomidory leżące przed nim na talerzu.

Egzotyczna Rosjanka właśnie dzieliła się swoją gehenną, jaką za czasów Breżniewa przeszła za sprawą KGB. Ze spokojem godnym striptizerki obnażyła swoje alabastrowe ramię, głównie na użytek Alexa, by zademonstrować mleczne blizny. Dla tego typu kobiet mężczyźni gotowi byli zdradzać swój kraj. Maddy zauważyła, że ostatnio stało się bardzo modne wynajmowanie Rosjan dla uatrakcyjnienia londyńskich *soirées*. Przebijali nawet sałatki z rukoli.

Maddy niemal słyszała zbiorowy chrzęst ich marszczących się krytycznie nosów, kiedy wreszcie ją zauważyli.

— Jak się masz, Madeline! — Sonia odsunęła krzesło, które zaturkotało na brukowanej posadzce. Pozdrowiła ją machnięciem rzemyczka plecionego ręcznie przez rdzenne Brazylijki. — Zaprosiłabym cię do naszego stolika, ale... — niechętnie nadstawiła policzek do pocałowania — ...tu już nie ma miejsca.

Maddy ustaliła, że przyczyn spadku swej popularności, co objawiało się niezapraszaniem do stolika, powinna upatrywać w zaniku opalenizny, co dowodziło, iż nie jest autentyczną księżniczką Pindzindzara.

— Och, nie zajmuję dużo miejsca — odpowiedziała prowokująco, taszcząc krzesło, by się do nich przysiąść.

Odsuwali się z ociąganiem, niechętnie dopuszczając ją do swego grona.

— No cóż... — odezwała się speszona gospodyni. — Zostań na drinka.

Nawet szampan w kieliszku Maddy zdawał się pienić z oburzenia. Wypiła go jednym haustem i czekała na dolewkę. Sonia jednak najwyraźniej miała na myśli tylko jednego drinka. Kiedy przez dłuższą chwilę nikt się nie kwapił, by jej usłużyć, Maddy złapała butelkę i sama napełniła swój kieliszek. Dobroczynność nie zrodziła się w zamku, to pewne. Dopóki nie zaczęła pogryzać podstawki pod kieliszki, nikt nie zaproponował jej kawałka pieczeni stygnącej na środku stołu.

Drabina społeczna Londynu okazuje się trudniejsza do wspinaczki niż Andy. Maddy zorientowała się, że chodzi też o to, kto pierwszy przytrze nosa drugiemu. Angielskie przyjęcia to zawody w tej konkurencji. Dobry gracz wyciąga w ciągu wieczoru dziesięć do piętnastu spojrzeń z góry. Maddy, nie zwracając uwagi na sąsiadów, sięgnęła przez stół po sos miętowy.

— Patrzcie państwo — zadrwił Humphrey, zionąc na nią karbolowym oddechem. — Cofasz się do źródeł kulturowych stereotypów?

Maddy zanurzyła w sosie kawałek mięsa nabity na widelec.

— Ależ skąd. Gdybym uprawiała seks z jagnięciem przed zjedzeniem go, wówczas można by mówić o cofaniu się do źródeł kulturowych stereotypów.

— To Australijka — poinformował Humphrey siedzących przy stole tonem usprawiedliwienia.

— Ojej. — Maddy udąła zmartwioną. — A co? Widać mi ogon? — Nagle ogarnęła ją nieprzeparta ochota, by sprawdzić, jak zabytkowy talerz sprawdziłby się w roli *frisbee*.

— Wymyśliłem definicję Australii w formie pytania do quizu: co to za kraj, którego nieokrzesani mieszkańcy traktują monarchę niemal tak samo jak swoich aborygenów? — Włosy Humphreya były w jeszcze większym nieladzie niż zazwyczaj. Wyglądały jak sztuczne listowie.

— Nie miej jej za złe pochodzenia. — Alex wypowiedział te słowa w obowiązującej uprzejmej tonacji. Wyłogi z czarnego aksamitu odcinały się wyraźnie na tle jego żakietu. — W końcu nie zapominajmy, że perły biorą swój początek z flegmy mięczaków. — Piorunował ją wzrokiem.

— Właśnie zjadłem niedawno zepsutą ostrygę — odpowiedział znacząco Humphrey. — Prawdę mówiąc, jeszcze teraz mam biegunkę.

— No więc mówię wam — oświadczył Bryce — że ich finansowe perły okazały się fałszywe. Spójrzcie na Bonda. Już nie jest perłą światowego kina.

— Czy wiecie, jak się woła na Australijczyka? — zapytał Humphrey, przedrzeźniając Maddy i jej akcent. — Pozwany.

Dla Anglików, pomyślała sobie Maddy, Australijczycy są Irlandczykami Pacyfiku.

— Coś wam powiem — odezwał się gospodarz. Jego gardłowa artykulacja wskazywała niechybnie na West End. — Byłem tam raz na turze i niech to. Żarcie dają porąbane. Potrawka z mrówkojada, zupa z kangurzego ogona, gulasz z dupków czy-ichś-tam czy jak to się nazywa.

— Naprawdę? — Maddy wytrzymała mordercze spojrzenie Alexa. — Spotkałam kilku dupków, ale jakoś nigdy ich nie jadłam.

Wprawdzie kochanek pokazywał jej, których widelców używa się do ryb, ale nie wspominał o innym zastosowaniu sztućców- Była tu zaledwie od kwadransu, a już z jej pleców wystawał cały komplet noży. Żeby jeszcze pogorszyć jej samopoczucie, za każdym razem, kiedy zamierzała odstawić kieliszek, Soflia czym prędzej podsuwała podkładkę z wizerunkiem jakiejś ściętej królowej, by szkło bezpośrednio nie dotknęło mahoniowego blatu. Maddy potrzebowała raczej podkładki swojej naturalnej wielkości, by nie kalać sobą tego cennego zgromadzenia. Jedząc zupełną łyżką deserową i nakładając sałatę na talerzyk do pieczywa, przypieczętowała opinię o sobie — beznadziejna parweniuszka.

Humphrey demonstracyjnie chwycił szczypce do sałaty, nałożył stertę zieleniny na swój talerz gestem pod tytułem: „to się tak robi”, po czym odwrócił się do niej z ironicznie uniesioną brwią. W naturze Anglików było coś, czego Maddy nie pojmowała. Z jednej strony pełni zrozumienia dla wszelkiej ekscentryczności — można było paradować po Oxford Street w samej tylko bransolecie, podzwaniając kółkami w nosie, i nikt cię nie zaczepiał, z drugiej natomiast — minimalne uchybienie protokolarne, jak użycie słowa „toaleta” zamiast „łazienka”, uznawane było za poważne wykroczenie.

— Przynajmniej nie jesteśmy sztywniakami od karku w dół ani nudni jak flaki z olejem — odcięła się.

Współbiesiadnicy pochylili głowy nad talerzami jak automatycznie spuszczone rolety. Z wyjątkiem Salmana Rushdiego, który, rozbawiony, wybuchnął gromkim śmiechem. Tak samo jak ona, nie pasował do tej ławicy piranii.

Wynajęta Rosjanka wychyliła się zza pleców Alexa, by lepiej widzieć Bar-
dzo Ważnego Gościa.

— To gdzie teraz pan mieszka? — zapytała Salmana Rushdiego.

Maddy przebiegła wzrokiem wszystkich zgromadzonych przy stole. My-
ślała, że zaraz usłyszy dowcipy o Rosjanach, opowieści o tym, jak to wylizują
talerze i posługują się nogami przy jedzeniu. Ale jej wytworny towarzysz na-
wet okiem nie mrugnął. Gafę stulecia niektórzy skwitowali uprzejmym uśmie-
chem. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, pomyślała markotnie Maddy.
Dla równowagi należy pamiętać o Gallipoli.

— Ze względów bezpieczeństwa musiałam zwolnić służbę. — Sonia po-
spieszyła z melodramatycznym wyznaniem. — Ale mam nadzieję, że jedzenie
było znośne. Do owoców stosujemy ekologiczne pestycydy, przyjazne dla
środowiska. Wino tylko organiczne, jajka od kur dziobiących, a mięso wolne
od hormonów.

— W przeciwieństwie do twojego męża — mruknęła pod nosem Maddy.
Imogen, trzymając dziecko w zagłębieniu łokcia, miała kłopoty z rozpięciem
bluzki jedną ręką. Społecznie wyrobiony gwiazdor jednym susem znalazł się
przy niej, gotów do pomocy.

Sonia odciągnęła swojego nieślubnego i poprowadziła go z powrotem na
jego miejsce.

— Wiem, że to zbytek pozwalać sobie na służbę — mówiła dalej uspra-
wiedliwiającym tonem — ale nasze domy są takie duże. Ludzie myślą, że to
żaden problem mieć do czynienia ze służącymi, a to wymaga tyle pracy i za-
chodu... wszystko im trzeba wyjaśnić, co kupić, a co wyczyścić... Nikt mnie
nie uprzedzał, jakie to w gruncie rzeczy kłopotliwe... — Jej mężuś gwiazdor
zawył przeciągle, bo właśnie wyrzwał głową w umieszczoną nisko belkę. Wy-
glądało na to, że Sonia specjalnie doprowadziła do tej kolizji.

Mimo przygnębienia szelmowska natura Maddy kazała jej się głośno roze-
śmiać.

— No, to wiele wyjaśnia — zawołała. — Teraz już wiem, dlaczego an-
gielska klasa wyższa jest taka głupia. Musicie od wieków walić łbami w te
wasze zabytkowe stropy posiadłości z epoki Tudorów.

Nikomu poza nią nie wydało się to śmieszne. Alex całą siłą woli opanował
swoje wojownicze zapędy.

— Nie doszedłem jeszcze do korzystania ze służby — oświadczył. — I właściwie nie korzystam ze swoich rosnących dochodów. .. Jeśli nie liczyć przejazdów pierwszą klasą, hoteli pięciogwiazdkowych, jadania białugi i picia bollingera.

— Tak? — Maddy raptownie przestała się śmiać. — A niani nie wymienisz? Tej, którą zatrudniasz do swoich dzieci? To nie jest luksus?

Alex rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. Wyglądał teraz jak kawałek arbuza. Zastygł w tej postawie aż do przerwy między posiłkami, dzięki czemu wymknął się z jadalni. Maddy ruszyła za nim. Czekał na nią na dębowym podeście schodów.

— Czy ty masz pojęcie, kto to jest ten jowialnie wyglądający facet, który siedzi na końcu stołu? — zasyczał do niej. — To dziennikarz z „Private Eye”! A gdyby tu była Felicity?

Maddy zignorowała tę uwagę.

— I ty nazywasz to miejsce małą dziuplą, gdzie odbywa się seminarium?

— To jest posesja, moja droga, ładna posesja. Dziupła to miejsce ukrywania się przestępców.

— No właśnie... To co się stało, mądralo? Zarazasz czy jak?

— Nie mogłem ci ujawnić, dokąd jadę, ze względów bezpieczeństwa. Dla niektórych jestem biologiem, ale jestem też dziennikarzem. I nauczono mnie, by nie ujawniać takich informacji. Nawet swojej ukochanej... — Oparł dłońe na jej ramionach.

Strąciła je gestem zniecierpliwienia.

— Nie pieprz!

— To już poniżej pasa. Nie doprowadzaj mnie do tego, żebyśmy podniósł głos.

— A co powiesz o dzieciach? Czy nauczono cię nie ujawniać również tego typu faktów?

Otworzył usta, twarz mu stężała. Po chwili odzyskał równowagę, ujął Maddy za łokieć i w zdecydowany sposób poprowadził po schodach. Minęli pokój, w którym stacjonowały jednostki specjalne. Kiedy wychodzili z jadalni, komandos londyńskiej kultury omawiał bramki, jakie padły w rozgrywkach futbolowych. Policjanci z jednostek specjalnych czytali Shakespeare'a i studiowali Jacques'a Derridę przy sączących się w tle melodiach z opery

Monteverdiego. Czy było w tym coś niewłaściwego? Maddy zadała sobie pytanie. Ale kiedy znaleźli się w sypialni z oknami zagłębionymi w wykuszach, eksplodowała z impetem bomby atomowej.

— Czy naprawdę nigdy nie miałeś nieprzepartej ochoty, żeby powiedzieć prawdę?

— Ja cię nie okłamałem. To przypadek wybiórczej szczerości... Zamierzałem ci powiedzieć. Przecież, na tyle już mnie znasz, by wiedzieć, że jestem raczej zwolennikiem ewolucji niż rewolucji. Nie chciałem zbyt wiele zrzucić na twoje barki za jednym zamachem. A poza tym... dzieci nigdy nie były mi specjalnie bliskie. Nie wydawało mi się to nawet takie ważne. Po tym, jak bliźniaki przyszły na świat...

— O Boże, bliźniaki! Podwójne spięcie.

— ...Felicity zepchnęła mnie na margines. Nigdy nie miała wielkiego apetytu na seks, a po porodzie jej libido zmalało do zera. Calamitose przeniosła na dzieci. Odseparowała je ode mnie. I to do takiego stopnia, że nawet nie czuję żadnych więzów. Czy myślisz, że łatwo mi o tym mówić? Że jako ojciec zawiodłem?

Maddy nie wykazała zrozumienia.

— W takim razie, kim ja jestem dla ciebie? Kryzysem wieku przejściowego?

— Jesteś moim nie dokończonym negatywem. — Alex zaimprovizował. — Chociaż nie... Jesteś moim dowodem na istnienie. Bez ciebie jestem niekompletny.

— Niekompletny? — Skurczyła się pod jego dotykiem. — Nie, chłopcysiu, ty jesteś skończony.

— Maddy, musisz mi uwierzyć. Odejdę od niej, jak Boga kocham. Ale przejrzałem swoje rachunki. Pytałem księgowego. Czy ty masz pojęcie, ile bym musiał płacić alimentów? — Odsłonił w uśmiechu wzorowo wyczyszczone zęby. — Wierz mi, nic tak dobrze nie odświeża umysłu, jak odrobina ubóstwa... Gdybym jednak mógł ją sprowokować, żeby to ona wystąpiła o separację, sąd byłby znacznie bardziej przychylny... A tymczasem — dodał chytrze — Maddy, przecież jesteś inteligentną osobką, wymyślmy więc coś sensownego. — Odwrócił głowę, bo nie mógł wytrzymać jej spojrzenia. —

Mógłbym przebywać z Felicity przez pół tygodnia, a z tobą przez pozostałe pół... Właśnie coś takiego chodzi mi po głowie...

— Jak wszy — skwitowała lekceważąco. Wpatrywała się nieobecny wzrokiem w różowe peonie kwitnące na tapecie, na dobrane do nich zasłony wdzięcznie przewiązane w pasie jak sukieneczki drухen. — Powiedziałeś, że się pobierzemy!

— O, nie — zaprotestował Alex. — Mówiłem, że zostaniemy ze sobą do końca życia. To coś innego. Sama byś nigdy nie chciała wziąć ślubu, jestem przekonany. Żona jest tym dla męża, czym kondom w uprawianiu miłości. Zabija wszelkie doznania...

Maddy starannie wycelowała przed wymierzeniem mu tęgiego kopniaka.

— Tyś mnie kopnęła? — zawył Alex ze zgrozą.

— Nie, wcale. To tylko mój but natrafił w powietrzu na przeszkodę w postaci twoich pośladek. To taka wybiórcza szczerłość...

Dał jej w ucho. Poczwała ostry, przeszywający ból. Zrewanżowała mu się ciosem, który kosztował go utratę kosmyka włosów z pieczołowicie ułożonej fryzury. Powalił ją na turecki kobierzec i przygwoździł jej ręce do podłoża tak, jakby przyszpilał motyla do tablicy okazów. Unieruchomiona, mogła już tylko ugryźć go w usta aż do krwi. Ugryzienie przeszło w gorzki pocałunek. A po nim nastąpiło gorączkowe rozpinanie guzików, zgrzyt rozsuwanych zamków błyskawicznych, wzajemne odzieranie się z ubrań. Alex dyszał nad nią jak pies nad miską z jedzeniem. Rzucili się na siebie chciwie, łapczywie, jak wygłodniali, zbłąkani wędrowcy. Właśnie taką miłość Maddy nazywała seksem dzikusów. Coś takiego można było przeżyć tylko z nieznanym, pomyślała melancholijnie.

— Masz kapturek? — wymamrotał pytająco.

— Nie. — Zamierzała nadal prowadzić z nim wojnę.

— Rany boskie... — Alex zaczął grzebać po omacku w szufladzie podręcznego stoliczka. Znalazł tam tylko odblaskowy gadżet, który po wyjęciu z opakowania wygrywał melodyjkę *Great Balls of Fire*. Padli na mosiężne łóżko. Maddy wyczekała moment, w którym Alex przybierał minę znalazcy kłuczyków, i wtedy jak piskorz wywinęła mu się z rąk.

— Myślałam, że to zabija wszelkie doznania — przypomniła mu przekornie.

Przechodzą mnie dreszcze, bo chciałbym jeszcze, rany koguta, czy widziałś kutasa, co by tak hasał? — wtórował kondom.

— Najdroższa. — Alex dał nura między jej nogi i ukrył twarz w ich złączeniu. Nazywał to „poławianiem pereł”, pewnie dlatego, że kiedyś zdarzyło mu się wyjadać ze smakiem ostrygi zaserwowane właśnie w tej części jej ciała. Czuło się zniewalający piżmowy zapach ich miłości. Jak wszystkie kobiety, które tracą głowę dla mężczyzn, położyła się, gotowa na jego przyjęcie.

Kiedy wybrzmiał do końca przeciągły, niski, wiolonczelowy jęk Alexa, Maddy, leżąc bez ruchu, wpatrywała się w jedwabne niebo rozpiętego nad nią baldachimu. Ścieżka jego spermy chłodziła jej uda. Znudziła się już Alexowi. To było tak oczywiste jak fakt, że Humphrey miał przeszczep włosów.

— Kto to jest ta Rosjanka? — zapytała.

— Kto? A, ta. Nawet nie wiem. Natasza jakaś tam czy coś w tym rodzaju — odpowiedział w roztargnieniu, zajęty macaniem prześcieradła w poszukiwaniu kondomu.

— Nie udało ci się znaleźć ciemnoskórej córy politycznego uchodźcy z Dolnej Wolty?

— Co takiego?

— Jakkolwiek by było, ta Rosjanka to bojowniczką o wolność... Och, jestem pewna, że ona nie uczyni żadnego wyłomu w twym kulturalnym pancerczu.

— Wiesz, te jej blizny na ramieniu to najprawdopodobniej ostrzeżenie moskiewskiej mafii za wpychanie się na ich rynek ikon... — Alex, buszując teraz pod prześcieradłem, wypiął na nią poślądki obciążone dynamówkami, jakich nie powstydziliby się bokser z jakiejś bananowej republiki. — Już próbowała sprzedać mi kupę bizantyjskiego srebra zrabowanego z jakiegoś kościola. Chyba nie myślisz poważnie, że mógłbym być nią zainteresowany?

— To dlaczego nie pocałowałeś mnie, kiedy weszłam?

— Co? Ojej. Bo jadłem czosnek, i to wszystko. — I to mówił człowiek, który stawał oko w oko z leopardami, które nie gardziły ludzkim mięsem, ocierał się o żarłaczę ludojady i ogromne kałamarnice. Był mistrzem w robieniu uników. — Wszystko będzie dobrze — oświadczył, rezygnując z dalszych poszukiwań gumowej peleryny. Ponieważ podczas weekendu miało nie być

służby, będzie miał czas na swobodne poszukiwania zguby. — Zostań na noc — poklepał ją po wilgotnych udach. — Porozmawiamy później.

— Chyba nic z tego nie będzie. Odnoszę niejasne wrażenie, że nie jestem tu mile widziana.

— Nie bądź śmieszna. — Alex spojrzał na zegarek. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Czy ja wiem... Może ma to coś wspólnego z Harriet, która zaczęła mi czytać rozkład jazdy powrotnych pociągów, jeszcze zanim na dobre przestąpiłam próg. Do tego... Ty też nie wydajesz się specjalnie we mnie zainteresowany.

— Mną zainteresowany, dla ścisłości. Słuchaj, muszę wracać. Organizujemy nową kampanię w obronie naszych współbraci zagrożonych islamem. Zobaczymy się na dole.

W łazience Maddy przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu. Była Australijką od pięciu pokoleń. Jej przodkowie cierpieli na chorobę morską przez całą drogę aż do Botany Bay na pokładzie „Siriusa”. Więc u siebie była jak udzielna księżna. Księżna Di antypodów. Swego rodzaju arystokratka. Tylko diadem jej brakowało. A teraz, proszę, co się z nią stało. Co tu się nie zgadzało? Poświęciła wszystko dla Angol, który okazał się już nawet nie kolosem, ale liliputem na glinianych nogach. Pomyśleć, że to ona, bo przecież nikt inny, wyniosła go na piedestał.

Nie, nie zostanie. To byłoby nie do zniesienia. Nazajutrz przypadała niedziela. Już widziała w wyobraźni, jak wertują gazety w poszukiwaniu rubryk „z wyższych sfer” i kronik towarzyskich, by poczytać o własnym stylu życia. Z Alexem skończone. Był wyczerpaną gumą, od dawna już bez smaku. Należało go wypluć na chodnik, niechby teraz jakaś lalunia w to wdepnęła. Jeśli chodziło o wyczuwanie pisma nosem, to Madeline Wolfe miała wyostrzony węch.

Poczula gromadzącą się w kroku dziwnie obfitą galaretkę spermy. Nie zastanawiając się dłużej nad tym, schowała majtki do kieszeni. Naciągnęła na nogi rajstopy porzucone niedbale przez Sonię, przesunęła wskazówkę łazienkowej wagi o dobre trzy kilogramy do przodu — trudno było o lepszą zemstę na gospodyni bez przerwy kontrolującej swoją wagę — i zeszła na dół.

Kobiety krzątały się, zbierając talerze ze stołu, a ich partnerzy, stanowiący męską odmianę feminizmu, pochylali się nad portem czy whisky albo skrywali

za płachtami „Independent”. W kuchni natomiast policjanci szowiniści, zajmujący pozycje na prawym skrzydle, pomagali w zmywaniu. Co było niewłaściwego w tym obrazku?

Alex, rozwalony na sofie, drapał się leniwie po brzuchu. Jego oczy pełne blasku, melodyjny śmiech, swobodnie rozrzucone kończyny wysyłały sygnały naładowane zmysłowością. Bez wątpienia Natasza nadawała na tych samych falach. W tym momencie Maddy uświadomiła sobie, że dotychczas myślała lechtaczką. Seksowność stanowiła całe przebranie Alexa. A jeśli w ogóle używali jakiegokolwiek okrycia, teraz przesypane już było naftaliną, gotowe do odstawienia w głąb szafy.

— Alex, to koniec naszej znajomości — oświadczyła, usiłując nadać swojemu głosowi chłodne, opanowane brzmienie i starając się nie zwracać uwagi na uwięzione w zębach jego włosy łonowe. — Mam już dość twojego udawania niewiniątka. Jesteś mięczak.

— Mówimy o ostrygach? — Humphrey wychynął zza płachty „New Statesman”.

— Nie, raczej o obłudnych skorupiakach — wyjaśniła Maddy. Pozostali zgromadzeni przyglądali jej się z nie tajoną niechęcią. — No więc? — Popatrzyła badawczo na twarz Alexa, usiłując coś z niej wyczytać. Zaciągał się z rozkoszą cygarem Bryce’a. Natasza tymczasem zwinnie jak kot, jednym sussem, przeniosła się na kanapę tuż obok niego. Mruczała i przeżyła grzbiet, całkiem już oswojona. — W każdym razie uznałam, że lepiej będzie powiedzieć ci teraz otwarcie, niż miałbyś czekać na szczegółowe exposé w „News of the World”.

Okłapł jak fryzura gospodyni.

— Maddy, kochanie... — Ruszył w jej kierunku. Harriet uspokajającym gestem położyła mu dłoń na ramieniu.

— Powodzenie przyjęcia — zaszczębiotała Sonia, usiłując ratować sytuację — zależy od przetasowania kart, czyli zgromadzenia indywidualności, by zobaczyć, jak sobie razem radzą. — Plastikowe wielorybki u jej uszu poruszyły się niespokojnie. — A jeśli spotykają się przeciwieństwa, to tym lepiej... — Wzorowa pani domu roześmiała się nerwowo. Jej mąż, ostentacyjnie odłożywszy na bok dziecko, przepadł gdzieś z Imogen na kilka ładnych godzin.

— W porząsiu, kinomani — ogłosił Bryce, wparowując do pokoju. — Dzięki swojemu sprytowi, żeby nie powiedzieć: geniuszowi, udało mi się załatwić piracką kopię zwierzeń Roberta Maxwella. Ej, wiara, nie zapomnijcie przynieść ze sobą popcornu!

Na poprzednim wspólnym przyjęciu część rozrywkowa zawierała rzekome wspomnienia Elvisa, zatytułowane *Video Burger King*. Na przedostatnim było to pojawienie się autora zakazanej książki o eutanazji. Jeszcze dawniej — zdymisjonowanego ministra. Kolekcjonowali sławy jednej nocy i wymieniali się nimi jak kartami do baseballa: Dam ci Davida Mellora za Klause von Büllowa. Cierpliwość Maddy do tych ludzi i ich gier salonowych przekroczyła punkt krytyczny.

— Was też mam po dziurki w nosie, zakute pały — wypaliła. — Wreszcie zrozumiałam, dlaczego wszystkie dziane Angole tak lubią psy. Bo to przyjemnie mieć towarzystwo na swoim poziomie.

Właśnie tę kwestię ćwiczyła przed lustrem w łazience, a kiedy ją w końcu wypowiedziała, poczuła, jak uchodzi z niej kipiąca złość, przynosząc ulgę. Ale gdy odwróciła się na pięcie, by wymaszerować z godnością, i zaczęła wśród zatechłych palt poszukiwać torebki, poczuła przeciąg, który jej uświadomił, że musiała wetknąć swą kraciatą minispódniczkę w rajstopy i przycisnąć ją gumą.

Wtedy też uświadomiła sobie, że jej przepustka do wyższych sfer straciła ważność.

W robocie

W grancie rzeczy mężczyźni chcieli tylko jednego — zdobyć modelkę prezentującą bieliznę, która by miała podwiązane jajowody i tytuł magistra. Do takiego wniosku doszła Madeline Wolfe, kiedy znalazła się na ponurych ulicach torysowskiej Anglii, pogrążonej w recesji. Bez znajomości i referencji miała problemy ze znalezieniem pracy. Jakoś nikt nie poszukiwał instruktorki nurkowania z akwalungiem. Agencje zakwalifikowały ją więc jako opiekunkę staruszków. Miała też robić zakupy i sprzątać. Nocny dyżur od ósmej do ósmej płatny dodatkowo, a przy konieczności wstawania więcej niż dwa razy w ciągu nocy wynagrodzenie wzrastało dwukrotnie. Dałoby się wytrzymać, zakładając, że zaaplikuje się staruchom coś mocniejszego do picia przed położeniem ich spać. Za stanie w policyjnym kordonie można było wyciągnąć do czterech funtów za godzinę. A gdyby tak zainstalować sobie kolczyki w nosie, zrobić sztywną fryzurę na żel i powłóczyć się w okolicach Piccadilly Circus, można by pozować japońskim turystom, którzy płaciliby dziesięć funciaków za fotkę. Mogłaby też zostać panią od obiadów w szkolnej stołówce; ubrana w niebieski czepek, nylonowy fartuch i beżowe pończochy przygotowywałyby puree ze sproszkowanych ziemniaczków. Płaca była marna, ale za to pozwalała wynosić do domu nieograniczone ilości rabarbarowego musu. Istniała też usługa polegająca na tym, że z chłopaczka robiło się chłopca na schwał. Praca ta wymagała flirtowania z klientem na przyjęciach, co w rezultacie miało wzbudzić zazdrość dziewczyny, która nieroztropnie zaniedbała swoją sympatię. Stawka wynosiła czterdzieści pięć funtów za jeden flirt — bez ubezpieczenia.

W chwilach wolnych od przeglądania tych nęcących ofert Maddy wpatrywała się w telefon w oczekiwaniu na upragniony dzwonek. W końcu doszła do wniosku, że aparat musiał się zepsuć, więc w odstępach mniej więcej dziesięciominutowych łączyła się z centralą żeby to sprawdzić. Po tygodniu otrzymała „najszybszą” z dotychczasowych przesyłek od Alexa, w której donosił, co następuje:

„Bardzo Cię Kocham i tylko ta moja miłość do Ciebie nie pozwala mi Cię zabrać na moją następną wyprawę. Jestem wystawiony na działanie bezwzględnej i złośliwej maszyny państwowej, która zdolna jest do podrzucenia narkotyków do Twojego bagażu wyłącznie po to, by mi narobić kłopotu. Nie myśl, że Ciebie nie chcę. Pragnę Cię bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ale wokół mnie zrobiło się gorąco, tak że muszę uważać, abym się nie poparzył. Nie sądzę, by mogli mi zrobić jakąś fizyczną krzywdę, więc o to się nie martw. Nie przejmuj się też swoją towarzyską gafą u Soni. Wszystko Ci wybaczone. PS. Wiem, że żartowałaś, mówiąc o »News of the World«. Takie zagrywki nie pasowałyby do Ciebie, są nie w Twoim stylu. Jeśli nie będę dzwonił, to tylko dlatego, że telefon hotelowy może być na podsłuchu. Uściski dla Moriarty'ego”.

Gafa towarzyska? Przyjście bez zaproszenia? Tam, skąd Maddy pochodziła, nie uznano by tego za gafę. Pocięcie żyłką slipków twojego chłopaka — to byłaby towarzyska gafa.

A Moriarty? Jacyż ci Anglicy są romantyczni. Jedyną pamiątką, jaką Alex jej zostawił, był baryłkowany, zapchlony zwierzak, któremu kapąło z pyska, kiedy obnażał kły. Wcale nie było to łatwe zajęcie opiekować się kundlem, który ważył trzy razy więcej niż jego opiekunka.

Pierwszą rzeczą, jaką Maddy postanowiła zrobić, to wyprowadzić się z mieszkania na Islington. Już na Księżycu byłoby więcej powietrza. Mogła przecież znaleźć pracę z mieszkaniem. Na początku trafiła jej się tylko opieka nad domowymi zwierzątkami, ale i to nie trwało długo. Moriarty, którego kupiono zapewne w sklepie z pupilami strzegącymi domostw, miał niemiły zwyczaj rzucania się do gardeł jej podopiecznym. Cała oddana jej pod opiekę zwierzyna, od pekińczyka do chomika, wkrótce gryzła już ziemię.

W końcu przyjęła posadę „kucharki i towarzyski” pewnego hipochondryka z Knightsbride. Cierpiał na sześćdziesiąt rozmaitych alergii i mógł jeść tylko gołąbki, dorsza, melony i groszek. Przekonała się wkrótce, że wytworna „cuisine” ma wiele wspólnego z quizem. Nieraz trzeba było więcej czasu na rozszyfrowanie nazw wyszukanych dań, jakich się dopominał — *grives froides* czy *fricandeau de poisson* — niż na ich przygotowanie. Jedynym dodatkiem, jaki gotów był umieścić na swojej liście smakołyków, była Maddy. Za każ-

dym razem, kiedy go mijała, jego poźółkle od nikotyny palce przyklejały się do wybranej części jej ciała.

— Założę się, że nieźle z ciebie ziółko. — Łypał na nią pożądliwie, tak że musiał zaraz wycierać ślinę zbierającą się w opuszczonych kącikach ust. — Takim dziewczynom należy porządnie przetrzepać skórę...

Gdyby ślimak mógł kopolować z migdałową galaretką, końcowym produktem byłby pan Arnold Tongue. To była mordercza praca.

Mimo swoich licznych alergii był neurotycznym właścicielem ośmiu kotów, których słabości Maddy musiała znać na pamięć i im folgować. Bezczelny pers lubił Beethovena i jak się go drapało po brzuchu. Parchaty burasek chciał, by mu nastawiać przebojowe melodie z filmu *Południowy Pacyfik*. Szary pieszczoł upodobał sobie szczególnie Prousta. Podczas gdy Maddy wolno było korzystać z mrocznej i zatęchłej komórki, koty miały do wyłącznego użytku luksusową łazienkę. Do jej obowiązków należało wybierać kawałki ryby z odpadków przeznaczonych do wyrzucenia oraz spuszczać do klozetu kocie odchody. Koty trzy razy dziennie raczyły się obieranymi przez nią w palcach krewetkami, które natychmiast zwracały (jako że były nażarte po same uszy), Maddy natomiast musiała zadowalać się konserwami i półproduktami, które gotowało się w plastikowych torebkach. Wystarczyło, żeby kot ledwie pokręcił nosem nad miską, a już go ekspediowano do weterynarza. Maddy natomiast nie dostała wolnego popołudnia, by pójść z bolącym zębem do dentysty.

Wcierając w dziąsło esencję z goździków, pocieszała się myślą, że jeśli sytuacja ulegnie drastycznemu pogorszeniu, naszprycuje jedzenie pana Arnolda oliwą z oliwek i w ten sposób w trybie ekspresowym wyprawi go z powrotem do kliniki.

W ciągu pierwszych dwóch tygodni Maddy skupiła się na pracy. Chciała zapomnieć o Aleksie, ale widocznie nie było jej to pisane. Po pierwsze — znalazła zagubiony kondom. Tkwił w niej, co odkryła w drodze do domu, wracając pociągiem z letniej rezydencji Soni — gumowe memento. Po wtóre — przeszkadzał jej w tym Moriarty, przemycony przez nią do sutereny, gdzie terroryzował koty i wygryzał dziury w perskim dywanie. A do tego jeszcze Alex bez przerwy występował w telewizji. Za każdym razem, kiedy Maddy

włączała odbiornik, jakiś ufryzowany gogus mówił: „A teraz następny mój gość, którego nie muszę przedstawiać...”, po czym go przedstawiał. Wtedy pojawiał się Alex na kanapie, ramię w ramię z osobistościami znanymi Maddy tylko ze znaczków pocztowych. Pospiesznie zmieniała kanały, po to jedynie, by odnaleźć jego kukielkowe wcielenie w programie satyrycznym. Przerzucała się wtedy na radio... Tam królował jako ekspert w quizach. Każde kolorowe pismo, które wzięła do ręki, donosiło o jego ulubionej nadziewanej papryce albo mniej ulubionym łamaniu praw zwierząt.

Doszło nawet do tego, że zaczęła tęsknić za jego uwagami wytykającymi jej błędy gramatyczne. Pisała do niego listy miłosne, których nie wysyłała, podpisując się: „Twoja Poprawna Wymówka”. Czytała „Private Eye” w poszukiwaniu jakiejś wzmianki o rozpadzie jego małżeństwa. Wbijała szpilki w lalkę voodoo, którą nazwała Felicity. Po tym, jak pan Tongue wyjątkowo oblesnie uszczypnął ją w dolne rejony oraz ponownie nie zgodził się na jej wyjście do dentysty, Maddy poczuła nieodpartą chęć przyrządzenia jakiegoś włoskiego dania...

*

Kiedy naoliwiony ponad miarę hipochondryk wylądował w szpitalu, Maddy nakupiła whisky za pieniądze przeznaczone na dom i cały czas włączyła się po opustoszałym mieszkaniu, jedząc obierane w palcach krewetki (koty natychmiast przeszły na dietetyczne jedzenie z puszki), rozdrapując rany i rozpamiętując swój ból. Cały czas myślała o Aleksie. Jak mogła aż tak się uzależnić od człowieka, który różnił się od niej we wszystkim? W tańcu twistował i wykonywał od dawna niemodne figury. Słuchał muzyki nie żyjących już wykonawców. Na dyskotecę ludzie dziwili się, że potrafi tak szybko zapamiętać słowa piosenek, gdy tymczasem on znał je od samego początku. Czy to wszystko tylko złudzenie? Czy złudzenie może być tak silne jak heroina? Kim właściwie był mężczyzna, którego kochała? Maddy przysięgła sobie, że się tego dowie.

Włamała się bez trudu. Mieszkając samotnie przez większą część swego dorosłego życia, Maddy zdobyła tę umiejętność na równi z jeszcze innymi pożytecznymi sprawnościami, jak wymiana uszczelek w kranach czy położe-

nie nowych tapet. Po wetknięciu biletu od metra w szczelinę między zatrzaśkiem a futryną zamek ustąpił bez trudu.

Mieszkanie Alexa na Maida Vale wcale nie było miejscem ciemnym i ponurym, jak to opisywał. Słupy światła rozchodzące się od szklarni rzucały blask na całe otoczenie, ukazując powierzchnie lśniące i czyste jak szkło laboratoryjne. Zaniepokoiły ją jednak nie bezcenne figurki prymitywnych bóstw ani nawet nie skamieniałości liczące sobie miliardy lat, ale znaczące drobiazgi, takie jak fiszki przypięte do kredensu, które przypominały o konieczności dokupienia papieru toaletowego. Nagryzmołone na odwrocie kopert instrukcje, żeby nastawić lód, wyłączyć jogurtówkę, odmrozić lasagne. Pod ananasek z magnesu przytwierdzonym do drzwi lodówki pliki ulotek zapraszających na targi dobroczynne, kościelne wyprzedaje, spotkania z politykami i koncerty muzyki kameralnej. Formularze rozwiązań konkursów, nagradzane wycieczką do Toskanii, gdzie wszystko ma być opłacone, dziecięce malunki z pozwijanymi rogami jak plasterki wędliny na czerstwych kanapkach. Wyszczerbione grzebienie, bibeloty i fidrygałki — wszystko to dowody wspólnej przeszłości. Obwiedzione kółkami różne daty w kalendarzu zapowiadające zdarzenia, w których Maddy nie miała brać udziału.

Nie świadczyło to bynajmniej o rozpadzie związku. Zadomowione w mieszkaniu rośliny wyglądały na dobrze utrzymane. Sprawiały wrażenie, że ją pilnie obserwują. Oskarżycielsko wyciągały w jej stronę swoje mackowate pędy. Z etażerek, kanap i telewizorów spoglądały na nią podejrzliwie stada misiów, zastępy nakręcanych żółwi i plastikowych lam we wszystkich kolorach tęczy. W pokoju dziecięcym żołnierzyki szczyrzyły zęby, dając do zrozumienia, że wiedzą o wszystkim. Wycofując się, nadepnęła na części klocków lego. Przemknęła do łazienki, gdzie zobaczyła cztery szczoteczki do zębów, wszystkie w widocznym użyciu. I tubę z maścią plemnikobójczą wyciśniętą do połowy.

Maddy zaczęła wydawać odgłosy podobne do tych, jakie wydobywają się z zatkanego zlewu. Usiłując powstrzymać łkanie, pognąła przez dywan o barwie trawnika z krykietowego boiska do sypialni pana domu. Z blatu toaletki popatrzyła na nią jej własna twarz ujęta w ramki. Może tylko bardziej dojrzała, bardziej pewna siebie. Felicity. Na każdym zdjęciu przybierała inną minę. Poważną w akademickiej todze. Ożywioną w kombinezonie narciarskim.

Zmysłową w sukni balowej. Albo zwyczajnie roześmianą, kiedy uwiesiła się na ramieniu mężczyzny, którego kochała Maddy. Odrzuciła pościel, by zbadać powierzchnię prześcieradła na obecność spermy. Ukryła twarz w zmiętej piżamie, wdychając jego zapach, aromat świeżo upieczonego chleba. Na nocnym stoloczku w srebrnej ramce stało grupowe zdjęcie, na którym wszyscy szeroko uśmiechnięci wyglądali jak reklama szczęśliwej rodziny z broszury towarzystwa ubezpieczeniowego.

To koniec. Alex nigdy od nich nie odejdzie. Był jak astronauta związany ze swoim statkiem kosmicznym, na którym znajdowało się wszystko potrzebne mu do życia — praca, rodzina, małżeństwo. Na prześcieradłach zauważyła wzorek w drobne ogóreczki. Poszewka poduszki wieściła bezgłośnie „tak” w pastelowych kolorach. Maddy energicznie odwróciła ją na „nie”. Nie. Nie. Jeszcze raz ukryła twarz w pasiastej flaneli. Głupi osioł, pomyślała, po czym zwymiotowała na jego piżamę.

RS

Radość w zarodku

Doświadczenie Maddy mówiło, że miłość, podobnie jak rzeźączka, jest uleczalna. Że się z tego wychodzi, w przeciwieństwie na przykład do czołowego zderzenia z cysterną. Odczuwała teraz głębokie przygnębienie, wiedziała jednak, że kiedyś to minie. Wprawdzie już raz trzeba jej było aż dwóch lat na to, by się odkochać w facecie, którego nawet nigdy osobiście nie spotkała — był to David Cassidy z *Rodziny Partridge 'ów*, ona zaś wtedy zbliżała się dopiero do wieku dojrzewania — niemniej w końcu jej to przeszło.

Wydawać by się więc mogło, że cała sprawa dobiegała końca, gdyby nie... jeden drobny fakt. Jakies dwa czy trzy dni później Maddy zaczęła wyglądać jak pielęgniarka z programów Ben-ny'ego Hilla. Piersi rosły jej jak na drożdżach. Najpierw udawała, że nic się nie dzieje. Wystąpiły jednak dalsze objawy. Budziła się z językiem jak stary kapeć i wymiotowała aż do obiadu. Haftowała równo, pawiowała, jak mawiano w jej stronach. Mimo zmęczenia miała trudności z zasypianiem. Leżała długo w noc na opuszczonym przez pana Tongue'a łożu z baldachimem i liczyła barany — całe ich stada. Na samą myśl o kawie, herbacie lub alkoholu dostawała dreszczy. No i spóźniało jej się.

Przekonała się wtedy, że może być coś gorszego od okresu. Nie dostać go wcale.

Próbowała się tym nie przejmować. Zawsze się opóźniała, ze wszystkim, począwszy od opłat za czynsz, a na oddawaniu książek do biblioteki skończywszy. Nie ma się co martwić... chyba nie... Całe godziny spędzała na dokonywaniu obliczeń.

Pocieszała się myślą, że zawsze była na bakier z matematyką, wreszcie kupiła kieszonkowy kalkulator. Kiedy go już kupiła, jakoś jej się nie udało opanować sztuki dodawania, z pasją za to zabrała się do wyciągania pierwiastka z siedmiu do nieskończonej liczby miejsc po przecinku. Nawet kiedy już miała matematycznie wyliczony niezbitý dowód, pocieszała się myślą, że to ciąża urojona. Albo może przedwczesna menopauza. A może tylko niestrawność. „Duszona fasolka”, tak nazywała domniemany zarodek. „Tost zapiekany z

fasolką". Minął jeszcze jeden tydzień, zanim zdecydowała się kupić sześć opakowań prób ciążowych.

„Nakieruj strumień moczu na próbnik i poddaj go działaniu moczu przez kilka sekund...”, głosiła instrukcja. I dopiero gdy niebieski kolor zabarwił okienko, Maddy przyjęła do wiadomości to, o czym wiedziała już od tygodni. Była „kobietą w tarapatkach”. Ciężarówką. Nadmuchaną. Piekła bułeczki w swoim piecu. Zrobiła próbę ciążową. Wpadła. Z tą próbą nie można było polemizować.

Wzniosłość i poezja ulotniły się z jej romansu. Naraz stała się bohaterką z dziewiętnastowiecznego tandetnego romansidła rodem.

Nie pozostawało jej nic innego, jak położyć się plackiem na kamiennej posadzce w łazience i przybrać pozycję embrionalną.

RS

Śmiertelnie upośledzony

— W ciąży? Moje kondolencje. — Twarz Gillian zaciaśniało wielkie sombrero, pamiątka z wakacji. — Tak trudno ci było zrozumieć sposób użycia na opakowaniu?

— Ha, ha. Bardzo śmieszne. Zawiodł ten cholerny kondom. Co ci jeszcze więcej mogę powiedzieć?

Gillian handryczyła się z przedstawicielami linii lotniczych w hali przylotów. Jej ekskochanek spoczywał w trumnie w przechowalni cargo, ona zaś wyklócała się o przypadający na niego udział w bezcłowych zakupach, który został zatrzymany na komorze celnej. Żywy czy umarły, był nadal klientem, który płacił. W gruncie rzeczy, twierdziła, przewiezienie go w pozycji horyzontalnej, kiedy nic nie jadł, nic nie pił, kosztowało ją więcej, niż gdyby siedział w pierwszej klasie i wcinał to wszystko bez ograniczeń. Sądząc po zaafektowanych minach urzędników, którzy skrobali się po głowach, nie był to pierwotnie przyjęty scenariusz.

— A co na to ten pan?

Maddy okazała nagle zainteresowanie swoimi obgryzionymi skórkami od paznokci.

— Nie ma go. Wyjechał.

— Jasne. Że też o tym nie pomyślałam. Kiedy może on zaszczycić swą prześwietną obecnością nasze niskie progi? Maddy wzruszyła ramionami.

— Pewnie nie wcześniej, niż uratuje nizinne lasy tropikalne Malezji, Indonezji, Filipin, ocali tysiąc bezkręgowców, jak też dwadzieścia pięć tysięcy gatunków roślin zagrożonych wyginięciem, rozprawi się z totalnym zanieczyszczeniem środowiska, opanuje światową eksplozję demograficzną i uwolni wszystkie stworzenia więzione wbrew ich woli... Domyślam się, że może wtedy.

Gillian skrzywiła się.

— Jak to jest, że ten twój ukochany woli wynajdywać różne historyjki w krajach, do których dostać się można wyłącznie po uprzednim zaszczepieniu? Ale kto mógłby wykonać zabieg? Znam jednego fachmana na Harley Street.

Maddy, jak pilot bombowca, lotem koszącym obniżyła wysokość, obrała cel i otworzyła luki z bombami.

— A dlaczego uważasz, że chciałabym się tego pozbyć? — Wprawdzie na początku uważała własne ciało za zdrajcę, który z wrogiem wszedł w zмовę, ale ostatnio ogłosiła rozejm.

Gillian po raz pierwszy popatrzyła z uwagą na przyjaciółkę. Przestała nawet bębnić o laminowany blat paznokciami przyciętymi w kształcie kostek do mandoliny.

— Hmm, sądzę, że w każdej chwili będziesz mogła sprzedać je za pośrednictwem drobnego ogłoszonka. Teraz dzieci osiągają całkiem niezłą cenę. A jeśli nadal mi się będzie tak wiodło jak dotychczas... Gdyby nie ten uroczy dyplomacik... — Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. — Czy wiesz, że rozstał się z tym światem na posterunku, rozumiesz jakim. Żeby uniknąć skandalu, musiałam wziąć oddzielny pokój. Jego rodzina myślała, że pojechał na jakieś wykopaliska. A tymczasem to ja miałam do czynienia z ruiną. Powiadom ci! — Kolana się pod nią ugięły, więc oparła się o biurko. — Głuchy, ślepy i bezzębny... Wyobrażasz sobie coś takiego?

— A co się stało z dojrzałym człowiekiem o bogatym doświadczeniu i lekko upośledzonym słuchu?

Gillian znów stała się czujna.

— To było, zanim dostałam rachunek za hotel. Taak... — zamyśliła się, okręcając na palcu troczek kapelusza. — Mogłabym sama wejść w ten interes z ludzkim inkubatorem. Luksusowa macica do wynajęcia... — Gillian przejechała nakremowaną dłonią po brzuchu — ...oczekuje propozycji... — jej dłoń zjechała w dół — ...w ekskluzywnej okolicy.

— Ja właśnie... Pomyślałam sobie, że... Może to by nas połączyło.

— Jak uważasz, czy mogłabym zatrzymać jego rozrusznik? Niewykluczono, że dałoby się go sprzedać jako nie używany. Albo „sprawdzony w miłości”. Musi być zbyt na tego rodzaju towar.

— To znaczy, może tak miało być?

— Szkoda, że nie nakręciłam na wideo jego ostatnich chwil, mogłabym to nieźle sprzedać jako film o odwalaniu kity...

— Gillian, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

— Prawdę mówiąc, staram się nie słuchać. Pomyśl, kochana, rozsądnie. Dlaczego zamiast tego nie zafundujesz sobie porsche? Daje więcej radości i mniej kosztuje.

— Nie zepchnęłabym go na margines, tak jak Felicity.

— Co powiesz na chanelowski kostiumik?

— Był za młody, kiedy przyszły na świat bliźniaki. Ale teraz jest w odpowiednim wieku.

— Pokój na godziny w Alpach Szwajcarskich?

— Gillian, wiesz, że czasem jesteś naprawdę płytka? Czy nigdy nie masz dosyć takiego życia tylko dla siebie?

Gillian nałożyła na usta grubą warstwę karminowej szminki.

— Tak, masz rację — odpowiedziała z przekąsem. — Przelot concorde'em do Nowego Jorku na jeden weekend, a w następnym tygodniu pływanie jachtem po Mustique. To takie powierzchowne. Kto wie, może lepiej by mi było, gdybym siedziała w jednym miejscu, odciągała pokarm czy co tam jeszcze wy, matki świata, robicie. To dopiero jest prawdziwe spełnienie. Bo tak naprawdę to wcale mi nie zależy ani na dobrym picciu, ani na szpanerskich ciuchach, ani na używaniu życia. To dopiero musi być frajda, mieć zaplanowaną każdą sekundę na każdy dzień. Wypróbowywać różne przepisy, które będą najlepiej smakowały panu i władcy... W pewnym sensie zazdrościsz ci, Mad-dy, naprawdę.

— Słuchaj, jakoś w ostatnim czasie nasze drogi z Alexem się rozeszły. Kto wie, może właśnie tego nam trzeba, żeby zejść się z powrotem.

Gillian poklepała ją po dłoni pocieszającym gestem.

— Przez ciebie przemawiają hormony, to nie ty tak mówisz.

Pojawił się następny przedstawiciel linii lotniczych w towarzystwie starszego funkcjonariusza celnego, aby wypytać przejętą Gillian, co właściwie znajduje się w przechowalni bagażu. Gapie ustawieni w kolejce ciekawie wyciągnęli szyje. Gillian nasunęła głębiej swoje sombrero, by zachować jak największą anonimowość.

— Śmiertelnie upośledzony pasażer — powiedziała łagodnie. Urzędnik w szarościach popatrzył na nią bez wyrazu.

— Słucham panią?

Gillian postąpiła naprzód, a za nią kolejka.

— Pasażer, któremu nie udało się doczekać ewentualnego polepszenia...
— Uniosła swą wyskubaną brew znacząco, z nadzieją, że urzędnik zrozumie jej zawoalowane wyjaśnienia.

— Przepraszam panią, ale ja...

— To moja kolekcja staroci — oznajmiła zwięźle, wypychając urzędnika do pokoju na zapleczu przy szemrzącym akompaniamencie kolejki, która jak stado ptaków próbowała jeszcze pochwycić okruchy rozmowy. „Co ona powiedziała?” „Niemożliwe!”

— Daj sobie spokój, Maddy — napomniała ją Gillian. — Wystarczy mu jeden rzut oka na twój rosnący brzuch, pomyśli o okropnościach małżeństwa i ucieknie, gdzie pieprz rośnie.

— Ależ ja muszę mu udowodnić, że należę do innego pokolenia niż Felicity. Udowodnię mu, że jestem samodzielna. Silna. I nie zapomnę, jak powinien wyglądać brzuch.

— On już raz nie zdał egzaminu z ojcostwa. Naprawdę wierzysz, że chciałby podchodzić jeszcze raz do tego samego sprawdzianu?

— Alex zawsze powtarza, że naturze trzeba pomagać. Wiesz, że są pewne gatunki, w których to samce wysiadują jajka i wychowują młode... Samiec konika morskiego rodzi małe i to wcale nie bezboleśnie.

Podczas załatwiania papierkowych formalności i urzędowych zapytań w rodzaju: „Ale niech pani sama powie, na co martwemu człowiekowi litr napojów alkoholowych o mocy nie przekraczającej piętnastu procent, karton papierosów, aparat fotograficzny, walkman marki Sony, odtwarzacz kompaktowy i elektryczny otwieracz do puszek” — Gillian i Maddy nadal wiodły swój spór. Tylko co do jednego były zgodne. Maddy powinna iść prosto do lekarza. I to natychmiast. Bez zwłoki.

Wyrwiząb

Maddy postanowiła, że przygotowuje Alexa na przyjęcie wielkiej nowiny. Chciała mu się wtedy wydać mądra, ładna i nad wyraz czarująca. Wszystko wypucuje i nałoży podwiązki. Wydepiluje okolice brodawek, przytnie starannie włoski łonowe i wysuszy suszarką wszelkie owłosienie. Przyrządzi mu jakieś ekstra-smakotyki godne Prue Leith. Wszędzie porozkłada listy miłosne od dawnych wielbicieli, pełne zachwytów nad nią. Mimo drobiazgowych przygotowań całej akcji, nie wszystko jednak poszło tak, jak to sobie obmyślała. Na przeszkodzie stanął jej własny ząb. Doprowadzał ją, jakby powiedział Alex, do ekstrakcji. Dalsze zapijanie bólu nie wchodziło teraz w rachubę, wizyta u wyrwizęba stała się więc nieunikniona. Siedziała właśnie na fotelu dentystycznym, z tyłkiem wyżej niż cycki, z otwartą paszczą, kiedy nieoczekiwanie pojawił się Alex.

Upewniwszy się, że dentysta bardziej zwraca na niego uwagę niż na nią, klepnął ją w rękę.

— Złotko, wszędzie cię szukam! Już się zacząłem martwić... — Na te słowa Maddy pokraśniała z zadowolenia. — ...o Moriarty'ego. — Zapadła głębiej w fotel. — Wróciłem z Brazylii i popędziłem do domu, a tam żywej duszy. Nie dość, że musiałem dzwonić do córki handlarza bronią, to jeszcze goniąc za tobą, dostałem trzy mandaty za parkowanie, codziennie miałem wywieziony samochód i dwukrotnie założone blokady na koła! Blokady! — Puścił jej dłoń i odwrócił się do dentysty, oczekując od niego współczucia. — Czy mężczyznę może spotkać coś gorszego?

— Wypluć — zarządził Wyrwiząb.

Maddy posłusznie przystąpiła do dokładnego płukania ust różowym płynem, przedłużając tę czynność, by zyskać na czasie.

— Skończyły nam się klisze — zakomunikował doktor pielęgniarce, kiedy wychodzili z gabinetu na poszukiwanie choćby jednej sztuki. — Panno Wolfe, proszę zetrzeć szminkę.

Alex zrobił to pocałunkiem.

— Tęskniłem za tobą. Nikt mnie nie rozśmiesza tak jak ty. — Nadepnął na pedał i cały fotel przechylił się maksymalnie do tyłu, tak że teraz stopy Maddy mierzyły wprost na sufit. — Nikt nie doprowadza mnie do tak potężnego orgazmu jak ty. — Wsunął rękę pod jej spódnicę i poklepał ją po udach. — Nie mówiłaś serio o „News of the World”, prawda? — Sięgnął nerwowo po chusteczkę higieniczną. Światelka błyskały i gasły, kiedy fotel podjeżdżał w górę i w dół, z końcową puentą chluśnięcia wody do spluwaczki. — Odejdę od Felicity. Nie ulega wątpliwości. To wyłącznie kwestia czasu. Już jestem jedną nogą za progiem. Niech tylko skończy swoją antologię o mizoginii. Byłbym nie w porządku, gdybym to wcześniej uczynił. Ale to nie potrwa długo... Już skończyła średniowiecze — dodał pocieszająco. Z wprawą ustawił fotel w poprzednim położeniu, kiedy pojawił się dentysta.

— Może lepiej będzie, jeśli zaczeka pan na zewnątrz — poradził, zakładając na twarz maseczkę. — Mamy tu do czynienia z poważnym ropniem przy zębie.

Maddy skwapliwie pokiwała głową, Alex uparł się jednak, że zostanie, ukradkiem ściskając jej rękę, kiedy dentysta starał się umieścić kliszę w odpowiednim miejscu.

— Proszę siedzieć spokojnie i przytrzymywać kliszę — polecił, odchodząc do wyłącznika rentgena, umieszczonego w drugim końcu gabinetu. Jego lateksowy palec zawisł nad przyciskiem. — Zażywa pani jakieś lekarstwa? — zapytał rutynowo. Pokręciła głową. — Uczulenia na coś?

— Nie.

— Cięża?

Poczuła ucisk w gardle od przemożnego wysiłku, by zablysnąć:

— Słucham?

— Muszę wiedzieć, czy nie jest pani w ciąży, żebym mógł zrobić prześwietlenie.

Usta Maddy przypominały pyszczek złotej rybki. Otwierały się i zamykały, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

— Panno Wolfe, czy istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że jest pani w ciąży?

Maddy oblała się zimnym potem, który zaczął jej spływać po twarzy, podmywając cały podkład makijażu. A miało być ładnie, powabnie i z podwiązkami. Wymamrotała cicho odpowiedź.

— Co? — dopytywał się zniecierpliwiony dentysta.

Teraz zrozumiała, dlaczego dentyści są tacy odpychający. Może nadeszła pora przypomnieć mu, że w tym zawodzie notuje się najwyższy na świecie odsetek samobójstw.

— Zadałem proste pytanie: jest pani czy nie jest w ciąży?

— Ja... więc... — Spluwaczka czknęła i zatkała się. Gipsowe odciski zębów jak pośmiertne maski szczyrzyły się na nią ze wszystkich półek. — Możliwe, że jestem.

— To lepiej zachować ostrożność. — Dentysta zrezygnował z rentgena i zabrał się niezdarnie do zastrzyku.

Zza jego pleców widać było Alexa. Jego twarz przypominała teraz kolorem zsiadłe mleko. Bezgłośnie wymawiał: „ciąża?”

Odwróciła wzrok. Alex zmienił pozycję tak, żeby wejść w jej pole widzenia.

— Jesteś w ciąży? — pytał pantomimicznie, coraz bardziej nagłaco.

Poczuła ukłucie igły. Zasyczał odsysacz. Zazgrzytał świder. Maddy wzdrygała się, wierciła i podskakiwała na fotelu. Po mękach trwających, zdawałoby się, wieczność całą w końcu dentysta oświadczył, że to mu w zupełności wystarczy. Alex złapał za poręcz fotela.

— Jesteś w ciąży? — zapytał.

Prawie niedostrzegalnie Maddy skinęła głową.

Alex przybrał minę kierowcy, którego samochód porysowano, rozebrano na części, z blokadą na kołach wywieziono na policyjny parking, a jego samego ukarano mandatem za utrudnianie ruchu na autostradzie.

Kiedy już wyszli na ulicę, Alex zareagował w sposób typowy dla wrażliwego nowoczesnego mężczyzny.

— Rany boskie! Kurwa mać! Tragedia! Za co to? — wściekał się. — Coś ty narobiła? Wzięła i zaszła w ciążę!

— Chyba wpadłam na ten głupi pomysł, żebyś zwrócił na mnie uwagę — odparowała Maddy z przekąsem. — Nic na to nie poradzę, jeśli nie potrafisz nawet nałożyć porządnie kondomu.

— O, okazuje się teraz, że to moja wina.

— Pamiętasz, jak u Soni nie mogliśmy go znaleźć? Otóż ja go później znalazłam. Był we mnie, w środku.

— Ach, rzeczywiście — mruknął, przyznając się do winy. — Tak, to był raczej parszywy wieczór. Niech cholera weźmie Sonię i jej fioła na punkcie surowców wtórnych. Pewnie dostała ten egzemplarz u handlarza starzyzną.

W taksówce podczas całej drogi powrotnej do domu pana Tongue'a Alex wyglądał jak chmura gradowa. Dopiero gdy przyrządził sobie drinka z Chival Regal jej chlebobdawcy, humor mu się nieco poprawił. Może nie było tak źle. On, tak samo jak Gil-lian, znał kogoś dyskretnego z Harley Street, kto bez zbędnych pytań zajmie się całą sprawą.

Maddy zazgrzytała i tak już obolałymi zębami. Że też akurat wtedy, gdy powinna wyglądać wyjątkowo ponętnie i roztaczać nieodparty urok, policzek jej musiał spuchnąć od zastrzyku jak bania, oczy zwały się jak szparki w nabrzmiałej twarzy, usta zdrętwiały od nowokainy, a dolna warga krwawiła, Maddy bowiem, pozbawiona czucia, niechcący ją przygryzła. Oto przyszła matka twojego dziecięcia.

— A jeśli... — zawahała się. — A jeśli zechcę je utrzymać? Cisz, jaka nastąpiła po tym wyznaniu, zdruzgotała nawet Harolda Pintera. Po twarzy Alexa przetoczyły się huragany gniewu.

— A co z twoją karierą?

— Karierą? Jaką znowu karierą?

— Och, nie mówiłem ci? — Alex na poczekaniu próbował słowami znaleźć jakieś wyjście. — Już jesteś umieszczona na liście płac. Wyjeżdżamy robić film o aeronawigacyjnych technikach seksualnych afrykańskich orłów rybołówów. Szepiąją się ze sobą i koziołkując, spadają w dół. Przy nich Kamasutra to nudziarstwo. No, ale skoro jesteś w ciąży. Wyrzuciliby cię i musiałabyś jeszcze odpowiadać przed sądem, co ci się oczywiście nie uśmiecha, bo będziesz miała dziecko.

— No cóż... — Maddy usiadła po turecku na sofie, podczas gdy Alex siedział sztywno na krześle w przeciwnym rogu pokoju. — Wezmę tę pracę po urodzeniu dziecka.

— Jasne. A jak właściwie zamierzasz to załatwić? Anglia jest krajem, który ma najmniej w Europie państwowych żłobków! — Poczuł się pewniej na własnym gruncie. Jego głos rozbrzmiewał dumnie, świadomy wieszczonyj przez siebie prawdy, a gdyby miał nogi, przystupywałby krokiem paradnym. — Wśród ogółu zatrudnionych najmniejszy jest wskaźnik udziału matek dzieci poniżej lat pięciu, a do tego są one najbardziej dyskryminowane w warunkach pracy. Dostają niższe wynagrodzenie, zajęcia nie wymagające kwalifikacji... Czy ty naprawdę zamierzasz zrezygnować z takiej wspaniałej okazji i chcesz zostać w domu, by zająć się podcieraniem pupy? — zakończył triumfalnie.

— Tak.

— Och. — Jego głos teraz potykał się i kulał. — No cóż, a co z eksplozją demograficzną? — Znów zabrzmiał ton marszowy. — Właśnie! Co na to powiesz?

— Alex, akurat w Anglii krzywa urodzeń spada. Ja wiem, że Bryce uważa dzieci za modny dodatek, który się nosi w latach dziewięćdziesiątych, twoje pokolenie natomiast zdaje się przedkładać zwierzątka i auta wyścigowe.

— No tak, rzeczywiście notuje się spadek urodzeń. — Powróciło chromanie. — Ale nie uważasz, że jest tego jakaś przyczyna? Naderwanie brodawek, zatwardzenie, pęknięcie krocza, zapalenie sutka...

Poderwał się. W ferworze argumentowania na skutek gwałtownej gestykulacji poły jego koszuli wyzwoliły się z ucisku paska i powiewały teraz swobodnie.

— To nierozsądne decydować się na dziecko w tym kraju. Tylko przypominj sobie naszą historię. Pakowaliśmy je do kominów i do kopalń. A więcej robiono hałasu o niewłaściwe traktowanie koników w kopalniach. Nauczycieli szkoli się przez trzy lata, ale weterynarzy przez pięć. I jak to świadczy o społeczeństwie?

— To zamieszkamy gdzie indziej.

— Nigdzie się nie da żyć. Trzeba ci wiedzieć, że już nawet dobre wróżki premię za wypadnięte mleczne zęby wypłacają kartą Visa. Jedyna książeczka, bez której nie będziesz się mogła obyć, to książeczka czekowa... Zabawki, szkoła, opiekunki... Naprawdę chcesz zostać mamynianią?

— Kim?

— Mamynianią, czyli: my mamy nianię. — Chlusnął sobie więcej whisky do szklaneczki. — Czy wiesz, jak Felicity powiadomiła mnie o grożącym mi ojcostwie? „Kochanie, będziemy mieli nianię”!

— Nie wściekaj się. — Maddy uspokajającym gestem położyła mu rękę na ramieniu. — Sama zajmę się dzieckiem.

— Na pewno. Już to widzę. Dopóki nie pojawią się u ciebie objawy syndromu dziewczyny do dziecka. „Dobry Bóg nie dopuścił i zesłał mi pomoc do dziecka”. — Strącił jej rękę. — Znam to.

— Kiedy ja chcę się zająć dzieckiem — powiedziała przekornie, patrząc mu w oczy. — Żebym mogła je nauczyć wymiotować na wskazane osoby, te, których nie lubię.

— Maddy, czy ty masz pojęcie, ile razy trzeba dziecku zmieniać pieluchę? Choćby przybliżone pojęcie?

— Wiem, że to trudne...

— Siedem razy dziennie, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, i tak przez trzy lata! Ty nawet nie możesz się zdobyć na to, by zmienić pościel raz na miesiąc. Nie dasz sobie rady z dzieckiem.

— Nie rozumiem dlaczego. Z tobą daję sobie radę.

— Nie radzisz sobie nawet z Moriartym!

— Jest drobna różnica. Nigdy nie słyszałam o niemowlęciu, które by się rzucało na kogoś!

— On cię tylko uszczypnął wargami. I to jeden jedyny raz. Wiesz, o co ci chodzi? O gówno. Ale jeśli tak strasznie brzydzisz się wziąć łopatkę i zebrać psie kupy, to wiedz, że przy dziecku będziesz potrzebowała do tego samego celu już nie łopatki, ale całej koparki. Wydaje ci się, że klozetowy humor Ben Eltona*⁸ sprowadza się do skeczów na temat nałożenia kapturka. Otóż nie. To próba nauczania dwulatka, który ma rozwolnienie, załatwiać się do nocnika.

— Słuchaj, jeżeli to cię tak przeraża, to daj sobie spokój...

— Rzeczywiście? Może tego nie zauważyłaś, ale tak się składa, że jestem osobą publiczną. Jak ci się wydaje, ile czasu minie, zanim któryś z brukowców nie wpadnie na ślad twój i dziecka, żeby wysmażyć wzruszającą historij-

⁸ * Ben Elton — angielski komik.

kę. Wczesne występy u Terry'ego Wogana*⁹ albo w miesięczniku „Hello” sąsiadują niebezpiecznie blisko z przemocą wobec dzieci.

— Słuchaj no, koleś. — Serce Maddy galopowało w rekordowym tempie nie notowanym na żadnych zawodach. — Zapomniałeś już o swojej śpiewce „czy chcesz mieć ze mną dzidziusia”?

Alex wzruszył lekceważąco ramionami.

— Kobiety lubią, jak im się mówi takie rzeczy. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała, jak silne są moje uczucia do ciebie.

— Co?! — Poczula, że właśnie uaktywnił się w niej gen karczemnej awanturnicy. — Co ty mówisz? Że nie chcesz mieć dzieci?

— Już mam dwoje. Już to zrobiłem. — Zaczął cedzić słowa, parodiując knajacką mowę. — Przedtem. Dlatego wiem, o czym mówię. Dzieci są obrzydliwe. — Rozluźnił mu się krawat, przez co jego szyja wyglądała, jakby tkwił w szubienicznej pętli. — Zanim taki skończy jeść, na talerzu zostają zaślinione, zimne gluty. Przy obiedzie zazwyczaj wysmarka się pod stołem w obrus. Wystarczy tydzień nakłaniania smarkacza do zjedzenia tofu z kielków pszenicznych, a potem masz już ochotę tylko na to, by wetknąć głowę do worka ze śmieciami. Ale nie możesz, bo twój milusiński wyrzucił tam chomika. — Wypił i znów sobie nalał. — Zresztą nie znajdziesz nawet wolnej chwili na to, by popełnić samobójstwo. Tak będziesz zajęta wyrabianiem origami z serwetek albo hełmów dla kosmonautów z rolek po zużytych papierze toaletowym. Chwilą wytchnienia stanie się wyciąganie paprochów z suszarki... Albo przełiczanie językiem plomb...

— Musisz mi przypominać? — Maddy złapała się za policzek.

— Wydarzeniem będzie zmiana pasteli na powiekach.

— Słuchaj, ja wiem, że się urobię. Wiem, że trzeba wstawać w nocy...

— Nawet nie chodzi o wstawanie w nocy. W dzień cię wystarczająco zmurduje. — Alex zaczął bębnić palcami po stole rytmicznie, jak na kastanietach. — Beczy, nie chce jeść, ciągle się na coś napiera. — Tararam. — Jakie to wszystko męczące. — Tararam. — Zakupy z wózkiem, przecieranie awokado, wyparzanie butelek. — Tararam. — Naprawdę chcesz zamartwiać się

⁹ * Terry Wogan — popularny prezenter telewizyjny, prowadzący talk show.

przez cały czas, czy dokładnie umieściłaś kostkę dezynfekującą pod deską klozetową? — Tararam. Tararam. — Czy naprawdę chcesz spędzić życie na wyciskaniu soczków? — Maszerował tam i z powrotem. — Naprawdę chcesz zasilić szeregi największych nudziarzy? — Maddy zaczęła się poważnie obawiać, że Alex wkrótce wydepcze łysinę w perskim dywanie. — A jeżeli nie zanudzą cię na śmierć, to masz szansę zostać drugim Nietzschem. Fizycy jądrowi mają w porównaniu z rodzicami łatwy kawałek chleba. „Skoro Bóg nas stworzył, to kto stworzył Jego?” „Skąd wieje wiatr?” „Gdzie jest koniec świata?” „Skąd brwi wiedzą, że mają przestać rosnąć?” Ale naprawdę kłopotliwe pytania zachowują na specjalne okazje, kiedy na przykład stoisz przed kamerami, udzielając wywiadu na żywo do programu *Prywatnie u...* Wtedy pytają: „Tatusiu, a dlaczego ta pani ma wąsy?” A ty nie masz pojęcia, co odpowiedzieć. A wiesz dlaczego? Bo twój mózg już przestał funkcjonować. Zostawisz szkodliwe środki czyszczące w miejscu łatwo dostępnym, a dzieci schowasz pod zlewem. Będiesz mogła czytać tylko historyjki drukowane dużymi literami. Albo Jeffreya Archerà*¹⁰. Raz Felicity zdobyła się na wypowiedź dłuższą niż jednowyrazową. Powiedziała: „środek uspokajający”, i to tylko dlatego, że go właśnie potrzebowała. A bliźniaki mają dopiero osiem lat, rany boskie! Z łezką w oku wspominasz czasy, kiedy można było sobie swobodnie używać, aż się ubiło pianę na sztywno... Teraz za każdym razem, kiedy chcesz się kochać, natykasz się w łóżku na bachora albo...

— Co takiego? — napadła na niego Maddy. — Wydawało mi się, że nie sypiasz z Felicity. Wydawało mi się, że fizycznie jej „nie pociągasz”!

— Co mówisz? — zająknął się, na chwilę tracąc pewność siebie. — Bo nie sypiam. Ale nawet gdybym chciał, tak jak nie chcę, to bym nie mógł.

Korzystając z okazji, że pomyślny wiatr przestał dąć w polemiczne żagle Alexa, Maddy ujęła ster w swoje ręce.

— Sedno w tym, mój kochany, że w gruncie rzeczy decyzja nie należy do ciebie.

Alex zmierzył ją zimnym spojrzeniem.

¹⁰ * Jeffrey Archer — autor popularnych czytańel.

— Naprawdę chcesz mieć dziecko? W porządku. Dlaczego nie zacząć od zaraz? — Jednym szarpnięciem ściągnął ją z kanapy, wetknął jej pod pachę cztery grube tomy książki telefonicznej i zaczął ją ciągnąć po pokoju. — Okay, noś to przez najbliższe dwie godziny. Nie odkładaj ani na sekundę, bo zaraz zaczniesz ryczeć. Śpiewaj mu. No, na co czekasz? A-aa, kotki dwa... Śpiewaj, aż ochrypniesz. A teraz... — Zawlókł ją do kuchni, gdzie chlapnął jej na plecy okazałą porcją skwaśniałego jogurtu.

— Alex, co ty wyprawiasz, do cholery?

— Cały czas będziesz ufajdana dziecięcymi rzygami. Będziesz nosić na sobie żarcie. — Rozmazał jej na policzkach resztki nie zjedzonych sardynek. — Pyszna rybka, mniem, mniem. — Sięgnął wolną ręką po słoik z miodem, podważył wieczko jednym ruchem palca i zatoczył się z powrotem do salonu, by tam grubymi kleksami poznać dywan i kanapę. — Wymaż wszystkie meble czymś lepkiem, a potem porysuj je kredkami...

— Zwariowałaś! — Maddy rzuciła się za nim, by wydrzeć mu z ręki flaster, ale i tak zdążył nakreślić fluorescencyjne hieroglify na wytwornej tapecie pana Tongue'a.

— To ty zwariowałaś. Ty zwariowałaś. Powtarzaj wszystko po dwa razy. Dwa razy. I nie przestawaj śpiewać. Nie przestawaj chodzić. Nie przestawaj uważać. Dzieci potrafią znaleźć żyłkę nawet na boisku. Bez trudu odkrywają transformator czy skład odpadów radioaktywnych, choćby znajdowały się o dziesięć mil stąd. Bachory potrafią uziemić nawet takie typy jak Stanley czy Livingstone. — Przeskoczył przez ławę jak przez konia, by rzucić jej w twarz gazetę. — Masz, poczytaj sobie, bo więcej nie będziesz miała okazji. Ostatnia chwila. No, masz... — Wyciągnął z aktówki przepaskę na oczy, jakie rozdają w samolotach, i wcisnął jej na nos. — Pośpij sobie po raz ostatni. Bo później już nie będziesz mogła... — Zakręcił nią jak wrzecionem i zadarł jej spódnice. — Zabaw się po raz ostatni w „chodzi lisek koło drogi” czy jak to tam nazywacie w tym swoim uroczym kraju, bo więcej nie...

Maddy odepchnęła go szorstko. Jeszcze jedna niedogodność wynikająca z wysokiego wzrostu polegała na tym, że nie mogła powiedzieć: „Znajdź sobie kogoś własnego formatu”.

— Jeśli tak to odbierasz, to dlaczego nie zafundowałeś sobie wasektomii?

Alex przyglądał swoje mocno wypomadowane włosy.

— Mężczyzna musi zostawić sobie furtkę na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Co by było na przykład, gdybym spotkał bezdzielną miliarderkę swoich marzeń? — Maddy zgromiła go spojrzeniem. — Tak tylko żartowałem — wyjaśnił. — Ty, oczywiście, nie pamiętasz, jak żartowaliśmy i doskonale się bawiliśmy, bo teraz jesteś w ciąży i masz zaniki pamięci...

— Zgadza się. Ciągle zapominam, jaki to z ciebie kawał skurwysyna. — Ogarnął ją szarpiący gniew. Zerwała się na równe nogi, obciągnęła kloszową spódniczkę i stanęła na wprost niego, twarzą w twarz. — To ty cierpisz na zanik pamięci. Przecież rozmawialiśmy o dzieciach. Na litość boską, sam mówiłeś, że kupimy lalki, które wszystko będą miały na swoim miejscu. I że wymienisz samochód na większy, z dużym bagażnikiem.

Alex zaprezentował swój telewizyjny uśmiech pod tytułem: „dziękuję za uwagę i zapraszam za tydzień”.

— I będziemy, i będziemy... — modulował głos, żeby brzmiał teraz ciepło i melodyjnie. — Ale pora jest nieodpowiednia. Pomyśl o tym... Czy nie chciałabyś dać dziecku najlepszemu startu? Obecnie naukowcy twierdzą, że zarówno kobieta, jak i mężczyzna powinni być absolutnie zdrowi, zanim zdecydują

się na poczęcie dziecka. Czy w ciągu trzech poprzedzających zapłodnienie miesięcy powstrzymywałaś się od alkoholu? Bo ja nie. Czy w jakiś sposób chroniłaś się przed zanieczyszczeniem środowiska? Bo ja nie. A co z lekarstwami? Czy któreś z nas przeszło może wirusową albo bakteryjną infekcję?

Maddy zapadła się w sobie. W szczęce czuła pulsowanie. Piekły ją oczy od suchego powietrza. Przycisnęła palcami gałki oczne i bezwładnie opadła na kanapę.

— Naprawdę?

— O, tak — odparł skwapliwie. Odchylił oparcie kanapy i zaczął masować jej kark i ramiona. — Najważniejsze sapierwsze tygodnie. Wtedy tworzą się narządy. Jeśli coś się w tym czasie przegapi, to przepadło. Liczba noworodków, które przychodzą na świat niewidome, głuche albo umysłowo niedorozwinięte, z rozszczeniem kręgosłupa, epilepsją, autyzmem — ciągnął złowieszczo — mogłaby być zredukowana do pięćdziesięciu procent, gdyby rodzice odżywiali się prawidłowo przed poczęciem dziecka. Spytaj Bryce'a. Kiedy zdecydowali się na dziecko, spędzili trzy miesiące na farmie zdrowia. Zrezygnowali z kawy, herbaty, alkoholu, jedli tylko zdrową żywność, pili filtrowaną wodę, zażywali witaminy i dodatkowe minerały... — Zawiesił głos dla uzyskania dramatycznego efektu. — A jak ty się odżywiałaś?

— Nie wiem — przyznała, tłumiąc emocje.

— Ile Château Thames, nafaszerowanego ołowiem, wypiłaś?

Alex miał minę gracza, który właśnie postawił na konia galopującego teraz wprost do mety, zostawiwszy daleko w tyle za sobą innych zawodników.

— Czy nie lepiej przygotować się do tego zawczasu, żeby wszystko poszło dobrze, kochanie? — Nie schodząc ze swego stanowiska masażysty, Alex sięgnął do telefonu i wybrał numer. — Nic się nie martw, ja wszystko pokrywam... Niektóre kobiety wiele by dały za to, by mieć tę sprawę załatwioną porządnie... Halo? Tak, z doktorem Ethrington-Stoppfordem proszę. Mówi Alexander Drake... Uwierz mi, że gdyby to mężczyźni zachodzili w ciążę, aborcja byłaby czymś świętym.

Maddy westchnęła i potarła obolałe dziaśło. Oczywiście pójdzie na zabieg. A co sobie wyobrażała?

Szłaban

Usunąć ciężę? O Boże, a cóż ona sobie wyobrażała? Na dźwięk głosu Gillian Maddy się załamała. Szloch uwiązł jej w gardle.

— Co się stało? — dopytywała się Gillian głosem ochrypłym z niepokoju.

Mimo wysiłków nie udało się Maddy wyartykułować żadnego słowa, wydawała z siebie tylko przeciągłe, zduszone dźwięki.

— Zabiłaś tego pana — stwierdziła rzeczowo Gillian. Słyszając tak absurdalny domysł, Maddy zarechotała.

— Ależ skąd! Nie zabiłam go!

— No to, moja kochana, po co te histerie? My nie jesteśmy płaczliwe, ani ja, ani ty. Tak płakać mogłabym tylko po usłyszeniu wyroku skazującego na ciężkie więzienie.

— On się nie zgadza na dziecko! Gillian odetchnęła z ulgą.

— Ach, o to chodzi. Cóż, Maddy, ostrzegałam cię. Wyglupianie się z dalekosiężnymi planami często przynosi odwrotny skutek.

— Umówił mnie już na skrobankę.

— Może to najlepsze wyjście. Pomyśl tylko, ile mogłabyś stracić...

— Och, teraz ty zaczynasz. Słyszałam już od Alexa, jak to utracę wolność, niezależność...

— Mówiłam tylko o twoim łonie — ucieła Gillian. Maddy zlizwała sól z kącika ust i wytarła nos w rękaw bluzki.

Na cennym dywanie u jej stóp kłębiły się zmięte kulki mokrego papieru toaletowego — chusteczki higieniczne już dawno się skończyły. Fakt, że nie była typem płaczki. Należało spojrzeć prawdzie w oczy. W końcu nie budowała zamków na lodzie. Wprowadziła się, zadomowiła, zaprowiantowała i zaryglowała. Przyszedł jednak nakaz eksmisji. Więc czas z tym skończyć. — Ale co ty robisz w domu w sobotni wieczór? — zapytała głosem jeszcze zachrypniętym od płaczu.

— Zabawiam się — odpowiedziała Gillian szeptem.

— Z kim?

— Z konsulem brytyjskim w Meksyku. To ten, który zajmował się moim ostatnim zagranicznym *faux-pas*. Zasadniczy typ.

— To mi do ciebie nie pasuje. Myślałam, że jesteś zwolenniczką milionerów w zaawansowanym wieku i ze szmerami w sercu?

— Byłam — odrzekła zwięźle. — Już to przerobiłam. I postanowiłam przetrzymać się na TOP, to znaczy: Typ Odpowiedzialny i Ponury. Choć jak dotąd opiera się wszelkim moim awansom, niewykluczone, że po odpowiedniej dawce koniaku ujawni jakąś banalną tajemnicę swoich zmysłów. Może lubi, jak mu się dłubie szydełkiem w nosie? Albo prenumeruje „Zabawy z węgorzem”?

Maddy zakrztusiła się od śmiechu.

— Przestań, na litość boską! On cię może usłyszeć. Przepraszam, że się rozkleiłam. I przeszkodziłam ci w kolacji.

— No dobra, będziemy kończyć. Muszę bardziej rozgrzać te dyplomatyczne ciepłe kluchy.

— Gillian — chciała się upewnić Maddy, zanim odłoży słuchawkę. — A gdybym tak rzeczywiście zabiła Alexa, to co ty byś zrobiła?

— Pomogłabym ci ukryć ciało — odrzekła bez wahania Gillian.

Maddy roześmiała się w głos. To było dowodem prawdziwej przyjaźni. Wiele można darować Gillian — jej pogoń za cudzymi pieniędzmi, snobizm,

gustowanie w bufonowatych nierobach i seksualne odchyłki — żeby na koniec usłyszeć takie wyznanie.

Po głowie szwendała jej się melodyjka *Bye, Bye, Baby* na przemian z *Baby it's O-o-o-ver*, kiedy golila łydki, przygotowując się na spotkanie z doktorem Ethrington-Stoppfordem.

RS

Zabieg

— Jaka jest różnica między ciążą a żarówką? Żarówkę możesz odkręcić, a ciąży nie. — Przez całą drogę do ginekologa z Harley Street Alex starał się być miły i wylewny. Wymyślał aluzyjne gry półsłówek i kalambury à propos. — Doktor ma-ci-co zaofiarować — stroił żarty. — Cięża już ci nie będzie ciążyć — obiecywał beztrasko.

Mimo że zapewniał Maddy o dyskrecji lekarza, sam jednak wolał bezpiecznie zaczekać w samochodzie. On, laureat nagrody za odwagę, którą otrzymał za śmiałe przepłynięcie Ethiopian Rift Valley obok pelikanów w skażonej wodzie palącej skórę.

Do poczekalni ozdobionej orientalnymi dziełami sztuki sakralnej wiodły schody wyłożone pluszowym chodnikiem. Pieniądze kapąły z każdego zakątka tego pomieszczenia. Kiedy doktor prowadził pacjentkę do biurka sekretarki, Maddy mogła mu się przyjrzeć. Był to opasły mężczyzna o świńskich oczkach, z ustami wyrażającymi bezwzględność. W dzieciństwie musiał wrywać muchom skrzydełka. Nie dziwota, że chłopcy, którzy wyrrywają muszkom skrzydełka, w wieku męskim ozdabiają skrzydłami swoje kamienice. Właściciel dwóch wiejskich rezydencji, paru domów w mieście, lądowiska dla helikopterów i przeszczepionych włosów, nie musiał być specjalnie uprzejmy wobec swoich pacjentek.

Doktor wywołał jej nazwisko.

— No więc jak to było? — zagrzemiał, zanim zamknęły się za nimi drzwi. — Nabroilo się, co?

Na plecach poczuła palące spojrzenia nie tylko pacjentek, zgromadzonych w zacisznej poczekalni, ale też Buddy o nefrytowych oczach i słoniowych bożków. Czowała się wystawiona na publiczne potępienie, naga i prześwietlona promieniami rentgena. Usiadła z drugiej strony biurka, które wyznaczało symboliczną linię demarkacyjną między nimi.

— Mocz do analizy — zażądał, nawet nie podnosząc na nią wzroku.

Maddy wyciągnęła z torebki nieszczelne naczynie.

— Można wnosić butelki nie zakupione w tym lokalu? Doktor popatrzył na nią władczo znad okularów. Jego spojrzenie wyrażało bezbrzeżną pogardę.

— Stanowczo odradzam wybieranie aborcji jako metody antykoncepcyjnej, panno Wolfe. Może to spowodować uszkodzenie szyjki macicy albo jej pęknięcie, w konsekwencji czego może ona nie powrócić do poprzedniego stanu, kiedy już pani zaplanuje następną ciążę. W rezultacie macica okaże się niewydolna.

Maddy zgadywała, co sobie myślał, kiedy tak patrzył na nią pogardliwie — jaka macica, taka reszta?

Leżała na kozetce, przygotowana do badania. Niedbale rozsunął jej nogi. Zanim wetknął w nią lodowaty wziernik, by wziąć wymaz, dźwignął ją bezceremonialnie, jakby była podwoziem samochodu.

— Pojęcia nie mam, czego wy chcecie dowieść. Wszystkiemu winna pigułka. Swoboda seksualna, trzeba to wiedzieć, nie oznacza wcale wyzwolenia. — Naga od pasa w dół, z rozłożonymi nogami, Maddy czuła śmieszność swego położenia. — Istnieje tylko jedno stuprocentowe ustne zabezpieczenie. To słowo „nie”.

— Aha, ale nie wtedy, jak się jest z Mikiem Tysonem. — Niech wie, sukinkot.

Doktor wyjął wziernik i zaczął nakładać gumową rękawiczkę, która sięgała mu aż za łokieć. Zdawał się sięgać w bezdenną otchłań. Pomyślała, że ginekolog to uczone określenie faceta, który ma licencję na macanie.

— Tak bez wyznania miłości? — zażartowała. Doktor zamrugał.

— Domyślam się, że jest pani jedną z tych... — wzdragał się przed samym wymówieniem tego słowa — ...feministek? Według mojej fachowej opinii rodzaj żeński każdego gatunku oznacza masochistkę.

— Och — syknęła Maddy z bólu. Doktor Ethrington-Stoppford był takim niezgrabiaszem, że uraził ją mimo nawilżającego kremu.

— Niezbyt mądrą w dodatku. Weźmy chociażby kłopotliwe położenie, w jakim się pani znalazła z własnej woli — prawil jej kazanie. — Zanalizujmy to z medycznego punktu widzenia. Dlaczego kobiety nie zostają gwiazdami bejsbolu albo futbolu? Dlatego, że mają słabsze mięśnie. — Ściągnął gumowe rękawice i cisnął je do wiaderka otwieranego na pedał. — Mózg też jest mięśniami, panno Wolfe. Może się już pani ubrać.

Maddy poczuła napływające do oczu łzy wściekłości. Powściągane emocje groziły lada chwila wybuchem. Powstrzymała się tylko dlatego, żeby nie okazać słabości przed doktorem.

— Rano w dniu zabiegu nic nie jeść i nic nie pić. I bez hysterii. To tylko prosty zabieg — oświadczył.

— Dla pana. — Maddy zebrała resztki hartu. — To przecież nie panu wbi ją szydło w piczkę — powiedziała, ale jakoś bez przekonania.

On zresztą i tak jej nie słuchał.

— Kopulacja znaczy: populacja — cedził słowa tonem pełnym wyższości, wręczając jej jednocześnie paczkę prezerwatyw, kiedy się ubierała. — Umówię panią z innym lekarzem, który podpisze formularz stwierdzający, że umysłowo nie jest pani przygotowana do macierzyństwa. To tylko taka formalność, rozumiemy się? A potem umówmy się, powiedzmy, na wtorek.

Maddy mocowała się wściekle z wywinętym do środka rękawem. Bezskutecznie próbowała trafić weń ręką, a gdy jej się to nie udało, dźgnęła raz jeszcze. Cała sytuacja doprowadzała ją do furii. Jeśli kobieta decyduje się na dziecko, to czy potrzebuje świadectwa dwóch beznadziejnych lekarzy, którzy stwierdziliby, że macierzyństwo wpłynie ujemnie na jej kondycję fizyczną i umysłową? Wypadła z gabinetu, powiewając pustym rękawem i depcząc po nogach pacjentów, którzy unieśli głowy znad „National Geographic” i patrzyli na nią oskarżycielsko.

*

Kiedy znów znaleźli się w sypialni pana Tongue'a, Alex długo ją całował. Torując sobie drogę do wiadomego miejsca, wyznał jej brodawkom, że nigdy, ale to nigdy nie czuł wobec nikogo tego, co czuje do niej. Pępкови obiecał, że będą się kochać i radować do końca życia. Zadzwonił jego telefon komórkowy. Odebrał go jedną ręką, a drugą kontynuował cielesną eksplorację jej ciała.

— Aha, aha... dżdżownice?... Tak... Zawodnicy mają za zadanie wypłoszyć ich jak najwięcej na powierzchnię, o to chodzi? Naprawdę? Używają detergentów? Sypią je do jamek? Wtedy one w popłochu wychodzą na wierzch... Chciałbym się z tobą nigdy nie rozstawać — zwrócił się teraz do jej lechtaczki. — Nigdy, przenigdy... Tak — dodał do mikrofonu. — Natychmiast. — Po

czym wyszedł, by opracować materiał na pierwszą stronę o sztuczках dokonywanych w Krajowych Zawodach w Zaklinaniu Robaków.

Kiedy pakowała już swoje rzeczy przed pójściem do kliniki, pomyślała o losie, jaki w przeszłości był udziałem kobiet znajdujących się w jej sytuacji. W każdym innym kraju spalwono by ją jako czarownicę albo oddano do zakładu dla umysłowo chorych, lub też po prostu umarłaby na skutek pokątnego zabiegu wykonanego w jakiejś komórce. Jakie to szczęście, że była silną, niezależną kobietą, żyjącą w latach dziewięćdziesiątych, zdolną do podejmowania samodzielnych decyzji.

RS

Urodzić czy nie urodzić, oto jest pytanie

W dniu zabiegu niezdecydowanie Maddy sięgnęło zenitu.

Zdaniem Gillian powstrzymywanie się od jedzenia i picia wymagało drastycznych posunięć. Narkotyki?, domyślała się Maddy. A może dwóch wysokich czarnych chłopców do zabawy? Ale to zakupy były dla Gillian remedium na wszystkie bóle. Z wyschniętym gardłem i burczącym brzuchem Maddy wlokła się za Gillian krążącą dziarsko od Harrodsa do Harveya Nicholasa. Gillian uznała, że nadszedł czas, żeby się usztywnić. Nie miała na myśli eksperymentów z kokainą, jakie przeprowadziła na sobie w latach osiemdziesiątych, ale zainwestowanie w „Wonder Bra”. Chodziło o samonośny biustonosz bez ramiączek, zapewniający maksimum atrakcyjnego wyglądu. Sądząc po determinacji, z jaką Gillian oddała się zakupowej orgii, Maddy wywnioskowała, że sprawy z Haroldem musiały się ułożyć nie najlepiej. Po liczbie firmowych toreb z zakupami zostawionych w przedpokoju zawsze mogła określić, jak kształtowało się życie miłosne przyjaciółki.

— Czy wiesz — zaczęła tonem wyjaśnienia Gillian — że ten człowiek nosi kalesony z tweedu? — Zwrócone do siebie twarzą w twarz tłoczyły się w pastelowej przymierzalni. — Pamiętaj, żeby nigdy nie zadawać się z dyplomatą. Nie chciał się zgodzić na miłość francuską. Mówił, że to niepatriotyczne. Możesz mnie zapiąć?

— To fatalnie. — Maddy, stękając i napinając mięśnie, usiłowała dociągnąć pętelkę haftki do oczka, by zamknąć elastyczny obwód modnego biustonosza.

— Kochana, on po miniecie wyplukał usta!

— Wygląda na to, że ma więcej problemów psychologicznych, niż można by się doliczyć w pierwszym lepszym angielskim poprawczaku.

Gillian usiłowała się roześmiać, ale była zanadto ściśnięta biustonoszem.

— Ten Anglik to tylko kark miał sztywny, nic poza tym, możesz mi wierzyć. — Przyjrzała się krytycznie własnemu odbiciu i chlipnęła. — Wiesz, nigdy dotąd od nikogo nie dostałam kosza. A jeśli on nie miał wstępu do dupnych interesów, tylko po prostu mu się nie podobałam? — Białą budyń jej

biustu kipiał z ozdobionego koronkową formą wynalazku, który przy okazji ścisnął jej żebra jak obręcz.

— Wiesz — zwróciła się Maddy do bujnego, ale dyszącego odbicia Gillian — jest jedna rzecz, która przemawia na korzyść macierzyństwa. Pęknięcie.

— Jasne — syknęła z przekąsem Gillian. — Dodaj do tego zmienne nastroje, nudności, tycie oraz rezygnację z alkoholu, kofeiny, taniny, używek, serów pleśniowych, sushi i seksu. Samo szczęście.

— Daj spokój, Gillian. Przecież kiedyś na pewno zechcesz się rozmnożyć.

Gillian szczerze się oburzyła.

— Precz z fanatykami płodności! — wysapała. — Zakładam Zrzeszenie Osób Bezdziwnych.

— Kiedy trafisz na odpowiedniego faceta, ochota na dziecko sama przyjdzie.

— Raczej biust do kolan. Prędzej się tego można spodziewać. — Gillian zaczęła rozpinąć bluzkę.

— Chyba nie zamierzasz kupować tego świństwa? Przecież w tym nie da się oddychać.

Gillian obróciła się na wszystkie strony.

— Tak, ale spójrz, jak się wygląda z boku.

— Czy wiesz, co mówią lekarze? Dowiedziono, że u kobiet po skończeniu trzydziestego piątego roku życia... — Maddy pogoniła za Gillian, która wymaszerowała różnym krokiem z przymierzalni — wzrasta ryzyko urodzenia dziecka z zespołem Downa. — Zrównała się z nią tuż przy kasie. — Natomiast maleją szanse urodzenia dziecka w ogóle. A tyłu mężczyzn strzela bez prochu... Więc tak sobie pomyślałam... A jeśli to jest pierwszy i ostatni raz, kiedy wpadłam? Albo co będzie, jeśli on zmieni swoje nastawienie do potomstwa, kiedy ja już będę przechodzić menopauzę, i mnie zostawi dla młodszej kobiety, której akurat zmagajstruje dzieciaka? A może jutro zerwiemy ze sobą, a ja już nigdy nie będę miała nikogo... Albo...

— Zawsze możesz zrobić to w tradycyjny sposób: wywiercić dziurkę w kapturku, dać się przelecieć jakiemuś przystojniaczkowi, a potem się na niego wypiąć.

— Sądzisz, że wystarczy wybrać sobie jakąś genialną parę spodni? Można by, ale wiesz, jak to jest. Faceci niby nie chcą się wiązać, ale potem są gotowi zjeść łożysko i dochodzić swoich praw ojcowskich w sądzie.

— A co powiesz na niepokalane poczęcie?

— Wyciąg z Banku Nasienia? Żeby było: powiedz, gdzie twój tata? O, tam, mrozi się w lodówce... nie, chyba nie.

— Do koktajli jak znalazł.

— A poza tym, jaką masz gwarancję, że nie będzie to seryjny morderca? Albo Norman Tebbit? Krótko mówiąc, czy w ramach gwarancji można zwrócić dziecko?

— Nie, ale możesz je zamordować, pod warunkiem, że nie później niż w ciągu kilku pierwszych miesięcy. — Dział z bielizną damską sąsiadował z działem artykułów dziecięcych. Gil-lian bezwiednie wzięła do rąk parę miniaturowych skarpet i zaczęła się nimi mimochodem bawić. — Popatrz tylko na te skarpetunie, czyż nie są ślicznusie?

Maddy wybałuszyła na nią oczy.

— Myślałam, że nie znosisz dzieci?

— Bo tak jest. — Wypuściła z rąk skarpetki, jakby nagle okazały się radioaktywne. — Takie są... króciutkie. Och, daj spokój, te nie kończące się zachwyty... I policja ciężowa. Wypijesz jednego w restauracji i już cię mogą zamknąć za maltretowanie nie narodzonego.

Mijały je młode mamy z pyzatyimi szkrabami uczeponymi ich bioder. Gil-lian upodobała sobie jedną dziewczuszkę z głową w złotych loczkach.

— Czyż to nie urocze dziecko? Zdecydowanie wolę pyzate maleństwa niż wynędzniałe mizeroty. Ale, nie — przerzuciła myśli na inny bieg — nie można sobie pozwolić na dziecko. W każdym razie nie w tym kraju. Anglicy nie znoszą dzieci. Skaza na mojej osobowości bierze się stąd, że matka zostawiła mnie z nianią, która z kolei wywoziła mnie do ogrodu, gdzie pojawiała się na karmienie w określonych porach. Taka była doktryna Tru-by'ego Kinga, ówczesnego guru od dzieci. Był on nie tylko mężczyzną i Nowozelandczykiem, ale swoje teorie opierał na doświadczalnej hodowli cieląt karmionych z wiaderka na farmie schroniska. Kiedy ja się urodziłam, moja mamusia akurat sposobila się do czwartego małżeństwa, więc czym prędzej wyprawiono mnie

do internatu. Miałam wtedy pięć lat. Nadal próbuję się odnaleźć w labiryncie z alfabetem A, B i C.

— Och, Gillian, tak mi przykro.

— Daj spokój, nie uzalam się nad sobą. Z pozostałymi dziećmi płynęliśmy na tej samej porzuconej tratwie. — Roześmiała się, ale nie był to wesoły śmiech. — Dla mnie wtedy to było normalne. Oczywiście, teraz nie jestem zdolna do miłości. — Wyjęła puderniczkę i pociągnęła wargi szminką. — To nie w moim stylu. Co znaczy, że gdybym była tobą, zameldowałabym się w klinice na skrobankę, jeszcze zanim test by wykazał, że jestem w ciąży.

Po namyśle Maddy znalazła punkt odniesienia, który przemawiałby do Gillian.

— Cóż, ponad wszelką wątpliwość macierzyństwo znajduje się na liście sprawunków, jakie zamierzam sobie w życiu zafundować... Tyle że po prostu za wcześniej sprawiłam sobie ten prezent... Nadal jestem zakochana w Aleksie. Wiem, że on w pełni zasługuje na honorowe członkostwo klubu skurwysynów, ale to niczego nie zmienia. Kocham go do szaleństwa. Nic na to nie poradzę. Po prostu wierzę, że kiedy urodzę to dziecko, on będzie przy mnie.

Gillian przyłożyła dłoń do czoła Maddy.

— Nic nie jadłaś i dlatego bredzisz. — Po czym przeszła do ważniejszych spraw, takich jak figi nazywane motylkami, które unosiły i oddziaływały pośladki, nie zostawiając przy tym żadnych niepotrzebnych odcisków.

W oczekiwaniu na windę Maddy wyjęła z torebki wymiętą kartkę od Alexa, w której donosił: „Wspólnie przeżywamy to wszystko”.

Herbatka u Ritza

„Samotnie przeżywamy to wszystko”, miała ochotę powiedzieć mu, kiedy stała przed kliniką doktora Ethringtona-Stoppforda na Harley Street. Grupka Hindusek w sari wynurzyła się z bentleya prowadzonego przez prywatnego szofera, skąd wprowadzono je do różnych gabinetów. W pewnym momencie jedna młoda, spowita w czarne szaty Hinduska wyrwała się z grona strzeżonych przez arabskich ochroniarzy kobiet, ale zaraz ją pochwycono, spętano i szlochającą wprowadzono do środka. Maddy czuła dziwne ssanie w żołądku. Wszystko w jej życiu utknęło w martwym punkcie. Stała nieporuszona, okadzana wyziewami samochodowymi, bijąc się z myślami. W jednej chwili ogarniał ją optymizm, by zaraz ustąpić poczuciu ulgi, że wkrótce będzie po wszystkim... A na tę myśl nogi wrastały jej w ziemię i cały umysł pracował gorączkowo nad sposobem odwleczenia tego momentu. To nie perspektywa samego zabiegu napawała ją przerażeniem. W końcu normalna, dwudziestoparoletnia kobieta stosująca kapturek mogła czasem włożyć go niezbyt starannie. To przecież mogło się zdarzyć. A jeśli się nie zdarzyło, to można było udawać doświadczoną.

— A ty co dostajesz, ogólne czy miejscowe?

— Jasne, że miejscowe. W końcu to tylko drobny zabieg. Pełna narkoza uchodziła za niepotrzebne rozczulanie się nad

sobą. Bardziej mężną — Maddy zmieniała to określenie na „kobieca” — postawą było zachować świadomość podczas całego zabiegu. Poza tym dołączyło się do doborowego towarzystwa — Simone de Beauvoir, Billie Jean King, Gloria Steinem, Anais Nin... Nie, nie o to chodzi.

Prawdę mówiąc, w tym przypadku nie wydawało się to słuszne. Może brzmiało to mało przekonująco jak na argument. Tak jak tłumaczenie się przed gliniarzem, który zatrzymał cię za przekroczenie szybkości. Ale przecież kochała Alexa. Tak mocno go pragnęła, potężne uczucie przepelniało ją całą, było tak wszechogarniające, że zapełniłoby największe gmachy oper, bezmiar oceanów, galaktyki. Wystarczyło, by zamknęła na moment oczy, a już przenosiła się w krainę miłości. To jej wina, niczyja inna. Nie można było

zakochiwać się w Byronie i oczekiwać, że będzie się zachowywał jak Wordsworth. Próżność podsunęła jej twierdzenie, że to, co w nim złego, jest wyłącznie skutkiem jego negatywnych doświadczeń z Felicity. I próżność przemawiała przez nią, kiedy używała słów, tylekroć już wymawianych przez inne kobiety: „Ze mną będzie inaczej”.

Wskazówki zegara galopowały. Żołądek Maddy musiał myśleć, że podcięto jej gardło. Skulona nie mogła się wyprostować, tak bardzo chciało jej się siusiu. Czuła się jak reaktor, który osiągnął temperaturę topnienia. W końcu jej rdzeń dostosował się do sytuacji. Zrobiła to, co każda dziewczyna zrobiłaby w podobnej sytuacji.

Na srebrnej tacy piętrzyła się góra kanapek z wędzonym łososiem, jajecznica ze szczypiorkiem, gorące tosty cytrynowe i czekoladowe ciasto z orzechami laskowymi. Za świecznikiem z brązu mężczyzna w smokingu brzdąkał na fortepianie. Zadowoleni kelnerzy dyskretnie zerkali zza palm w wielkich donicach, wyczekując odpowiedniego momentu na uzupełnienie ciastek na srebrnej paterze. Karta wizytowa lekarza wetknięta do popielniczki była milczącym świadkiem jej niespiesznej uczy, jaką raczyła się przez całe popołudnie w samym centrum kiczowatej podróbki empire w Peacock Walk, Palm Court, u Ritza.

Kładź się i obróć, a pokażę ci, jak cię Kocham, w ten i 69 innych sposobów

— Nie poszłaś na wizytę? — Alex nie dowierzał własnym uszom. Bukiet róż w jego rękę wędznął w oczach. — Dlaczego?

— Byłam na zakupach — wyznała Maddy, sposobiąc się z powrotem do lektury w jakobińskim łożu z baldachimem pana Arnolda Tongue'a. — Z Gillian.

— Cholerna baba. Pojąć nie mogę, co ty w niej widzisz.

— Lubię ją — odrzekła Maddy z udawanym spokojem — ponieważ jeśli ciebie zamorduję, ona pomoże mi ukryć ciało.

Trochę czasu upłynęło, zanim Alex uświadomił sobie, że to był żart... najprawdopodobniej.

— Chodzi o doktora, prawda? Znajome mówiły mi, że on jest znakomity. Nie ma lepszego.

— W tej jego cholernej klinice — prychnęła Maddy — roi się od posażków Buddy... Ciekawa jestem, czy ty powierzyłyś swoje życie lekarzowi, który wierzy w reinkarnację?

— Posłuchaj, jeżeli on tak cię mierzi, to poszukamy kogoś innego.

— Tak po prostu? — zdziwiła się Maddy, podnosząc wzrok znad zdania, które czytała po raz dwudziesty.

Alex popatrzył na nią podejrzliwie.

— No więc jak długo jeszcze zamierzasz odkładać zabieg? Chcesz doczekać, aż płód zacznie się golić i otrzyma prawo jazdy?

— A mnie się wydawało, że nasze organizmy są tak zaprogramowane, by przekazywać geny następnym pokoleniom. — Odwołała się teraz do jego natury zoologa. — Tego mnie przecież uczyłeś.

— Do tego pijesz? Czujesz się zmuszona przez swoich przodków do wyjścia na ląd i rozmnożenia? Nie wiedziałem, że mam do czynienia ze słoniem morskim...

— Jak możesz, właśnie ty, nie czuć się zobowiązany wobec swoich komórek rozrodczych?

— ...choć prawde mówiąc, ostatnio przybrałaś nieco na wadze.

Maddy zamknęła z trzaskiem sztywne okładki książki.

— Chodzi o jeden plemnik! Żałujesz mi jednego plemnicz-ka? Tylko podczas naszej rozmowy zdążyłeś wyprodukować miliony tych robaczków. Od wieków mężczyźni składają je do wnętrza nie znanych sobie kobiet, które wcale sobie tego nie życzą. I raptem teraz takie to się zrobiło bezcenne? A ile razy marnujesz je na kartach „Playboya”?

— Nonsens. To mi się nie zdarza.

— Owszem, zdarza ci się. Znalazłam parę takich numerów pod twoim łóżkiem.

— Pod łóżkiem? Jakim znowu łóżkiem?

— Twoim. W mieszkaniu na Maida Vale. A gdzieżby indziej? Włamałam się tam.

— Jezus Maria, Maddy! A jakbyś tak natrafiła na Felicity? To było z twojej strony ogromnie nierozważne i nierozsądne.

— Teraz jestem nierozsądna i nierozważna za dwoje — odpowiedziała zimno.

Alex zaczerpnął powietrza, opanował emocje i wkroczył na regularnie ostatnio uczęszczaną ścieżkę do szafki z napojami wysokowymi pana Tongue'a. W dywanie widniał już wydeptany szlak wiodący w tę stronę.

— Jest do mnie podobna — powiedziała w zadumie, rozwalając się na poduszkach. — Istny sobowtór.

— Kto? — zawołał z salonu.

— Felicity.

— Daj spokój. To zgrzybiała czterdziestka. Ma czterdzieści trzy lata. Ty jesteś hożą dwudziestką dziewiątką. Ona to bonzai.

— Ty — strzelista wieża. Ona zimna jak lód. Ty — wulkan namiętności... A reszta, zgadzam się, jest uderzająco podobna. Wrócił do sypialni z olśniewającym uśmiechem na twarzy.

— Wiesz — znów zaczerpnął głęboko powietrza — mam świetną wiadomość. Jej antologia mizoginizmu... Właśnie skończyła osiemnasty wiek! Jeszcze tylko dwa stulecia i będziemy wolni.

Maddy dumnie się wyprostowała.

— Mówisz, że od niej odejdziesz. Ale czy tobie można wierzyć? Przecież twoja poszewka odwrócona jest stroną na „tak"! Na litość boską!

Alex położył ręce na jej ramionach. Zaczął masować jej kark, delikatnie, jak zwykle.

— Ej, a co powiesz na spotkanie z królową?

Ponieważ słowo *queen*^{*11} kojarzyło się Maddy raczej z ciotą (poznała kiedyś parę takich typów noszących skórzane porty, a w nich upierścienione kutas), więc i ta propozycja nie wzbudziła w niej entuzjazmu, w każdym razie nie taki, z jakim przyjęła hipnotyczne wręcz działanie jego palców. Czowała, że pod ich dotykiem topnieje jak masło, nerwowe napięcie gdzieś zniknęło. Na plecach poczuła przebiegające jak prąd elektryczny dreszcze. Wydawało się, że seks jest jedynym skutecznym lekarstwem na mdłości. Potrzebny był jej klin.

— Mam zaproszenie na przyjęcie w ogrodach pałacowych. Pomyślałem sobie, że zechcesz się tam wybrać ze mną. — Wodził ustami po jej szyi, aż przeszły ją dreszcze po całym ciele. — Jednakże — dodał znacząco — protokół nie dopuszcza ciężarnych kobiet przed oblicze królowej, gdyż mogłyby zemdleć podczas ceremonii powitalnej.

Maddy zeszywniała.

— Moim zdaniem rodzinę królewską trzeba by zapakować do lamusa.

— Są turystyczną atrakcją. To taki nasz Disneyland.

— Ale tłumy Brytyjczyków zabierają się na przejażdżkę.

— Bilety na tę imprezę osiągnęły najwyższą cenę w mieście. Felicity dałaby się pokrajać, żeby tylko tam pójść. — Przestał ją masować i dla odmiany położył się na niej.

Lubiła czuć ciężar jego ciała w łóżku. Był znacznie masywniejszy niż żyłaś, ale mikrzy Australijczycy, z którymi miała do czynienia.

— Naprawdę?

¹¹ * Queen (ang.) znaczy zarówno „królowa”, jak i „gej”.

— Nie masz się co spieszyć z urodzeniem dziecka, wierz mi. Żal ci będzie takich pięknych, obfitych piersi... — Pieścił je z lubością. Potem przesunął rękę niżej. — Ta sprężysta jak trampolina pupcia... — Maddy jęknęła rozkosznie. Zaczęła ssać jego ucho. — Wiesz przecież, że cię Kocham, prawda? — wyszeptał.

— Jedno wiem na pewno — zaraz wygaśnie ważność mojej wizy. Wiem też, że jeśli się ze mną nie ożenisz, to zostanę wyrzucona z tego kraju. — Sama wzmianka o małżeństwie działała na niego jak kubek zimnej wody. Przewrócił się na plecy, ręce zaplótł za głowę. — O co chodzi? — sondowała Maddy, podparłszy się na łokciu. — Koza ci męskość zjadła?

— Małżeństwo to nic innego jak odmiana zalegalizowanej prostytucji. Dla ciebie jako feministki już samo to pojęcie powinno być wstrętne. Małżeństwo osłabia w kobiecie szacunek dla siebie samej. Narusza jej indywidualność... Ale — westchnął melodramatycznie — skoro chcesz zrujnować swoje życie, to oczywiście, kotku, pobierzemy się — dokończył bez przekonania. Ujął jej uda, jakby były dwoma węgorzami w galarecie, i wycisnął na nich pocałunek. — Jesteśmy sobie przeznaczeni — dodał z przesadną afekcją, zanim przystąpił do rutynowego kochania się z nią. Było to jak beznamietne zaliczanie. Zamiast zwyczajowego papierosa po skończonym stosunku, zaraz ruszył do salonu zadzwonić do szpitala Elizabeth Garrett Anderson, aby umówić ją na wizytę.

Tak się złożyło, że dziewczyna, która przeważnie zajmowała się dzieckiem Bryce'a i Imogen pod ich nieobecność, zachorowała, a Alex, czego nikt się po nim nie spodziewał, wielkodusznie zaoferował swoje usługi. Para pojawiła się w willi pracodawcy Maddy obładowana całym zestawem zabawek, sterylizatorów do butelek, pieluszek, płynów, kremów, witamin, przenośnym łóżeczkiem, mnóstwem grzechotek, plastikowych książeczek z obrazkami, gadających misiów i królików i całą szafą maciupkich ubranek na każdą pogodę. Zostawiwszy długą listę telefonów — komórkowych, w samochodzie, do restauracji, teatru, najbliższego posterunku policji, pogotowia, pediatry, ginekologa, dziecięcej masażystki, dziadków, sąsiadów, wszystkich krewnych i znajomych, Imogen na koniec wręczyła Maddy butelkę z cenną zawartością od-

ciągniętego z własnej piersi mleka. Z takim nabożeństwem odnosili się do tej butelki, jakby to był co najmniej zacny rocznik Dom Pérignon.

— Ale z niej mateczka, co? — promieniał Bryce.

Żarliwość Imogen, z jaką oddawała się karmieniu piersią, mniej miała wspólnego z jej macierzyństwem, więcej natomiast z faktem, że sprzyjało to spadkowi wagi przy jednoczesnym utrzymaniu dużego biustu. Z tego powodu ta kobieta gotowa była karmić piersią do czasu, aż jej latorośl zdobędzie dyplom uniwersytecki. Kiedy sobie poszli, Maddy natychmiast zrobiła przegląd kolekcji nietoksycznych, niepalnych i nie wywołujących agresji zabawek. Jak na lalki pozbawione genitaliów, Ken i Barbie dorobili się imponującej gromadki pociech. Była Sindy i Paul i ich opiekunka oraz cały zastęp dzielnych chłopców, goto-wiących się do boju, o imionach Zap, Zeus i Terminator, wszyscy wyposażeni w zadziwiające funkcje biologiczne. Włosy mogły im rosnąć w tempie kilku cali na minutę, wymalowane usteczka piszczwały „mama”, pieluszki stawały się mokre w zależności od tego, jaki się nacisnęło guziczek albo pociągnęło sznureczek. Berbeć nie zwracał uwagi na nic z tych rzeczy. Leżał tylko na swoim afgańskim modlitewnym dywaniku i darł się wniebogłose. I tak przez trzy godziny, bez ustanku.

— Oto rozkosze rodzicielskie — triumfował Alex, który dostał pilny telefon z redakcji wzywający go na zebranie kolegium. Oczywiście wydawało mu się, że opieka nad dzieckiem będzie wstępem do podwiązania jajowodów. Ale pomysł ten nie wypalił, wręcz przeciwnie. Kiedy kołysała i tuliła wrzeszczące maleństwo, przyszło jej do głowy, że skoro trzymiesięczne powstrzymanie się od alkoholu, kawy i niezdrowej żywności skutkowało takim potworem, ona zacznie palić, pić i jeść potrawy zawierające glutaminian sodu szprycowany kokainą. I to od zaraz.

Dziecinne obciążenie

W dniu zabiegu wszystko, co mogło, szło na opak. Hipochondryk wypisał się na własne żądanie z kliniki i nie zapowiedziany pojawił się w domu, by zastać na miejscu pobojuwisko, tapety zabazgrane hieroglifami, cały trzy pokojowy apartament lepący się od miodu, koty zdziczałe, tapicerkę w psich kudłach, a w jego własnym antycznym łożu z baldachimem gospodynię wylegującą się z terrorystą (Alex, spędziwszy z nią noc, by osobiście zaprowadzić ją do kliniki, na widok starego zgreda wciągnął jej rajstopy na swą fotogeniczną twarz). Maddy w końcu otworzyła zaspane oczy, zobaczyła łypiącego na nią chlebodawcę ze ściągniętą twarzą przypominającą małpi zadek.

— O, to pan — powiedziała niepewnie. — Już panu lepiej? — Żałowała, że nie dołała mu więcej oliwy do jego cholernego makaronu.

Odniosła nieprzeparte wrażenie, że zaraz nastąpi to, co Sonia nazwałaby „nagłą okolicznością do pchnięcia kariery na nowe tory”. Z miejsca ją wyłał.

Całe wieki trwało pokonanie odległości około czterech przecznic dzielących ich od samochodu do szpitala. Alex szedł uczepiony jej ramienia jak nie dające się odpiąć blokady na koła samochodów, które unieruchomione tkwiły wzdłuż Euston Road.

— Jeśli nie chcesz się rozstawać z embrionem, powiedz to teraz. — Alex skryty za ciemnymi szklami modnych raybansów i wciśniętym na oczy kapeluszem, rozglądał się wokół niespokojnie. — Ty tu decydujesz — dodał chytrze.

Trzymał ją za rękę w żelaznym uścisku, trochę zbyt mocno, niż było to konieczne, tak jej się w każdym razie wydawało. Wyczuwała nawet, jak trzymał zaciśnięte kciuki. Był to z jego strony rodzaj zakładu, następna próba po jego słynnej a niechlubnej ucieczce z etiopskiej Kotliny Danakilskiej, przed tubylcami z plemienia Afarów, znanymi z kastrowania przybyszów. Maddy dreptała obok niego, ściskając tandetną walizeczkę z resztkami ocalałego dobytku.

— Mam dobrą wiadomość. Antologia jest już skończona. Maddy dygotała. Miała gęsią skórę, niczym oskubany ptak.

Było wyjątkowo zimno jak na wrzesień.

— Odejdę od niej... gdy tylko zdomowi się nowa niania.

Szorstki drelich wiatrówki drażnił jej ciało. Lato skończyło się na dobre. Tuż obok niej ciężarówka zahamowała z piskiem opon. „Zabezpieczony w połowie? Lepiej zabezpiecz się tam, gdzie należy”, głosiła prześmiewcza reklama kondomów umieszczona na boku ciężarówki.

— Szkoda, że nie możesz zobaczyć jej rozmiarów, wyjątkowo pasuje do niej określenie *aupair**,¹² ma rzeczywiście wszystko podwójne.

Pod ich nogami przetaczały się balony pozostawione z wyścigu górników, który odbywał się tu poprzedniego dnia. Białe i sflaczałe przypominały piersi opróżnione z mleka.

Szpital nie musiał mieć żadnego szyldu. Był wystarczająco oznakowany samą obecnością obrońców życia, powiewających szalikami, nagrzanymi, skupionymi w groźne grupki na chodnikach. Na fasadzie szpitala widniał napis zrobiony sprayem: „Mordercy”. Jeden z boskich rycerzy zwrócił w ich stronę kamerę wideo.

— Chyba lepiej będzie, jak poczekam w samochodzie. Nie przecisnę się przez ten tłum. — Alex zachęcająco poklepał Maddy po plecach, jakby szła na rozmowę w sprawie pracy. — Powodzenia — szepnął na pożegnanie i zaraz zniknął gdzieś w bocznej uliczce. Dalej Maddy musiała już sama torować sobie drogę wśród transparentów spryskanych dla efektu krwią, głoszących złowrogo: „Mordercy”, „Niech każdy ma swoje urodziny — NIE dla przerywania ciąży”, „Przyłóż się do Przeciwników Aborcji”. Znała ten typ ludzi. Występując przeciw aborcji, głosząc świętość życia, domagali się jednocześnie przywrócenia kary śmierci. Jakaś kobieta spryskała ją wodą święconą. Inna wetknęła jej do ręki obrazek z modlitwą za nie narodzonych. Mężczyzna z opaską „Koniec z zabijaniem” rzucił jej w twarz zabalsamowany embrion. Zaczynała być zadowolona, że właśnie ma się poddać zabiegowi przerywania ciąży. Na złość tym skurwysynom.

Wystrój przegrzanej poczekalni utrzymany był w beżowej tonacji jak w lokalach kwaterunkowych, a kulawe meble nie pasowały do siebie. Naga żarówka zwisająca z sufitu rzucała mdłe światło na zgromadzone tu kobiety.

¹² * Pair (fr.) — para, dwójka

Usiłując nie patrzeć innym w oczy, siedziały sztywno wyprostowane i przeglądaly tak jak Maddy kolorowe czasopisma sprzed co najmniej roku, z których i tak wydarto najciekawsze strony. Kiedy natrafiła na artykuł o łowcach głów pochodzących z plemienia Papuasów w Nowej Gwinei, pomyślała sobie — to właśnie to. Mam mieć aborcję, to właściwie to samo.

Pracownica socjalna była dobronudną kobietą, zwolenniczką wegeterianizmu.

— Nazwisko? — spytała grzecznie.

Madonna, Melody, Monica... Nie, zbyt pretensjonalne.

Gillian miała rację. Nie można było zmienić natury Alexa. Nowoczesny mężczyzna to jeszcze jeden mit. I tak wychodzi na to, że niewesołe jest życie tatuśka...

Jane, Jenny, Kylie... Nie, zbyt banalne...

Do tego ból, epidural, szwy. Po sześciu tygodniach wizyta, którą jej przyjaciółki nazywały konsultacją w sprawie możliwości dalszego uprawiania seksu. Istotka pokryta śluzem pochodzącym z twojego brzucha.

Marmaduke, Maximilian, Orlando... Nie, zanadto pretensjonalne.

I to naznaczenie dzieckiem, widoczne nawet na zakupach w supermarkecie — mokra plamka na ramieniu od dziecięcego ulewania się.

Jack, Joseph, Peter, Paul... Nie, nie, zbyt banalne.

Londyńska mgła nie mogła się równać z zamgleniem umysłu wiecznie zaabsorbowanych mamuś, które bezmyślnie sypią proszek do prania do lodówki, a jedzenie wkładają do pralki, codziennie zatrząskują kluczyki w samochodzie i nie są w stanie dokończyć nawet prostego zda...

Brie, Blue, Dweezil, Winston, Hero, Hercules, Fodo to na pewno lista imion, których nie można nadać dziecku... Było jeszcze parę imion aborygeńskich, ale wszystkie sugerowały, że ich właściciel właśnie zatrzymał się przy wodopoju na pustyni. Chociaż tak naprawdę nie miało to większego znaczenia w Anglii, gdzie i tak nazywano by go zdrobniale: *Muffy, Buffy, Binky, Boo-Boo...*

Maddy z ulgą uświadomiła sobie swoją naiwność, kiedy roiała, że dziecko może scementować związek. Już sam wybór imienia oznaczał rozdzwięk.

— Madeline Wolfe — udzieliła w końcu odpowiedzi. Pracownica socjalna poklepała ją po ręce.

— Przemyślałaś dokładnie swoją decyzję? Nie masz żadnych wątpliwości?

Maddy skinęła głową.

Tak naprawdę jednak wcale nie przemyślała dokładnie wszystkiego. Aż do momentu, kiedy wchodziła na stół zabiegowy. Leżała tam, jakby poza biegiem wydarzeń, niczym pierścionek zostawiony na brzegu umywalki. A jednak była świadoma aż do bólu bomby zegarowej tykającej w jej brzuchu. Jak to możliwe, że coś tak przypadkowego jak potknięcie się albo urażenie w nerw łokciowy może skutkować czymś do tego stopnia materialnym i cielesnym?

Jak zahipnotyzowana śledziła czynione wokół niej przygotowania — krzątanie pielęgniarek w sztywno wykrochmalonych fartuchach, brzęk narzędzi rozkładanych poza zasięgiem jej wzroku. Pielęgniarka podwinęła rękaw spranej kraciastej sukienki Maddy i zapaliła światło nad jej głową. Światło to zdało się wielkim ciężarem zwieszającym się tuż nad nią, ogromnym ciężarem, który przytłaczał ją, zapierał dech w piersi, groził natychmiastowym wybuchem. Mimo to leżała nieporuszona. Jak do tego doszło, że stała się tak bierna? Ona, która wiedziała, jak można wyjść za kaucją w każdym kraju na Pacyfiku. Ona, znająca z imienia wszystkich barmanów w Bangkoku. Ona, która potrafiła otworzyć zębami butelkę z piwem. Jak mogła stać się tak nieśmiała, dać się tak podporządkować, zmienić się w taką no cóż, Angielkę? Nagle uświadomiła sobie swoją szansę macierzyństwa. Wyjście z trudnej sytuacji, w jakiej się znalazła, narzuciło jej się z całą oczywistością w tej samej chwili, w której wsuwała nogi w metalowe strzemiona, gapiąc się w zaklajstrowane farbą gzymsy georgiańskiego sufitu. Dotarło to do niej z całą przenikliwością, na równi z podzwanianiem metalowych narzędzi chirurgicznych na pielęgniarskim wózku. Tak jakby się zbudziła po drugiej stronie lustra. I czuła się z tym dobrze. Na właściwym miejscu. I śmiertelnie przerażona.

— Urodzę to dziecko. — Prawie nie słyszała własnego głosu, jakby była brzuchomówcą.

— Co?! — Jego głos z kolei zabrzmiał jak wystrzał.

— Po prostu nie mogę tego zrobić. — Zadowolona była, że on ma telefon komórkowy, bo nie odważyłaby się spojrzeć mu w oczy.

— Zaczekaj na mnie! — krzyknął.

Alex, ubrany w szary prochowiec, który pozwalał mu pozostawać niewidocznym na tle ścian, z powodzeniem przecisnął się przez „nieprzenikniony” tłum do szpitala.

— Spermę to moja własność, dopuściłaś się kradzieży! — krzyknął, a oczy wszystkich zgromadzonych zwróciły się w ich stronę.

Twarz Maddy, nie wyrażająca żadnych uczuć, oblekła się białością godną stroju panny młodej.

— Własność — przypomniała mu — to tylko dziewięć dziesiątych prawa.

Alex złapał ją mocno za nadgarstek i odciągnął od oczu ciekawskich.

— Embrion znaczy dla mnie tyle co spermę wytrzępana do próbówki.

Maddy wyrwała mu się.

— Gdzie się podziała „miłość jako stan łaski”? Co się stało z naszym „niezbywalnym prawem do życia, wolności i dążenia do szczęścia”?

— Jeżeli nie zmienisz zdania, koniec z nami. Nie zobaczysz mnie nigdy więcej.

Cała poczekalnia wstrzymała oddech. Maddy zwróciła się do wyjścia.

— Maddy, ja mówię poważnie. Jeśli teraz wyjdiesz, pozwolę ci odejść — powiedział zrezygnowany. Zabrzmiało to, jakby mówił do cykady uwięzionej w pudełku od butów.

Maddy pchnęła drzwi i znalazła się na zimnej ulicy. Alex nie poszedł za nią, może w obawie przed kamerami wideo. Przepychała się przez syczący tłum, pomagając sobie łokciami. Spoglądali na nią badawczo, jak celnicy wypatrujący dowodów kontrabandy — wyrazu winy malującej się na twarzy, przeproszającego uśmiešku, paczki pod pasek. Jakaś kobieta w podkoszulku z napisem „Życie jest święte” splunęła jej we włosy. Lodowate powietrze szczypało ją w policzki. Maddy głośno westchnęła.

Sprawdziła wzrokiem, czy czasem jej oddech nie skamienieje.

CZEŚĆ TRZECIA

PRZEISTOCZENIE

RS

Kryzys

— Wracam do domu. — Na kursie uprzedzano nas o możliwości wystąpienia kryzysu. Wtedy kobieta zaczyna zachowywać się nieracjonalnie, podaje się. To mi się nigdy nie przytrafi, myślałam wówczas. Znana jestem ze swego trzeźwego umysłu, jasnego myślenia. Raz obezwładniłam włamywacza. Potrafiłam wyperswadować myśli samobójcze. — Daję sobie spokój. Koniec z tym. — To przedporodowa depresja. Medycyna zna takie przypadki.

— Oddychać głęboko, oddychać — rozkazuje położna. Kończy się działanie epiduralu. W krzyżu odzywa się głuchy

ból. Chociaż wróciło mi czucie w nogach, są zbyt ciężkie, żebym mogła nimi ruszać. Czas wlecze się niemiłosiernie. Posuwa się z wielkim trudem, jak statek przebijający się przez kry.

— Zimno mi — wołam. — Zimno!

Pojawia się Yolanda, która wbija moje lodowate stopy w pasiaste skarpety w kolorach klubowych Arsenal. Klub Alexa. Zawsze je wkładał, kiedy oglądał mecz w telepudle. Jeszcze jedna jego poza — kibicować piłce nożnej. W ten sposób upodabnia się do proletariatu.

— Ona nie oddycha głęboko...

— Oddychaj, Maddy, oddychaj. Musimy poczekać z parciem, aż minie działanie epiduralu. Bo inaczej trzeba będzie użyć kleszczy...

— Ona nie słucha. Ma-de-li-ne. Musimy poczekać, aż ukaże się główka dziecka.

— Gdzie moje ubranie? — Musiała zajść jakaś okropna pomyłka. Przecież ja nie mam najmniejszego pojęcia, jak się wychowuje dziecko. Dają ci dziecko, ale nikt nie pomyśli, żeby dołączyć do niego instrukcję obsługi. — Zawołajcie mi taksówkę. — Jakże mogłabym nauczyć kogoś, co ma zrobić ze swoim życiem, skoro tak strasznie spieprzyłam swoje własne? Jak nic dzieciak zaskarzy mnie do sądu o niewywiązywanie się z rodzicielskich powinności. — Idę do domu trochę się przespać. — W niektórych krajach torturuje się ludzi, pozbawiając ich snu. Nic dziwnego. To jest naprawdę skuteczne. Teraz przyznałabym się do wszystkiego, czego by tylko ode mnie zażądali. Ale do czego

znów miałabym się przyznać? Że zakochałam się w łajdaku, zasranym Angolu, który najpierw przyprawił mnie o brzuch, a potem puścił w trąbę? Wiem. Cholernie oryginalne. Czuć się jak ryba wyrzucona na brzeg, trzepocząca się w grząskim piasku. Żeby tylko mogła jakoś przewrócić się na plecy... Może kołysząc się na boki... O Boże. Tracę przyczepność i ląduję na podłodze.

— O rany! — Yolanda wpija mi w ramię swoje tłuste paluchy. Odpycham ją. Tam jest moje ubranie. Ruszam się wolno jak mucha w smole. Na miękkich nogach wlokę się w stronę krzesła. Cierpienie wyostrzyło mi zmysły. Widzę wszystko z najdrobniejszymi szczegółami — obgryzione paznokcie Yolandy, pęknięcia tynku na suficie, odciski palców na blaszanej tablicy zawieszonyj na łóżku, ślady oddechów na szybie, nalepkę na jej torbie z napisem: „Naturalnie rodzić, radośnie rodzić”. Niczego nie przeoczę. Nagle olśnienie: spostrzegam, po raz pierwszy w życiu, że tak naprawdę to go nienawidzę. Nienawidzę jego przedziałka. Nienawidzę kępek włosów, które wyrastają mu z uszu. Nienawidzę jego radiowego głosu. Nienawidzę, jak Boga kocham, jego blizny po wyrostku. A już najbardziej nienawidzę jego obleśnych, cholernych, plugawych półdupków. — No i widzisz, co się dzieje? — Yolanda wybałusza się, podczas gdy położna chwytą mnie za drugie ramię. — Widzisz, jak to jest, kiedy się je otumania lekami?

O-tu? Gdzie? I co za Mania? Och, jestem kobietą upadłą. Tylko na co? Na podolek. To dobre miejsce. Piłka do dołka. Mam brzuch jak piłkę. Chociaż nie piłam. A czuję się jak pijana. Kto tam, przyjaciel czy wróg? Nie, w rogu nie ma nikogo. Nie ma Alexa. Alexa-xa-xa, Alender-der-der. Och, co za derdymały. Dyrdy-mały. Uciekaj, mała w dyrdy. Albo wychodź ze mnie. Bo ja nie wyjdę. Nie wyjdę za Alexa. Z tego też nie wyjdę. Uch!

Jestem już w połowie ubrana, kiedy dopadają mnie siły porządkowe. Yolanda ustawia podglówek na taką wysokość, która pozwala mi niemal siedzieć na łóżku. Położna rozsuwa mi nogi. Pielęgniarka mierzy ciśnienie. Nadchodzi doktor, cały zamaskowany na zielono, wciąga gumową rękawicę i zagłębia rękę w mojej pochwie. Nagle przypominam sobie, że powinnam za-bujać się w swoim położniku. O raju, zaczynam wypatrywać sposobnej chwili, ale ta jakoś nie nadchodzi.

— Odsuń się — mówi do Yolandy.

— W dawnych czasach to było dobrze — próbuje mu się odgryźć. — Na przykład tysiąc siedemset lat przed naszą erą, kiedy lekarz coś spieprzył, obcinano mu rękę.

Doktor drapie się po głowie, widzę to jak przez mgłę.

Rozpoznaję go. To piekielny doktorek z Harley Street. Gdybym tylko miała dość siły, powiedziałabym temu konowałowi, że zaraz mu dorównam — w niekompetencji, kiedy będąc nieodpowiedzialną kobietą, wkrótce znajdę się w sytuacji nader odpowiedzialnej. Coś w rodzaju konsultanta położnika. Zaczynam żałować, że nie przyniosłam ze sobajakiejś lektury do poduszki, na przykład poradnika z wyraźnym tytułem na okładce: *Błędy lekarskie. Jak w sądzie dochodzić swoich praw*.

Między moimi nogami pojawia się Yolanda z lusterkiem w rękę. Przez mgnienie oka widzę swoje odbicie. Jestem blada, wymęczona, wyglądam jak zakładnik porywaczy samolotów po pięciu dniach bez jedzenia i picia, w ciągłym strachu o życie. Zresztą tu też jestem zakładniczką. Czekającą na nieuchronne rozwiązanie tu, na sali porodowej.

Monitor skurczów przypomina mi wykrywacz kłamstw. Tyle się ostatnio nakłamałam. Mówiłam, że chcę dziecka, podczas gdy go nie chcę. Że będę dobrą matką, a wiadomo, że nie będę. Że kocham mężczyznę, który jest gównem wart.

— No, kochanie — słyszę słowa położnej. — Pora przeć.

Cieliste dzwony i wielkie apetyty

Dla młodej Australijki, dwanaście tysięcy mil od domu, zostawionej na łodzi przez faceta, z wizą, której termin ważności wkrótce upłynie, pobyt w Londynie w poważnym stanie był mniej więcej równie zabawny jak dla bażantów sezon łowiecki na angielskich polach.

W ciągu drugiego trymestru ciąży ciało Maddy uległo przeobrażeniom porównywalnym do przypadku doktora Jekylla i pana Hyde'a. Uwaga: grasuje groźny mutant. Zaczęła się zastanawiać, czy nie wstąpić do zespołu Państwowego Cyrku z Moskwy. Widok jej brzucha nasuwał podejrzenie, że ktoś go napompował pompką do roweru. Miała tak spuchnięte kostki, że wydawało się, iż nosi dzwony w cielistym kolorze. Na całym ciele pojawiły się srebrzyste niteczki niczym spuszczone oczka w pończochach. Jej rozdęte piersi, ujęte w miski ponadrozmiarowego biustonosza wzmocnionego drucianymi obręczami, były tak ciężkie, że chodziła stale pochylona do przodu. Kiedy pytano ją, dlaczego ubiera się na czarno, odpowiadała, że nosi żałobę po utracie figury.

Ale i tak sylwetka wydawała się nieskazitelna w porównaniu z tym, co stało się z jej umysłem. Wszystko doprowadzało ją do łez. Popołudniówki z happy endem. Popołudniówki ze smutnym zakończeniem. Francuskie pretenjonalne filmy bez jakiegokolwiek zakończenia. Trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy. Jej rozum uwiadł. Objawy? Uznała, że serial *Sąsiedzi* to program pobudzający do myślenia.

A nawet gdyby się okazało, że jej umysł nie doznał szwanku, to na pewno stało się to z główką dziecka. Maddy była przeświadczona, że zgniotła czaszkę dziecka, kiedy nosiła rajstopy z regulowanym pasem w nadziei, iż uda jej się wywieść w pole potencjalnych pracodawców, tak by nie zauważyli jej błogosławionego stanu.

W tym czasie, kiedy Maddy, kołysząc się jak kaczka, przemierzała ulice w poszukiwaniu pracy, Gillian nie ustawała w wysiłkach na rzecz spełnienia swego powołania. Początkowo panna Cassells była przeciwna zamieszkaniu

wspólnie pod jednym dachem mieszkanka w Fulham. Jej polowanie na męża nabrało tempa. Imiała się już wszelkimi sposobami, z wyjątkiem może lasa i zastrzyków obezwładniających. Ostatnio ściagała niejakiego Maurice'a, potentata w branży wydłużania włosów. Tytana tupetów. Był tak bogaty, zachłystywała się Gillian, że najął stu dwudziestu ludzi do spuszczenia wody w jego toaletach, by nie zamarzła i nie rozsądziła rur podczas wyjątkowo mroźnego tygodnia w czasie ostatniej zimy. Biedak miał bzika na punkcie seksu, co wprawilo Gillian w zachwyt.

— Dopóki się nie oświadczy — zaklinała się — nie dam mu przekroczyć granicy ud.

— Zostanę u ciebie tylko do chwili, kiedy go usidlisz — błagała Maddy tego dnia, w którym ostatecznie odrzuciła możliwość przerwania ciąży.

— Gość w dom jest jak ryba — odpowiedziała Gillian do słuchawki. — Po pierwszej dobie zaczyna śmierdzieć.

— Proszę cię, Gili — błagała Maddy, stojąc w zasikanej budce telefonicznej na King Cross i przyglądając się, jak jakiś obszarpany punk posilał się beefburgerem wyciągniętym z pojemnika na odpadki.

— Zawsze jestem szczerą wobec kobiet — wyznała Gillian. — Nie znoszę mieć menstruacji jednocześnie z innymi dziewczynami.

Kiedy Maddy zauważyła, że w jej obecnym stanie to akurat nie stanowi żadnej przeszkody, Gillian w końcu wyznała prawdziwy powód swojej niechęci. Zastawiła meble. Co wyjaśniało też jej desperację na froncie polowań na męża.

Maddy kolejną dziesięciopensówką zatkała nienasycony otwór automatu. Urocze graffiti przykuło jej uwagę: „Zamiast o miłości pleść androny, załatw ją od dupy strony”.

— Tak, ale przydam ci się, jak będziesz wybierać się na polowanie. Nie pamiętasz: zęby, nos, cycki, szwy?

To ostatecznie przekonało Gillian. Nawet jeśli zastawiła pułapki na Maurice'a, to przecież nie zamierzała czekać bezczynnie, aż ofiara w nie wpadnie. Wobec zbliżających się trzydziestych szóstych urodzin jej apetyt sięgał zenitu. Węszyła wściekle za spodniami, branie zakładników nie wchodziło w rachubę.

Pierwsze stworzenie, jakie wpadło w jej sidła, okazało się bogatym i majątnym gwiazdorem filmowym.

— Aktor? — krzywiła się Maddy podczas ich rytualnych porannych rozmów. — Nie doszukasz się w nim żadnych szarych komórek.

Gillian przyznała, że okazałemu ciału nie odpowiadał okazały umysł. Pod tym względem był jak dinozaur.

— Za to jakie ma ciało. Można się schronić przed słońcem w cieniu jego penisa.

Wszystko jednak prędko się skończyło, a powodem był spór o minetę. A raczej jej brak.

— Zbierało mu się na wymioty. Powiedział, moja droga, to jest miejsce, gdzie foki przybywają, aby umrzeć.

Następny jej jeniec był romantycznym pisarzem, który publikował pod pseudonimem Candice Love, a okazał się stukilowym osiłkiem z Yorkshire z prostatą i problemem alkoholowym.

Niestety, i tego musiała wypuścić na wolność. Albo innymi słowy: jego tantiemy były miłe, czego nie dało się jednak powiedzieć o lewatywach z winą.

Ku zgrozie Maddy, Gillian na jakiś czas usidliła nawet Humphreya. Jego ulubionym miejscem okazał się klub masażu w Soho. Początkowo Gillian była otwarta na wszelkie propozycje. Uznała, że masaże są dobre na zachowanie figury.

— To nawet lepsze niż sauna — zapewniała. Ale i ten romans wkrótce zwiądł.

— Trzeba ci wiedzieć, moja kochana, że Anglicy mają jedną wadę: ich tyłki są wygarbowane od cięgów, jakie brali w internatach — pospieszyła Gillian z wyjaśnieniem.

— Nie mów, że on chodził w szkolnym mundurku, dostawał łanie i te rzeczy — skrzywiła się Maddy z niesmakiem, pochłaniając następnego rogalika. — To takie banalne.

— Powiem inaczej. Robił na mnie wrażenie... od pasa w górę.

— Daj sobie z nim spokój.

— Pewnie. To pedzio, który się maskuje. Mogłam się domyślić, kiedy wziął do łóżka słoik wazeliny. „A to co?”, zapytałam go. Zamierzasz przepłynąć kanał La Manche?”

Potem sprawy obróciły się na korzyść króla w branży wydłużania włosów. Wytrwale nie opuszczając stanowiska przez wiele tygodni, Gillian sama była teraz, by użyć jej określenia, na muszce penisa.

— Zobaczysz, lada noc może skapitulować — przechwalała się zwyczajowo nad porannym tostem. — Teraz się ugnie. Co oznacza, moja droga, że będziesz musiała poszukać sobie zajęcia.

Znalezienie pracy okazało się jednak trudniejsze, niż Maddy przypuszczała. Najgorsze było to, że kiedy tylko ludzie się orientowali, że jest w ciąży, natychmiast odejmowali przynajmniej dwadzieścia punktów od jej ilorazu inteligencji. Do tego wydawało jej się, że było to akurat dwadzieścia decydujących punktów. Z jednej strony sklepy dla przyszłych matek kazały jej nosić różowości i pastelowe kolory, falbanki i kwiatuszki, z drugiej zaś przechodnie na ulicy traktowali ją jak powietrze. Maddy uczyniła wszystko, by zamaskować ciążę. Swoje rude włosy obciąła żyłką na krótko. Wytatuowała sobie różyczkę. Przekłuła lewe nozdrze. Ale nie zdołała tym osiągnąć zamierzonego efektu ani też wyrzucić pożądanego wrażenia na ewentualnych pracodawcach.

Nie pozostawało jej nic innego, jak jeść. Maddy pochłaniała wszystko, co nadawało się do jedzenia. Oczywiście przekroczyła wszelkie normy dietetyczne.

— O Boże. Chyba jestem w Tłuszczu. — Zasłoniła okno ścierką, żeby światło słoneczne nie ujawniało tak wyraźnie jej sylwetki. — Nikt mnie nie uprzedził — bełkotała z ustami pełnymi krakersów i śmietanki — że ONO będzie się domagać w środku nocy trzydaniowego posiłku.

— A czego się spodziewałaś? — Gillian przysiadła na skrzynce po owocach, której używały jako krzesła. — Przecież jesz za dwoje.

— Za dwoje? Ja jem za dziesięcioro. Za wszystkich mieszkańców północnego Londynu. Za całą półkulę północną. Za kulę ziemską...

— Nie wiem, czym ty się przejmujesz. Wyglądasz bardzo dobrze.

— Wyglądam jak zapaśnik sumo. A właściwie, prawdę mówiąc, zapaśnik sumo wygląda przy mnie rachitycznie. Musiałam poszerzyć ubranie o kilometr z każdego boku. Mam grube palce, nawet powieki mam grube. Zrobił mi

się nie tylko podwójny podbródek, ale podwójne uda, oczy, palce... Nie mogę samodzielnie wysiąść z samochodu, trzeba mnie stamtąd wyciągać orczykiem. Już nie daję rady zawiązać sobie butów. Zapomniałam, jak wygląda moje własne przyrodzenie...

— Wielkie rzeczy. — Gillian poklepała Maddy po brzuszysku. — Przy najmniej wiesz, jak się czuje Australijczyk w średnim wieku. — Patrzyła, jak Maddy zmiata cały półmisek jedzenia. — Można by pomyśleć — powiedziała z wahaniem — że zjadasz głód czegoś innego.

— No nie. Naprawdę? — Maddy zachnęła się. — Wielkie dzięki, pani Freud.

Gillian była pewna, że dziecko urodzi się z jakimś znamieniem telewizyjnym. Maddy w nadziei, że ujrzy Alexa, oglądała wszystko jak leci.

— On jeszcze się nie uporał z gnębiącym go poczuciem winy, że zostawił swoje dzieci, i to wszystko — wyjaśniła któregoś wieczoru, gdy obie przebrnęły przez niesłychanie nudną uroczystość na cześć otwarcia nowego akwarium. Większości z nas plagi kojarzą się z Egiptem, ale dla Alexa to są rzeczy, które on musi ujawnić. — Musi je stopniowo do tego przygotować. Wyobraź sobie, jak się poczują zagrożone, kiedy dowiedzą się, że przybędzie im mała siostrzyczka — przekonywała Gillian, przymocowując fastrygą rzep, który miał zastąpić zamek błyskawiczny, co miało dać więcej swobody poszerzonej talii.

— Aha — mruknęła sceptycznie Gillian.

— Teraz nastąpiła era ojców — oświadczyła Maddy. — Weź pierwszego lepszego sławnego mężczyznę, a przekonasz się, jakiego mają hopla na punkcie dzieci. Sting, Schwarzenegger, Jack Nicholson, Warren Beatty.

— Weź ten rzep, Maddy, i obszyj nim Alexa od stóp do głów, a będzie to jedyny sposób, żeby go zatrzymać przy sobie. Ten pan jest urodzonym poligamistą.

Owszem, Maddy skłonna była przyznać, że różnili się między sobą. Podczas gdy ona całym sercem opowiadała się za małżeństwem, spłacaniem rat, dwutygodniowymi wczasami raz do roku w jakimś ciepłym zakątku i wspólnym życiem długo i szczęśliwie, on wołał skrobankę i bilet do Australii w jedną stronę na nazwisko Maddy, i to natychmiast. Wierzyła jednak głęboko,

że kiedy już dziecko przyjdzie na świat, on nie oprze się niezłomnej matce i nieodpartemu czarowi maleństwa... W każdym razie tak to wyglądało w teorii.

W rzeczywistości Maddy nie czuła się niezłomna. Nawet nie chodziło o to, że lekarz uparcie odnosił się do niej jako do „starej pierwiastki”, ale że jej ciało wcale nie jaśniało „wewnętrznym blaskiem”. Codziennie rano wyskakiwała z łóżka i biegła do lustra, żeby przekonać się, czy „rozkwitła”. Nic jednak na to nie wskazywało. Stawała się tylko coraz grubsza. W szpitalu, zanim zdecydowała się poddać upokarzającej ceremonii ważenia, Maddy najpierw zdejmowała kolczyki, usuwała cienie z powiek, ścierała dezodorant... Ale i tak wskazówka wjeżdżała zatrważająco wysoko. Maddy pochylała się do przodu, przenosiła ciężar na jedną nogę, natężała się, by puścić bąka... ale wskazówka tkwiła nieporuszona.

— Strasznie mam głowę obciążoną doktorze — znalazła w końcu wymówkę, zeskakując z wagi z postanowieniem zmycia lakieru z paznokci.

Myśląc dotychczas, że jej ciało opanowali przybysze z kosmosu, z ogromną ulgą zobaczyła na monitorze ultrasonografu dziewczuszkę w kolorze sepii zmieszanej z szarością.

— Skąd wiesz, że to dziewczynka? — zapytała Gillian, zerkając z niedowierzaniem na ekran monitora. — Nosi torebkę? — Gillian uważała, że ultrasonograf byłby bardziej pożyteczny, gdyby potrafił określić, czy materia, z której cudeńko zrobiono, jest taka sama, z jakiej ulepieni są milionerzy.

Maddy wpadła w zachwyty, kiedy dzieciątko przewróciło się na plecy, a potem na brzusek, jakby popisując się przed kamerą.

— Cały tata — wołała ze śmiechem, uszczęśliwiona. Kiedy tak patrzyła na kochane maleństwo, jak wykonuje podskoki i zwroty wewnątrz jej macicy, zateęskniła za podobnym urządzeniem, które by mogło ujawnić stan ich wzajemnych uczuć z Ale-xem. Minęły dwa miesiące, odkąd ostatni raz miała od niego wiadomość. Pilnie potrzebowała ultrasonografu prześwietlającego uczucia, który by stwierdził, czy jeszcze bije serce ich miłości.

Dopiero wtedy, gdy bawiła się opakowaniem kielków pszenicznych z miodem, stanowiących surowiec na maseczkę, który ostatecznie zjadła, uznała, że czas coś przedsięwziąć. Miała to być akcja „Przestań myśleć o Aleksie”.

Mimo obaw, że ktoś mógłby wbić w nią harpun, zaczęła chodzić na miejską pływalnię. Było to bajoro pełne chlorowanej flegmy.

— Zaklinam cię — przestrzegła Gillian, zanim zanurzyły się w wodzie — przynajmniej raz w życiu nie połykaj.

— Nigdy tego nie robię, kochana, mówiłam ci przecież. Mimo że przypominała balon, Maddy nadal była najszybsza na

basenie. Gillian, wystrojona w czepek w kwietne płatki, wyemitowała najpierw kilka efektownych bąbli, po czym znikła w pianie ciągnącej się za Maddy.

Wizyta u hipnotyzera, który miał „zaszczepić w jej podświadomości pozytywny obraz urodzin”, przyniosła Maddy wyłącznie rozczarowanie. Nie tylko że nie posłużył się on zegarkiem, ale też ona sama ani przez moment nie poczuła się jak Kleopatra.

— Nie martw się, kochana — tłumaczyła jej cierpliwie Gillian. — Tu chodzi o reinkarnację.

Posiłki przypominały teraz zaawansowany kurs matematyki, Maddy postanowiła bowiem ważyć dokładki i obliczać zawarte w nich kalorie. Żeby wypełnić czymś wolny czas, zapisała się do szkoły rodzenia. Na wszelki wypadek podała Gillian jako rezerwową osobę towarzyszącą, a to w razie niewielkiego, jej zdaniem, prawdopodobieństwa, gdyby Alex się nie zgłosił. Upierała się więc, żeby ją ciągnąć na zajęcia. Ale Gillian wcale się do tego nie rwała. Jej kontakt z dzieckiem ograniczał się do przypadku z Normanem. Przebrana w strój niani, przełożyła go przez kolano i dała mu lanie. W ostatniej chwili wycofała się. Przynęta chwyciła. Maurice połknął haczyk. Przysłał jej przez swojego szofera album ślubny, który wygrywał melodyjkę *Oto nadchodzi narzeczona*, kiedy otwierało się okładkę. Teraz, mając już swojego faceta, Gillian dłużej nie musiała udawać wyszukanego smaku. Poszła na całość i zamówiła za siedemset osiemdziesiąt funtów tort weselny, którego lukrowane warstwy połączone były 'w całość schodkami, a na nich stały figurki panów w wieczorowych żakietach z lukrecji, a obok nich marcepanowe druhnny tkwiące przy fontannach tryskających szampanem.

— Musi mieć jakąś skazę — napomknęła Maddy z nadzieją w głosie. — Nie trzeba go pętać łańcuchami? Nie ma wygarbowanego zadka? Nie gustuje w lewatywach z wina?

Na twarzy Gillian pojawił się nie znany dotąd wyraz.

— On jest naprawdę całkiem miły — odpowiedziała rozmarzona.

Trzeba było użyć języka, jakim posługuje się Gillian i jaki rozumie — tak to Maddy chytrze obmyśliła — jeśli się chciało zapewnić sobie jej towarzystwo.

— Każda baba przyjdzie z kimś uwieszonym u jej ramienia. A sama mówiłaś, że nie należy wychodzić bez koniecznych akcesoriów...

Gillian była za bardzo zaabsorbowana układaniem listy prezentów, wybieraniem tapet i przemeblowaniem posiadłości Mau-rice'a, Maddy więc musiała pójść sama. Szła z głębokim przekonaniem, że zajęcia w szkole rodzenia będą tak nudne, iż przy nich odcinek *Matysiaków* wydałby się fascynujący.

RS

Szkoła bredzenia

Niezbitym dowodem na ubywanie szarych komórek podczas ciąży była liczba kobiet, które pojawiły się na kursie w sportowych podkoszulkach z napisami wieszczącymi radośnie od pachy do pachy: PRZYSZŁA MAMA, DZIECKO NA POKŁADZIE, UWAGA NA PRZELATUJĄCE BOCIANY. Maddy, patrząc na przylepione uśmiezki nowo przybyłych, które uważały za stosowne bredzić coś na temat doniosłości i piękna naturalnego porodu, zapadła głębiej w różową poduchę wypchaną morską trawą. Takie siedziska wypełniały obwód całej sali. Przed nimi stała instruktorka, Yolanda Grimes, albo Yo-Yo, jak szczebiotliwie donosił identyfikator.

— Witajcie! — zawołała z entuzjazmem godnym kobiety pracującej, wyciągając ku nim ramiona. Maddy patrzyła z niepokojem na jej uzębienie zdradzające próchnicę, loczki wymuszone trwałą ondulacją, okulary w krwistoczerwonej oprawce, przypięte do piersi hasło: „Jak śmiesz sądzić, że mogłabym schudnąć”, barylkowe nogi wbite w elastyczne białe legginsy, uwypuklające wetkniętą w kroku podpaskę higieniczną. — Witajcie, mamcie! — Obdarzyła uśmierzającym spojrzeniem każdą istotę żeńską znajdującą się w tej sali. — Witajcie też tatusiowie! Mam przyjemność zakomunikować, że obecnie dziewięćdziesiąt pięć procent ojców osobiście wita swoich potomków przychodzących na ten świat. Pozostałe pięć procent to dupy wołowe.

Yolanda oparła dłonie na udach, których pękaty kształt przypominał otwarte drzwi samochodu. W jej miednicy mogłoby się zmieścić nie tylko dziecko, ale i cała ciężarówka. Chociaż uśmiechała się bez przerwy, jej spojrzenie pozostawało twarde i zimne jak głaz, kiedy lustrowała męską część klasy, wypatrując śmiałka, który odważyłby się zaoponować. Zdaniem Yolandy obecność mężów przy porodach stanowiła prawem ustanowiony przywilej.

— I dlatego nazywam nasz kurs kursem par... — Maddy siedziała nieporuszona. Nie znosiła teorii życia Noego. Dlaczego wszystko musi występować w parach? Mażeńskie łoża, bilety do teatru, mormoni, zakonnice, gliny...

— Niemniej witam gorąco pechowe single, które do nas dołączyły. — Yolanda mrugnęła do Maddy, co sprawiło, że cała klasa zwróciła na nią oczy. Jeszcze głębiej wcisnęła się w poduchę.

Została skojarzona w parę z drugą i ostatnią samotną przyszlą mamą. Cheryl — to imię widniało wyryte na bransoletce, która podzwaniała na jej pokrytym liszajami przedramieniu. Nawet jeśli jej szorstka cera nadawała się do szorowania kuchni, ona sama jednak plasowała się wyżej od pozostałych słuchaczek... w każdym razie jej tatuaż nie zawierał błędów ortograficznych.

— No to gdzie się podział twój facio? Dał dyla, co nie? — zapytała Cheryl, zapalając papierosa, kiedy zwrócone do siebie twarzą miały ćwiczyć postawę kuczną przy porodzie.

Maddy skinęła głową.

— Zapudlony?

— Coś w tym rodzaju. Jest żonaty. — Maddy siłowała się na wesołość.

Cheryl poklepała się po brzuchu i zaciągnęła z lubością papierosem.

— Zamierzam znaleźć jęgo ojca, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu — zapewniła wszystkich zebranych.

— Obawiam się, że poddanie badaniu krwi wszystkich instruktorów windsurfingu na całej Teneryfie może się okazać niemożliwe — wtręciła Pamela z NW3, marszcząc nos i rozwiewając dym przed sobą. — Słuchaj, jeżeli zamierzasz zahamować wzrost swojego dziecka, to wszystkiego najlepszego. Aleja swemu chcę dać jak najlepszy start.

— Tak jest — zawtórował dyszkantem pan z NW3. — My nawet nie bierzemy aspiryny.

— A teraz — obwieściła głośno Yo-Yo — poćwiczmy bardziej zaawansowane techniki rodzenia.

O ile Maddy dobrze rozumiała, należało teraz zgięciem pod kolanem dotknąć lewego nozdrza, a ustami musnąć własną lechtaczkę, popijając jednocześnie ziołową herbatkę. Niektóre mniej pruderyjne panie rozebrały się do trykotów ozdobionych koralikami albo wzorem w panterkę, odsłaniając przy tym czerwone robaczki żyłaków, pełzające na całej długości ich nóg. Wszędzie lawiny mięsa. Przelewało się z nich, spływając jak melasa z łyżki.

— Skłon, wydech, skłon, wydech, skłon... — Kobiety, próbując naśladować pozycje przybierane przez Yo-Yo, zaplątywały się w figurach, z których sam Houdini nie byłby w stanie wyjść.

— Jak się ma częste bóle głowy, to znaczy, że będzie chłopak. — Tę medyczną teorię wygłosiła chudziutka osiemnastolatka o imieniu Maureen. Ponieważ Maureen, która zdążyła już wyznać, że nosi króliczą łapkę, unika drabin, zawiesza kółko nad swoim brzuchem, aby zapewnić dziecku pożądaną płęć, oraz nakłoniła swojego chłopaka, żeby zmienił miejsce pracy i przeniósł się ze sklepu do zakładów mięsnych, gdyż wierzyła, że rzeźnikom rodzi się więcej synów, Maddy ze sceptycyzmem odniosła się do jej diagnozy.

— My wybraliśmy dodatkowe szczegółowe badanie ultrasonograficzne — oświadczyła Pamela z NW3 tonem pełnym wyższości, chociaż trudno jest okazywać wyższość w pozycji na czworakach z głową przy własnych półdupkach.

— Dlaczego? — zapytała Maddy współczującym tonem. — Obawialiście się jakichś nieprawidłowości z chromosomami?

— Nie. Chciałam tylko mieć pewność co do płci dziecka, żeby zapisać je na listę oczekujących do odpowiedniej szkoły.

— Patrzcie wszyscy na Bertranda! — Yolanda masowała barki męża Pameli, podczas gdy on wykonywał coś, co odpowiadało obowiązującemu w Hampstead stylowi bycia: jako plastikowa poduszka służył swej żonie za podporę — wdech, wydech, wdech, wydech... Och, Bertrandzie — Yolanda zapluła się w nieudanej próbie zalotności —rodzisz wprost znakomicie...

Wyniosła Pamela zrezygnowana osunęła się na poduchę.

— To ćwiczenie okaże się wam bardzo pomocne przy porodzie. — Yolanda recytowała kolejne, wyuczone już na pamięć, zachęty. — Bo wszystkie przecież decydujecie się na poród naturalny, zgadza się? To daje tyle radości!

Dla Maddy nie brzmiało to szczególnie przekonująco. Yolanda Grimes wydała jej się typem kobiety, która osiąga orgazm tylko wtedy, gdy jej się nakłuje sutki rozpalonymi szpilkami. Bertrand potwierdził, że on i Pamela zdecydowali się na metodę Leboyera. Pozostali mężowie wyrazili gotowość odbycia porodu w domu. Maddy zauważyła, że ilekroć Yolanda zwróciła się do jakiejś kobiety z pytaniem, odpowiedzi udzielał mąż.

— Nie mamy zaufania do środków znieczulających — stwierdził Bertrand. A mówił to gość, pomyślała sobie Maddy, któremu z pewnością trzeba było aplikować epidural, żeby dał sobie wyciąć wrastające paznokcie u nóg. Nie miała wątpliwości, że gdyby mężczyzna musiał przez czterdzieści tygodni hodować przybysza we własnym brzuchu, ze wszystkimi towarzyszącymi temu atrakcjami, jak żylaki, wzdęcia, zgaga i amnezja, co kończyłoby się trwającą trzydzieści sześć godzin agonią, której kulminacyjnym momentem byłoby cięcie od jąder do odbytu — nawet Rambo by się poddał, stwierdzając, że to cholernie niebezpieczne.

— A ty, Madeline, co powiesz?

— Cóż, w gruncie rzeczy staram się coś wymyślić, żebym mogła nie być przy tym, kiedy dziecko będzie się rodzić. Prawdę mówiąc, zamierzam mieć pełną narkozę, cesarskie cięcie, i żeby mnie zbudzono już po wszystkim, kiedy w pobliżu czekać będzie na mnie fryzjerka.

Cała klasa odniosła się do jej wyznań z faryzejską dezaprobatą.

— Jestem po jej stronie — pisnęła Cheryl, zabierając się do następnego papierosa. — Całe życie brałam prochy, to dlaczego miałabym przestać teraz?

— Ale na szczęście jesteś kobietą! — wyrwał się Bertrand. — Możesz powołać do życia nowe istnienie, to wspaniałe przeżycie!

— Słuchaj — odezwała się Maddy. — Gdyby zależało mi na doświadczeniu bólu, to mogłabym pomyśleć sobie o ojcu mojego dziecka, jak popija markowego szampana, siedząc ze swoją żoną na pokładzie luksusowego jachtu. Rozumiesz, o czym mówię?

Wyważone spojrzenia ustąpiły miejsca grzecznym uśmiechom, a pary mocniej złapały się za ręce, kobiety zaś wdały się pośpiesznie w szczegółowe omawianie rozmiarów, jakie osiągnęły ostatnio ich hemoroidy.

Yolanda pouczyła jeszcze mężów, że mają masować krocza swoich żon wydzieliną gruczołów płciowych uzyskiwaną od nie zagrożonych wyginieciem różnych gatunków ssaków, po czym uznała, że nadszedł czas powiedzieć coś na temat poporodowego dochodzenia do siebie.

— Pierwsze dni będą jeszcze gorsze od samego porodu — oznajmiła z żarliwością godną mesjasza. — Właściwie to będziecie tylko siedziały na sedesie i płakały. — Dzięki, pomyślała Maddy, wielkie dzięki za dzielenie się ze mną tą radosną perspektywą. — Jeśli zaś chodzi o seks... — Yolanda jak kot sta-

rannie oblizwała wargi. — Nie mam dla was dobrych wiadomości. Zapomnijcie o tym. Na wiele miesięcy. Jedyne, co będziecie mogli odczuwać, to piekielny ból. W zasadzie będzie wam się chciało rzygać na samą myśl, że wasz mąż może mieć jakieś zamiary wobec was. Pamiętajcie, nie tylko dzidzius będzie nosił pieluszki.

Poblądle słuchaczki chłoneły słowa swojej jowialnej wykładowczyni.

— Przynajmniej będziemy mogli spać na brzuchu — podsunęła Maddy, by jakoś rozwiać ponury nastrój, jaki ogarnął całą salę.

— Nic z tego. Nie pozwolą wam na to wasze piersi. Będą zbyt obolałe. Przy zapaleniu sutków poród wydaje się dziecinną igraszką. Ale nie skupiamy się tylko na negatywnych aspektach. Musicie patrzeć na to z większym optymizmem... bo bez niego wszystko wyda wam się jeszcze gorsze — przepowiadała rozpromieniona. — No dalej! Rozchmurzcie się! Pamiętajcie, że do nachmurzenia się angażujecie dwadzieścia dwa mięśnie, a do uśmiechu tylko szesnaście.

Mimo promiennego uśmiešku Yolandy wszyscy mieli zważone miny.

— Moim zadaniem jest przybliżyć wam poród, żeby nie pozostawał dla was czymś tajemniczym. Urodziny... no cóż... to właściwie początek umierania, prawda? Ale jak zawsze powtarzam, nie jesteśmy skazani na życie do końca życia.

Niebaczna na wrażenie, jakie wywołała swoją przemową, Yo-landa wytaszczyła projektor filmowy.

— Są jakieś pytania? Maureen podniosła rękę.

— Czy mogłabyś powiedzieć mojemu przyszłemu, to jest Darylowi, żeby pozbył się swojego pytona? Boję się, że może zjeść mi dziecko.

— Nie zje ci dziecka, kobieto — burknął Daryl. — On nie jest jadowity.

Ale słowa wielbiciela pytonów utonęły w dźwiękach motywu przewodniego do filmu *Ty i twoja macica*. Ledwie klasa usadowiła się wygodniej na poduszkach, a już musiała się zmierzyć z krwawą męką rozpiętej jak na krzyżu kobiety ukazanej w całym bezwstydzie morderczego położu. Ścieżka dźwiękowa została zapożyczona z filmu *Piątek, trzynastego*. Pod względem ilości wytoczonej krwi mógł konkurować z wypadkami na placu Tiananmen. Kiedy

znów rozbłysło światło, Maddy ujrzała przerażone pary zwinięte w pozycjach embrionalnych, wygryzające dziury w zaślinionych woreczkach.

— Jak widzicie, poród to kwestia dychotomii umysłu i ciała. — Yolanda ze słodkim uśmiechem zaczęła upychać do plecaczka szydełkową macię, plastikowe lalki i pozostały sprzęt służący za pomoce naukowe. — Czy ktoś jeszcze ma ochotę na napar z liści malin? — zapytała tonem mającym raczej zniechęcić ewentualnych amatorów herbatki ziołowej.

Pary, dygocząc i wrzeszcząc, jedna za drugą wyległy na ulicę.

Nawet pan NW3, zwolennik sił natury, przeciwnik prochów, Bertrand, cały był zlany potem, kiedy wpatrywał się jak sroka w gnat w pusty już ekran.

— No to wpadnijcie tu w przyszłym tygodniu. — Yolanda zarzuciła plecak na ramię. — Obiecuję następne wesołe spotkanie.

Równie wesołe, pomyślała Maddy, z trudem wstając z podłogi, byłoby wpadnięcie z wizytą do Kuby Rozpruwacza.

Łyse placki króla wydłużania włosów

Słabą stroną angielskiej śmietanki towarzyskiej jest to, że się łatwo warzy. Pierwszym symptomem zapowiadającym, że coś jest nie tak, były telefoniczne poszukiwania przez Gillian linii lotniczej, która nie wpadałaby w panikę, słysząc o możliwości zabrania na pokład kobiety w zaawansowanej ciąży.

— Ja się wcale nie wybieram do domu — opierała się Maddy.

— Dlaczego, u diabła, chcesz mieszkać na tej zapomnianej przez Boga wyspie?

— Anglia mi się podoba.

— To niczego nie dowodzi. Wiem, że jesteś masochistką. Chciałam ci przypomnieć, że podoba ci się również ten pan.

— Nie zostaję ze względu na Alexa. Zostaję... z innych powodów.

— Cóż takiego może ci się podobać na tej podzielonej na klasy wysepce pełnej hipokrytów?

— Wasze poczucie humoru, to, że potraficie się śmiać z samych siebie. Maniery... to znaczy, jak nadepniesz kogoś w metrze, to on cię przeprosza. Wasza tolerancja... Patrz tylko, ilu krzykaczy wyeksportowała do was Australia w ciągu tych lat — Rolf Harris, Nigel Dempster, Jason Donovan, a już artystów od mydlanych oper to można by liczyć na pęczki... To, że wcześniej zamawiacie drinki w teatrze, by przygotowane czekały na was w antrakcie. Że chłopaki mogą rozjechać motorami całe poletko żonkili i zagłuszyć koncert Debussy'ego, i nikt nie przyczepi im etykiетки „pedały"... Tutaj masło nie roztopia się w lodówce.

— I to ci się podoba?

— Macie wspañiałych idoli. Cosmo Lush i Topaz Amore, Crispin Baldrick (Balders) McCodpiece z zespołu That lik... I dziwaczne stare obyczaje, kiedy przebieracie się i wyprawiacie różne śmieszne rzeczy. Na przykład morris*13. A propos, kim był ten Morris? Tacy jesteście, jak by to powiedzieć, z

13Morris — staroangielski taniec ludowy, tańczony przez mężczyzn ubranych w tradycyjne kostiumy, z przyczepionymi dzwoneczkami.

jajami. Na przykład transmitujecie zawody w rzutkach. To zbiorowe szaleństwo. Prawie tak samo ciekawe, jak obserwowanie wypadających włosów... A poza tym teraz nie mogę lecieć.

— A to dlaczego? — zapytała zaniepokojona Gillian.

— Wiesz, jaki mam teraz apetyt. A jestem już za gruba na to, żeby położyć przed sobą tacę z posiłkiem podawanym podczas lotu.

— Maddy, bądź poważna. Jak zamierzasz to przeżyć? Chcę powiedzieć, że nie mogę ci pomóc. Jestem, że się tak wyrażę, w odwrocie... Jedyne, co mnie teraz podtrzymuje, to biustonosz.

— A co z królem przedłużania włosów?

— Wystawił mnie.

— Dlaczego?

— Bo był zajęty...

— Czym?

Gillian milczała chwilę, zanim w końcu wyznała:

— Ożenkiem z inną panią.

W pierwszej chwili Maddy miała ochotę się roześmiać, ale spojrzała na ściągniętą twarz Gillian.

— Tak mi przykro, Gili, że okazał się *creme de la scum*, ale przecież nikt ci go nie swatał, sama go sobie wybrałaś.

— Wiesz, on mi się oświadczył — powiedziała usprawiedliwiająco tonem. — Ale nalegał na podpisanie intercyzy przedślubnej. Możesz to sobie wyobrazić? „Ślubuję ci miłość i wierność małżeńską oraz to, że do śmierci nie tknę niczego, co do ciebie należy, a co zaświadczy odpowiedni dokument opatrzony siedmioma pieczęciami”.

— Ależ, Gillian, przecież chciałaś wyjść za niego właśnie dla pieniędzy! Nie pamiętasz?

— Wiem. Ale to było takie... prozaiczne. — Stłumiła szloch. — Zostawił mnie dla młodszej kobiety. Dla swojej sekretarki, uwierzysz?

— Widocznie lubi kobiety, którym może dyktować...

— Maddy, ja mówię poważnie. Może to zabrzmie patetycznie i zbyt górnolotnie, ale na Boga, musi mieć bardzo twarde serce... w przeciwieństwie do swojej męskości — dodała z goryczą. — Podeptał moje serce i wyrzucił w błoto. Maddy, to upiorne! Sama wiesz, jak lubiłam tę cipę. A teraz on chce,

żebyśmy zostali przyjaciółmi. W głowie mi się nie mieści. Ale to nie ze mną; albo wszystko, albo nic. — Potarła oczy. — Muszę przejść odwyk. Zamierzam wyjechać na parę tygodni. Zamieszkać w Bel Air, w małym bungalowu przy hotelu. Nie ma chyba lepszego miejsca na kurację.

— Złamanego serca?

— Nie. Po zabiegu liposomii. Zamierzam załatwić sobie brzusio.

— Wiesz, co powinnaś sobie zoperować? Głowę! Bo to nie ciało ci drętwieje, ale uczucia. Odsysasz swoje uczucia, to właśnie robisz ze sobą!

Na twarzy Gillian rysowały się cienie i smutek.

— Maddy, ja się starzeję. I nie mam żadnego wykształcenia. Nic nie potrafię zrobić. Wychowano mnie na kalekę. Urodzić się w bogatej rodzinie to angielski odpowiednik krepowania stóp. Zdaję sobie sprawę z tego, jak ludzie nas nienawidzą. Spróbuj sobie tylko wyobrazić, że jesteś jedną z nas. Wierz mi, moja droga, że czasem czuję, jak mi się dupa ściska, a z ust same mi wychodzą gardłowe i nosowe głoski, aż mi się rzygać chce. Za każdym razem, kiedy spotykam jakiegoś mężczyznę, bez względu na to, jak bardzo mi się podoba, sporządzam listę jego walorów. Ile zarabia, jakim jeździ samochodem, czyje rybę odpowiednim widelcem. Jeśli chcesz wiedzieć, to nastąpił zmierzch mojej duchowości.

Maddy zagryzła wargi. Co mogła powiedzieć? Gillian Cassells była żywym dowodem na to, że można być zbyt bogatym i zbyt szczupłym.

— Och, nie bądź taka patetyczna. Musisz po prostu przestać wiązać swoje nadzieje z pewnym typem mężczyzn, i to jest najważniejsze. Wszyscy twoi mężczyźni są tacy sami. Różnią się tylko penisami!

— To moja ostatnia szansa. — Gillian przerwała jej wywody. — Jedyne moje zmartwienie teraz, to kto się tobą zajmie.

Maddy wyniośle prychnęła.

— Gillian, mówisz do osoby, która skakała na bungee. Umawiała się z Hell's Angel. Pracowała pod ziemią. O mnie nie trzeba się troszczyć. — W tym momencie dziecko zdecydowało się na swoje codzienne harce. — Pojawi się też Alex — dodała zdyszana, już mniej pewnym tonem.

— A jeśli się nie pojawi?

— Wtedy mała będzie musiała sama zarobić na siebie... Będę pochylać się nad jej łóżeczkiem i powtarzać w nieskończoność: „roznoszenie gazet”, „opieka do dziecka”, „kasjerka na nocnej zmianie”.

— Masz, weź to na razie. — Gillian wetknęła Maddy w rękę zwitek banknotów.

— Skąd to wzięłaś? — Maddy nie wierzyła własnym oczom. Gillian rozpromieniła się.

— Wymyśliłam sposób na zarobienie pieniędzy. My, Anglicy, jesteśmy tacy stłamszeni i tak łatwo w nas wzbudzić poczucie winy. Po prostu porzysyłałam listy do polityków, grożąc, że ich zdemaskuję. Każdy ma coś do ukrycia. Przynajmniej połowa z nich zapłaciła — skłamała na poczekaniu.

Później jednak, kiedy Gillian wieczorem zapakowała swoje rzeczy, które zmieściły się w bagażu nie większym od damskiej torebki, okazało się, że sprzedała resztę garderoby i zastawiła swoją cenną biżuterię.

— Będzie mi ciebie brakowało, staruszko.

— Mnie również — przyznała Maddy zaskoczona nietypowym dla Gillian okazaniem uczuć. Łzy napłynęły do oczy Gillian. — No — pocieszała ją Maddy. — Przecież nie jesteśmy typami płaczek, pamiętasz?

Kierując się do wyjścia, Gillian uśmiechała się już ze spokojem.

— Ameryka... Może przygrucham sobie jakiegoś czarnego chłopaka. Nigdy jeszcze nie miałam takiego. Czas, żeby spróbować kakao. — Zrzuciła torbę na ramię i ruszyła ku schodom. — A może wstąpię do klubu tenisowego. Takiego z przynajmniej dziesięcioma kortami czynnymi całą noc, z mnóstwem Żydów zainteresowanych zawarciem nowych znajomości. — Zatrzymała się na podeście, by poprawić usta, raz jeszcze przejrzeć się w lusterku umieszczonym wewnątrz torebki i posłać ostatniego całusa. — Zażywam pigułki optymizmu. — I zniknęła, mając przed sobą długą drogę do stacji metra.

Dopiero około północy Maddy ołśniło i zrozumiała prawdziwy powód niepokoju Gillian. Na tydzień przed Bożym Narodzeniem jej mieszkanie zostało przejęte przez towarzystwo budowlane. Zostawiła też nie spłacony dług wysokości piętnastu tysięcy funtów, na co składały się pożyczki bankowe oraz karty kredytowe do wielu domów towarowych. Wierzyciele grozili wystąpieniem na drogę sądową. Niektórzy udali się do agencji detektywistycznych. Gillian stała się osobą poszukiwaną i ukrywającą się, jak to określiła policja.

Maddy natomiast znalazła się na ulicy. Na dzień przed wyrzuceniem jej na bruk nadszedł list od Gillian.

„Wybacz mi, staruszko, pisała. Jako potencjalna pensjonariuszka zakładów resocjalizacyjnych uznałam, że lepiej będzie wyjechać z kraju. Wtedy im się nie opłaci mnie ścigać. Ściągnięcie długu byłoby bardziej kosztowne, niż wynosi sam dług. Nigdy nie warto ścigać zdecydowanego na wszystko defraudanta. A ja rzeczywiście jestem zdecydowana na wszystko, w każdym razie dopóki nie znajdę męża. Po prostu muszę zniknąć na jakiś czas. PS. Na świecie notuje się statystyczną nadwyżkę mężczyzn w wieku od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu czterech lat nad kobietami. Ciao!”

Rano Maddy miała wyznaczoną wizytę w szpitalu. Po drodze kupiła przewodnik *Gdzie się zatrzymać* wydawany przez komitet turystyki. Zawarte w nim były piktogramy informujące, które hotele zezwalały na obecność zwierząt. „Zwierzątka mile widziane. Dzieci nie przyjmujemy”, tak się zaczynała większość ogłoszeń.

Przygnębiona doszła do poradni dla kobiet. Pełno tam było kobiet z brzuchami i marudzących, piszczących dzieciaków; w powietrzu unosił się ciężki fetor potu spod pach przemieszany z zapachem chusteczek higienicznych nasączonych środkami dezynfekującymi. W oczekiwaniu, aż ją wywołają, Maddy zaczęła przeglądać gazetę, szukając dla siebie mieszkania. Zarówno agencje, jak i prywatni właściciele żądali jednak poręczeń — odcinków wypłat, referencji banków, przełożonych, byłych gospodarzy... Nic z tego nie mogła przedstawić. Zgłosiła się, dzwoniąc z automatu, do agencji w centrum Londynu pośredniczących w kojarzeniu ewentualnych przyszłych współlokatorów. Optymalny dobór zapewniały komputery. Ale wyglądało na to, że nikt nie chce bezrobotnej, wysokiej na sześć stóp Australijki w szóstym miesiącu ciąży, ze złamanym sercem. I samobójczą depresją.

Maddy nie rozumiała dlaczego.

Po czterogodzinnym wyczekiwaniu na wyniki analizy krwi (powinna była wziąć ze sobą coś lekkiego do czytania, na przykład *Historię świata w dwudziestu tomach*) Maddy była już tak wyczerpana, że zemdlała. Spodziewała się, że jej śniadaniem będzie roznoszona tu zazwyczaj herbata z wafelkiem.

— Przykro nam, złotko, ale nie ma herbaty. Wiadomo, recesja.

— Gdzie? Na Cejlonie?

— Oszczędności. Nie stać nas już na te rzeczy.

Słaba z głodu Maddy dołączyła do reszty swojej klasy bredzenia na planowane zwiedzanie szpitala. Nie opróżnione pojemniki ze śmieciami, pomazane krwią ściany, kałuże zostawione na posadzce przez poprzednią zmianę, wszystko to sprawiało, że trudno było dopatrzeć się uroku tego miejsca. Mijały ich postaci zgięte wpół, powłóczące nogami wsuniętymi w różowe pu-chate kapcie. Yolanda przeganiała przez korytarz swoją damską klasę, jak kwoka, za którą postępuje stadko dziobiących kurcząt.

Cheryl wetknęła Maddy broszurkę reklamującą opcję poddania się zabiegowi cesarskiego cięcia. „Niech twoje krocze pozostanie nie tknięte jak na miesiąc miodowy”, zachwalano.

— Właśnie ja to będę miała — pochwaliła się Cheryl.

Maddy nie była jednak zachwycona tym pomysłem, kiedy nagle zobaczyła, jak pielęgniarka wygala sobie pachy wysterylizowanymi narzędziami chirurgicznymi. Doszła do wniosku, że takie zwiedzanie szpitala powinno być obowiązkowe dla dorastającej młodzieży szkolnej. Była to najbardziej skuteczna propaganda antykoncepcji, z jaką się dotychczas spotkała.

Państwo NW3 podrzucili ją w okolice King's Cross. Maddy, nadal nie rozstając się z zabraną ze szpitala broszurą *Tak więc będziesz matką*, przypatrywała się zamieszczonym tam fotografiom ciężarnych kobiet i wpadała w coraz większe przygnębienie na widok ich kwitnącego zdrowia i promiennych uśmiechów na tle kwiatnych pól skąpanych w blasku słońca. Musiała przysiąść na walizce, bo słabo jej się zrobiło od trujących wyziewów z rur wydechowych i robót gazowniczych, co zaznaczały firmowe słupy umieszczone z obydwu stron. Posępność ulicy podkreślały dodatkowo parkometry stojące samotnie jak wykrzykniki. Nie było tu nic ciekawego. Fragment graffiti nagryzmołonego bez przekonania: „Tarzał się tu DPP”, „Obciążam facetom”. Kilka kłębków drutu kolczastego. Od czasu do czasu przemykały prostytutki z gołymi nogami zsiniałymi z zimna, podzwaniające bransoletkami jak niewolnice, gdy wychylały się co chwila z krążących fordów escortów.

Gdy tak tam siedziała, doszła do wniosku, że beztroskie i odpowiedzialne macierzyństwo to nic innego jak tylko złośliwe plotki. Otuliła się ciaśniej płaszczem. Było tak zimno, że zdawało się, iż przechodnie wydmuchują dym

z niewidocznych papierosów. Maddy wypuściła w powietrze parę kółek. Podczas gdy maleństwo atakowało nóżkami jej organy wewnętrzne, usiłując zmienić ich położenie, Maddy starała się nie popaść w rozpacz. W końcu Józef i Maryja byli kiedyś w identycznej sytuacji. Może z wyjątkiem faktu, że mogli korzystać ze żłobka. W każdym razie nadeszła pora, by pojawił się Alex z osiołkiem.

*

Dziwne, że ktoś tak znany jak Alexander Drake wymknął się poza zasięg radarów rejestrujących życie. Zostawiwszy walizkę w przechowalni bagażu, Maddy przełknęła dumę (a była to jedyna rzecz, jaką w ogóle przełknęła tego dnia) i wyruszyła na jego poszukiwania. W telewizji powiedziano jej, że przebywa obecnie na urlopie okolicznościowym. Maddy próbowała mu współczuć. Chłopak przeżywał kryzys wieku przejściowego. Już miał słabsze hamowanie. Stale mu zakładano blokadę na koła. Jego akcje spadały. Potrzebował opieki, pocieszenia... A może zderzenia z karawaną, zakończoną ucieczką.

Maddy wsiadła do autobusu w kierunku Islington. Ich dawne mieszkanie zostało już wynajęte pewnemu specjalście od stresów, który oferował weekendowe warsztaty przywracania równowagi po siedemdziesiąt pięć funtów za posiedzenie. Podreptała więc do jego ulubionego wodopoju, Groucho Club w Soho. Tu właśnie nieskończenie modni zbierali się, by zrecenzować nawzajem swoje książki i pisać na ten temat dyrdymały. Istne kazirodztwo. Historia Tasmunii w wersji medialnej.

Lawirując wśród komandosów, którzy wylądowali tu na błyskawiczny lunch, wspięła się na chybotliwe i strome schodki wiodące do sali restauracyjnej. Zdolna do chodzenia tylko małymi kroczkami, kołysząc się na boki, poczuła się jak nakręcana zabawka. Kiedy ciężko dysząc, wtoczyła się wreszcie do sali, oczy wszystkich zwróciły się w jej stronę.

- Przepraszam, szukam właśnie...
- Toż to Madge, nieprawdaż? — odezwał się Humphrey.
- Madeline.

— No właśnie. Nie poznałem ciebie. Obcięłaś włosy, przy czym słowo „obcięłaś” to w tej sytuacji eufemizm. — Odsunął pudding zrobiony na bazie bułki z masłem. Lubił przedszkolne jedzenie. Dawnego ucznia państwowej szkoły można poznać po jego upodobaniu do deserów we fluorescencyjnych kolorach, jakby rodem z Andy'ego Warhola, w formach pop-artowskich, obficie polanych kremem budyniowym.

Przy tym samym stole siedziała Sonia; ona z kolei odsuwała na bok coraz to nowe fragmenty potrawy, aż brzegi talerza ozdobiła pełnym wiankiem. Potoczyła wzrokiem po okrągłej figurze Maddy, spowitej w obszerną jak namiot wełnianą szatę w kolorze burgunda, co upodabniało ją do damskiej odmiany yeti — włochatej, opalonej i odrażającej.

— Ojej, nie wyglądasz dobrze. Chciałabym przytyć tak łatwo jak ty. Ja nie przybieram ani funta. Ty natomiast wyglądasz, jakbyś spodziewała się dziecka!

— Bo też się spodziewam — odpowiedziała niewzruszenie Maddy. — Dziecka Alexa.

Jak na komendę wszyscy zgromadzeni zaczęli mówić jednocześnie z udanym ożywieniem.

Humphrey zlustrował ją swymi kaprawymi oczkami.

— Nie mogłaś wymyślić czegoś bardziej oryginalnego, żeby dostać się na listę uprawnionych bywalców?

Tylko spokojnie, napominała siebie Maddy. Ten facet zmierza na drugi brzeg Styksu... On też spotykał na swej drodze różnych ludzi.

— Słuchajcie — wyjaśniła, przenosząc ciężar ciała z jednej obolałej nogi na drugą. — Nie przyszedłam tu po to, żeby odgrywać przed wami rolę ciężarnej cizi, tylko...

Gwiazdor Pop Wyrobiony Społecznie wydał nieartykułowany okrzyk i wsparł się łokciem o poręcz krzesła Imogen.

— Cizia? Nigdy bym cię tak nie nazwał. Jesteś cholernie brzydka, więc nie możesz być cizią — poinformował zebranych i cały Londyn.

Maddy poczuła, jak zalewają ją wściekłości. Jasne, że nie mogła mu się podobać w obecnym stanie. On lubił kobiety chude jak zapalki, zagłodzone. Anglicy byli bardziej okrutni, niżby się mogło na pierwszy rzut oka wydawać.

Powinni nosić banderole z oficjalną przestrożą: „Uwaga, minister zdrowia ostrzega — niebezpieczni dla życia”.

Ściany jadalni wyłożone były lustrami. Megalomański gwiazdor mógł zatem obejrzeć siebie w locie w całej okazałości i rozciągłości. Maddy złapała go za kołnierz i uniosła w górę, tak że jego nogi zadyndały w powietrzu jak wahadła. Jak w niemym komediowym filmie zaczął się bezgłośnie zapluwać, rozkładając ręce jak semafony.

— Powiedz Alexowi, że go szukam. Zostawię na portierni swój numer, jak już go będę miała.

Potem słychać było tylko przytłumione plaśnięcie, kiedy Gwiazdor Pop Wyrobiony Społecznie wylądował z powrotem na krześle z gracją zrzutu samolotowego.

Elastyczny pas podtrzymujący brzuch Maddy zsunął się, wychodziła więc drobnymi kroczkami jak gejsza. Kołysząc się na schodach, przysięgła sobie napisać do „Watchdog” skargę na wadliwe zaprojektowanie kobiety w ciąży. Wysłałaby natychmiast kontrolerów jakości do Boga. Wstąpiła do pubu, by napić się whisky, na którą uczciwie zapracowała. Nad kontuarem widniał napis: „Panie są proszone o nieprzyrowadzanie do baru dzieci”. W nastroju, w jakim się znajdowała, nie mogła niczego obiecać.

Winda zwożąca pasażerów na stację Covent Garden po kilku ostrzegawczych konwulsjach chwiejnym ślizgiem zagłębiała się we wnętrzości ziemi. Przez całą drogę w wilgotnym szybie i potem idąc zimnym tunelem wyłożonym kafelkami podobnymi do tych, którymi wykłada się ściany w ubikacjach, Maddy czytała ogłoszenia wypisane drobnym drukiem zachwalające towary, na które nie mogła sobie pozwolić. W metrze stała ucepiona skórzanego uchwytu i wypinała brzuch w płonnej nadziei, że może ktoś ustąpi jej miejsca. Nikt się jednak nie ruszył. Jedna z nie rozwikłanych zagadek życia zawierała się w pytaniu, dlaczego ludzie prątkujący, zakatarzeni, cierpiący na nieuleczalne choroby skórne, dewianci i typy aspołeczne jeżdżą metrem, podczas gdy mili i zdrowi ludzie wolą zostawać w domu. Maddy postanowiła zrezygnować z tego środka lokomocji. Jak na masochistkę, zanadto je lubiła. Zdesperowana zaczęła nawet zagadywać pasażerów, czy nie słyszeli o jakimś lokum do wynajęcia, ale było to wyłamanie się z obowiązującej w metrze

konwencji. W londyńskim metrze jedynym dopuszczalnym środkiem komunikowania się jest milczenie.

Na stacji King's Cross kobiety objuczone zakupami pięły się ciężko schodami w górę w swych plastikowych, za ciasnych pantoflach. Skinheadzi smarkali na chodnik, pijackowie sikali pod ścianami zabytkowych budynków, dziewczyny na kiwnięcie palcem obsługiwały klientów za pojemnikami na surowce wtórne.

Sprzedawcy kapiszonów, skórzane kurtki, krwiste tatuaże przewijały się wśród zbitych w gromadki współpasażerów, którzy ujawniali się w godzinach szczytu jak robaki w słoiku z dżemem, spiesząc do domu, do miejsca, gdzie przynależeli. Maddy nie mogła pozbyć się wrażenia, że tu, w Londynie, gdzieś niedaleko, może tuż za rogiem, ukryte za wiktoriańskimi wąskimi okiennicami, kwitło tajemnicze, fascynujące i bogate życie. Niestety, nie знаła dokładnego adresu.

Robiło się późno. Zadzwoiła do szpitala po wyniki analiz. Zakomunikowali jej z przykrością, że gdzieś je zgubili, i poprosili o ich powtórzenie. Czy mogła ufać tym ludziom i powierzyć im swoją macicę? W końcu miała ją tylko jedną.

Maddy wydostała walizkę z kolejowego schowka i powlokła ją do damskiej toalety. Tam nabazgrała list, ale zaraz go wyrzuciła. Później będzie mogła opowiadać, że brak odpowiedniego papieru listowego uratował jej życie. Napisanie listu pożegnalnego na torebce do zużytych podpasek było nawet według niej niestosowne. A poza tym, jak zamierzała tego dokonać? Żaden lekarz nie przepisze ciężarnej kobiecie prochów. Nie miała też dostępu do piecyka, który choćby w przybliżeniu mogła nazwać swoim. Może po prostu wystarczy wrócić do metra i tam poddychać głęboko? To na pewno okazałoby się skuteczne.

Usiadła ciężko na walizce pod automatem z prezerwatywami i ukryła twarz w dłoniach.

Gdyby dziś była rybą, pomyślała, tobym ją po prostu wyrzygała.

Jak bez wioseł płynąć pod prąd

„Pokój” to dla Anglików pojęcie bardzo pojemne. Wynajęty przez Maddy na Euston Road nad garkuchnią z beefburgerami okazał się pomieszczeniem niewiele większym od kredensu. Mogła tam, nie ruszając się z łóżka, palcem u nogi włączać telewizor. Wystrój pokoju był rodem z filmów porno. Wynając ten lokal mogły tylko dwie kategorie ludzi: mężczyźni korzystający z pokoju na godziny oraz ci, którzy się ukrywali. Cały dom był przesiąknięty zapachem starego grzyba. Wspólną dla wszystkich wannę na końcu korytarza znaczyły lepkie kręgi. Gospodarz uprzedził Maddy, że prysznic tylko trochę paruje, podczas gdy okazało się, że było to parowanie na miarę dżungli brazylijskiej po tropikalnym deszczu. Maddy z trudem wyswobodziła się z plandeki, którą nazywała sukienką uwolniła zwieszające się ciężko piersi z elastycznego rusztowania, będącego szczytem osiągnięć inżynierii gorseciarskiej, na końcu oswobodziła z leczniczych rajstop nogi poznaczone żyłami. Wtedy spostrzegła swoje nabrzmiałe odbicie. Żałuj, Demi Moore, powiedziała do siebie.

Zwaliała się na łóżko i zabrała do zlizywania, aureolek dżemu truskawkowego ze wszystkich herbatników w całym opakowaniu. Z horoskopu zamieszczonego w „Evening Standard” dowiedziała się, że powinna zdwoić wysiłki i przygotować się na poważne rozczarowanie. Zaczęła więc szybciej lizać. W czarno-białym telewizorze młodzi ojcowie w eleganckich samochodach krążyli wokół jednej przecznicy. Przekomarzając się ze swoimi piegowatymi synusiami, dandysowaci tatusiowie w modnych dżinsach wypowiadali się o walo-rach długoterminowych polis ubezpieczeniowych dla przezornych. Po reklamach pojawił się program o biednych dzieciach żyjących w Zjednoczonym Królestwie. „W Wielkiej Brytanii co czwarte dziecko żyje w biedzie... przewidywana długość życia współczesnych dzieci w Zjednoczonym Królestwie jest mniejsza niż w innych krajach Wspólnoty Europejskiej... wyższy odsetek młodocianych przestępców...”

Maddy zmieniła program, dostrzegając przy okazji, że pazur pilnie domagał się cążek. Sięgnęła po leżący przy łóżku sto-sik książek dla przyszłych mam. Wszystkie książki udzielały jej mnóstwa rad, od zabiegów toaletowych

po ząbkowanie. Mimo pracowitych poszukiwań nie znalazła nic na temat takiego zjawiska, jak to, że facet cię dopada, robi z tobą co trzeba w trybie pospiesznym, przyprawia cię o brzuch, po czym zadowolony wraca posłusznie do żonki. Maddy cisnęła broszurą o ścianę. Nie było sensu czytać poradników dla ciężarnych. Powinna raczej czytać Simone de Beauvoir, żeby przede wszystkim dowiedzieć się, jak to się w ogóle mogło stać, że wplątała się w taką kabałę. Nadeszła pora spojrzeć prawdzie w oczy. Alex nie wróci. Wrzucił ją do śmietnika swej pamięci jak zwiędłą sałatę, jak podgniły kalafior. Znalazła się na liście spraw odkładanych zawsze na później.

Od czasu do czasu pokój dygotał, gdy pod domem przejeżdżał z hukiem pociąg. Z pobliskiej alejki dochodziły ją odgłosy jakby duszonych dziewcząt, choć miała nadzieję, że to raczej koty tak gardłowały. Nawet nie mogła sobie pozwolić na płacz — ściany były zbyt cienkie.

Wysunęła nogę na lewo i zaznaczającym się haluksem wcisnęła kontakt. Leżała w ciemności, czekając na sen. Tymczasem potrafiła tylko wyliczać w myśli wszystkie najgorsze przypadki, jakie mogą się trafić maleństwu — porażenie mózgowe, atrofia mięśni, gruźlica kości, rozszczepienie kręgosłupa, hemofilia... Przypomniała sobie o ćwiczeniach odprężających przerabianych na kursie. W uszach dźwięczał jej głos Yolandy: „Przywołajcie spokój wewnętrzny”. Potrafiła najwyżej wywołać niepokój, paranoję i strach przed śmiercią.

Yolanda mówiła im też, że krowy dają więcej mleka, a maciory łatwiej się proszą, kiedy się do nich łagodnie przemawia, poklepuje i w ogóle traktuje przyjaźnie.

— Dobranoc, Maddy, kochanie — powiedziała na głos. — Śpij spokojnie. — I uściśnęła się na dobranoc. Puściła sobie w wyobraźni film z gotowymi marzeniami, ale zaraz zastygła z uniesioną w górę ręką. Czuła, że ktoś ją śledzi. Ktoś ją szpieguje. Przypomniało jej się powiedzenie: „Tylko nie przy dzieciach”. Czy odnosiło się to również do embrionów? Zdenerwowana znowu włączyła światło. Poważne marzenia kobiety przy nadziei na dobre się w niej usadowiły. Nie jakiś tam apetyt na wyszukane kanapki czy czekoladową zupę... ale obraz domu z nowiutkim dywanem, samochód, mąż... Ktoś, z kim siedzi się razem w ostatnim rzędzie szkolnej auli i ogląda jasełka... Zajmij się czymś, przykazała sobie w myślach. Nie możesz usiąść i płakać. Obetnij pa-

znokcie u nóg. Ale to właśnie ćwiczenie okazało się niewykonalne. W dwudziestym czwartym tygodniu ciąży nie była w stanie sięgnąć do swych stóp. A tu ani Gillian, ani Alexa, ani żadnej przyjaznej duszy. Kto więc, zapytywała tapetę z po-sypką, mógłby jej obciąć paznokcie? Układała właśnie w porządku alfabetycznym wykaz chorób wrodzonych i dziedzicznych, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Serce podskoczyło jej do gardła. Nie miało zresztą długiej drogi do przebycia. W okolicach migdałków czuła serce, wypchnięte tam przez dziecko. Maddy rzuciła się do drzwi, by otworzyć je na oścież, już gotowa mu przebaczyć, natychmiast wydać się za niego, kochać się bez opamiętania i być jego uległą nałożnicą.

Człowiek w progu zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, wzdłuż i wszerz, co musiało trochę potrwać. Miał obwisłą twarz rzezimieszka, ubranie przesiąknięte zastarzałym dymem papierosowym, tłusty brzuch o konsystencji rzadkiego puddingu, wyzierający z nie dopinającej się koszuli, której przód, cały w plamach, zdradzał całodzienny jadłospis jej nosiciela. Wyciągnął do Maddy szorstką, kościstą dłoń.

— Nic mi nie mówili, że taka z ciebie laska.

— Nieważne, o co chodzi, moja odpowiedź brzmi: „nie”!

Mężczyzna wetknął but w drzwi i wzruszył ramionami, strącając z tandetnej marynarki płatki łupieżu.

— Czyżby? Większość znanych mi pań skakałaby z radości na propozycję pięciu tysięcy kawałków.

— Kim pan jest, do cholery?

— Osobą, która interesuje się twoim losem. I to bardzo interesuje. Tak samo, jak moi czytelnicy, kiedy opowiesz im o swojej nieszczęśliwej miłości. Jestem Mick Mullins. — Mówił z gardłowym australijskim akcentem, który przypominał jej zgrzytanie źle przełożonych biegów. Otworzył portfel i niby niechcący zademonstrował najpierw gruby plik banknotów, zanim wygrzebał swoją wizytówkę. — „News of the World”. — Maddy raz tylko miała do czynienia z tą gazetą— wtedy, gdy u pana Tongue'a wyścielała nią kocią kuwetę. — Kumpel kumpla przypadkiem posłyszał coś niecoś w Groucho Club. Powiedział, że groszem nie śmierdzisz i że może zechcesz sprzedać swoją historijkę.

— Co?! Ja żartowałam!

— Ten lokal nie wydaje się specjalnie zabawny. Ani to. — Wskazał brudnym paluchem na wydęty podkoszulek Maddy. Skrzyżowała ręce obronnym gestem, jakby się przed nim zasłaniając. — Ładne mi Boże Narodzenie. A on gdzie się podziewa? Idę o zakład, że się szlaja w jakimś bajeranckim kurorcie. Dałaś temu bubkowi to, co miałaś najlepszego. Straciłaś przyjaciół, pracę, opinię... A co on ci dał w zamian? Gucio. Bachora ci zmajstrował. I odpłynął w siną dal, a ciebie, sestro, wystawił do wiatru. To raczej nie jest w porządku. Chcesz pozwolić, żeby temu pieprzonemu Angolowi uszło to na sucho?

Na ogół, żeby zostać dziennikarzem, trzeba wykazać się inteligencją, zdolnościami, zaangażowaniem... Ale żeby zostać dziennikarzem w „News of the World”, pomyślała Maddy, wystarczyło mieć pióro.

— Zawołam gospodarza — ostrzegła go.

— A twoi kumple są gotowi opowiedzieć tę historię. Przestała wypychać go za drzwi.

— Kto taki?

— Właśnie zaczynają się ujawniać. I nieźle na tym zarobią...

— Ty będziesz pasowała, a inni przez ten czas zgarną, powiedzmy, dziesięć paczek.

— Dziesięć paczek?!

— Ustalmy od razu warunki. Robię to tylko dla ciebie. Bo my, Australijczycy, powinniśmy trzymać się w kupie, mam rację? Będziesz sławna. Twoja facjata znajdzie się na okładce. Już ci daję umowę — wyrzucił z siebie słowa głosem tak ostrym, że można by nim ogolić sobie łydki. — Wyobraź sobie: wyskakujesz na święta na Florydę. Jesteś na Keys. To krótki lot. Teraz tam jest dziesięć stopni w cieniu. Nie bój nic. Wszystko za ciebie załatwimy. Jak chcesz, to możesz lecieć concorde'em. Tylko musisz tu szrajbnąć. Oczywiście, wszystko opowiemy twoimi słowami. Bezwzględnie. Łóżkowe sceny w więk-szości ominiemy.

Maddy zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

— Piętnaście paczek. To moje ostatnie słowo. Będziemy w kontakcie. — Przekreśliła klucz w zamku. — Rusz mózgowicą, dziewczyno. Bo nie wydaje mi się, żebyś mogła liczyć na ubezpieczenie. Jako nielegalna emigrantka...

Maddy rzuciła się na łóżko i naciągnęła kołdrę na głowę, żeby nic więcej nie słyszeć. Czyżby miał ją wydać władzom emigracyjnym? O Boże, przecież on ją chce szantażem zmusić do wyznań. Jezu, piętnaście tysięcy funtów. Co można dostać za taką sumę! Sprawiałyby sobie parę luksusowych rzeczy — na przykład jedzenie, ubranie, komorne.

Po kilku minutach rozległo się ponowne pukanie do drzwi.

— Spierdalaj! — Pukanie stało się bardziej natarczywe, rozchodząc się i dudniąc w jej skroniach. Zatkąła uszy poduszką. Uparte stukanie do drzwi wywołało w niej wściekłość. Trzymając w ręku sfatygowany but do jazdy konnej, otworzyła gwałtownie drzwi. — Powiedziałam: SPIERDALAJ!... Och... — Maddy stanęła jak wryta. W progu, lepkiem od brudu, stała Harriet.

— Właśnie słyszałam — rzekła wymawiając ze świstem spółgłoski. — Jak się masz?

— Świetnie, jeśli nie liczyć trwającego od trzech miesięcy załamania nerwowego. — Maddy odłożyła swoją skórzaną broń.

— „Ach, szaleństwo zawiedzionej miłości” — zacytowała Harriet, odsuwając Maddy w stronę łóżka i rozglądając się wokół z nie skrywanym obrzydzeniem. — Mówiłam ci, Anglicy zamiast serca mają w piersi dziurę.

Maddy wewnątrz się skurczyła. Harriet przyszła nasycić wzrok jej nędzą.

— Właśnie chciałam zobaczyć — ciągnęła Harriet, ścierając kurz z komody, zanim położyła tam torebkę—jak ci się powodzi.

— Komu? Mnie? Znakomicie. Właśnie jestem wolna i mogę przebierać wśród możliwych i sławnych wybrańców losu całego Londynu... Tylko że nie znają mojego numeru... — dokończyła, siląc się na żart.

— Ach, co tam mężowie. — Harriet machnęła lekceważąco ręką. — Kobieta może wyjść za mąż w każdej chwili. Ale dziecko to co innego... — Gdy to mówiła, rysy jej złagodniały, głos zabrzmiał czule. — To jest dopiero cenne. — Klapnęła na łóżko i złożyła ręce, podkreślając w ten sposób niepodważalność swoich sądów. — Mężczyźni są teraz bardziej beznadziejni niż kiedyś. Nie potrafią nawet zrobić tego, do czego są rzekomo powołani, mianowicie do wyprodukowania następnego pokolenia. — Przerwała na chwilę, by wyciągnąć z rękawa swetra kawałek sprężyny pochodzącej z rozpadającego się materaca. — W ciągu ostatnich trzydziestu lat liczba plemników w porcji

spermy przeciętnej mężczyzny żyjącego na Zachodzie zmniejszyła się o połowę...

Maddy spłotła dłonie na swym wielkim brzuchu.

— A co to ma za znaczenie, jeśli nagroda jest zapłodnione jajo?

— Nie wiem, czy Alexander wspominał ci, że kiedy miałam dwadzieścia pięć lat, przeszłam zabieg podwiązania jajowodów.

— O Jezu, a to dlaczego?

— Nikt nie domaga się od kobiety, która spodziewa się dziecka, żeby sporządziła listę rzeczowych argumentów przemawiających za tym, że chce je mieć — wybuchła Harriet. — Dlaczego więc ja miałabym wyliczać argumenty za tym, że nie chcę mieć dziecka? Czy raczej, że nie chciałam — poprawiła się w ostatnim słowie, odgarniając włosy z twarzy i zwracając się do plastikowej Madonny z Dzieciątkiem widocznej na przeciwległej ścianie. — To była sprawa natury politycznej, społecznej. Nie obchodziło mnie, w jaki sposób społeczeństwo traktuje matki. Ani też nie podzielałam utrwalonego poglądu, że kobieta może się realizować tylko przez macierzyństwo. — Ze złością szurała po linoleum. — Weźmy choćby język. Jaki termin równoważy słowo „matka”? „Stara panna”, „samotna”, „karierowiczka”. Same pejoratywne określenia. — Zerwała się na równe nogi, osiągając kulminację goryczy. — A dlaczego? Bo kobieta bezdzietna stanowi zagrożenie dla ustalonego porządku, taka jest przyczyna.

— Harriet nabrała powietrza do płuc i nieco się uspokoiła. — Powiedzmy, że nie pociągały mnie koszty fizyczne, a także finansowe uzależnienie. — Doprowadziła swój wywód do związanej konkluzji.

— Chcesz powiedzieć, że to nieodwracalne czy jak?

— Równie nieodwracalne jak fakt, że się ma dziecko. Muszę też przyznać — błękitne oczy trójwymiarowej Madonny przez cały czas podążały za Harriet, kiedy miotła się tak po pokoiku

— że wpatrywanie się z zachwytem w pomarszczoną miniaturkę siebie samej wydawało mi się odrażające. Tyle rzeczy chciałam zrobić. Pisać, podróżować, walczyć o prawa....

— A teraz?

— Madeline, wiem, że nie znasz mnie dobrze, zdaję też sobie sprawę z tego, że nie zawsze byliśmy ze sobą szczerze... Teraz jednak potrzebujesz pomo-

cy. — Harriet jak słoń w składzie porcelany parła naprzód, depcząc i tłukąc wszystko po drodze.

— Zamieszkasz ze mną.

— Dzięki, Harriet, ale naprawdę samej mieszka mi się bajerancko.

— Mam duży dom na wsi. Przytulny, wygodny... — Obrzuciła spojrzeniem pełnym odrazy obgryzione przez szczury, dziadowskie wyposażenie pokoju. — Przynajmniej tyle mogę zrobić dla siostry. — Ściągnęła leżącą na szafie walizkę Maddy i rzuciła ją na łóżko. Walizka otwarła szeroko swoją głodną paszczę.

Maddy zawahała się. Wprawdzie Harriet wyzwalala w niej reakcję uczule-niową, ale... zbliżało się Boże Narodzenie, a ona była bez grosza przy duszy, nie miała nawet swojego nocnika. Stała się wygnańcem, kocującym w jednej z wielu noclegowni, w jakich gnieździli się bezrobotni, przybyli z północy kraju w poszukiwaniu pracy, która nie istniała. Maddy była osłabiona, niedo-żywiona, „News of the World” deptał jej po piętach, no i natychmiast powinna mieć zrobiony pedicure. Sama w Londynie. Wyglądało na to, że grała z ży-ciem w Monopol, i właśnie teraz dostała Mayfair i Park Lane. Zabrała się do pakowania.

Dom dębowy

Noc spędzili w mieszkaniu Harriet w Notting Hill Gate, a rano wsiadły do pociągu jadącego do Oksfordu. Zabudowania Londynu ustąpiły cmentarzyskom samochodów, parkingom dla przyczep kempingowych oraz nieużytkom. Podczas podróży Harriet posunęła się nawet do tego, że poklepała Maddy po kolanie, jakby dodając jej otuchy. Teraz, kiedy Maddy była pokonana, przegrana i opuszczona przez wszystkich, Harriet mogła jej okazać sympatię. Przegrani zasługiwali na społeczną akceptację. Należało pamiętać, że Dunkierka zajmowała poczesne miejsce w historii Anglii.

Całkiem nieoczekiwanie znalazły się na wsi. Tak jakby Walt Disney zaprojektował baśniową okolicę, którą nazwałby Quaint, sennie miasteczko z miniaturowym rynkiem, zabudowane domkami z klocków, które przypominały dworki w stylu Tudorów. Senny krajobraz przeżywał właśnie swój doroczny striptiz. Tak jak sławił hymn, Anglia to były zielone, malownicze pola, ale również fabryki, elektrownie atomowe, autostrady, linie wysokiego napięcia z gargantuicznymi słupami, których stalowe nogi rozkraczały się wszędzie, od morza do morza. Każda piędź brytyjskiej ziemi nasiąknięta była nawozami sztucznymi, które następnie spływały do rzek. Tutejszy prawdziwy Loch Ness przejawiał się w siedlisku martwych ryb.

Posesja Harriet, w stylu dworku Tudorów, „dom dębowy”, jak powiedziałyby Gillian, położony był w wypłukanej przez deszcze kotlinie w Chilterns. W domu roilo się już od innych rozbitków, objętych czasową opieką. Wśród nich znajdowała się aktorka z filmów hard-porno, obecnie pracująca nad swoją auto biografią. Następnie córeczka posła torysów, która właśnie wyszła z więzienia za narkotyki. Kilkoro chrześniaków, zbiegłych z domu, gdyż rodzice nie godzili się na uprawianie przez nich seksu w domu. Kilkoro tych, którym udało się umknąć przed lubieżnymi zakusami przyjaciół domu. Dwie rzeczniczki lesbijek, walczących o wymazanie z kart historii gloryfikacji mężczyzn. I Maddy, przypadek banalny — w ciąży i bez grosza.

— Umieścimy cię w pokoju fioletowym — zarządziła radośnie Harriet. Co to miało oznaczać, Maddy mogła się przekonać już w ciągu pierwszej nocy,

kiedy zsiniała z zimna i niemal zamarzła na śmierć, tak tam było zimno. W nocy usłyszała jakieś gulgoty, co wzbudziło w niej płonną, niestety, nadzieję, że kaloryfery zdecydowały się zadziałać, ale zaraz okazało się, że to lesbijkom w pokoju obok zebrało się na miłość.

Nie tylko przejmujące zimno sprawiało, że kwatowanie u Harriet było ciężkim doświadczeniem. Musiała też znosić nie kończące się pouczenia i wykłady na temat właściwej diety i odpowiednich nawyków żywieniowych. Harriet okazała się komendantem policji nadzorującej ciężarne. Maddy nie wolno było jeść serów pleśniowych, pić kawy, nawet wznieść świątecznego toastu, ani też usiąść na trawie, gdyż ziemia mogła być zainfekowana zarazkami znajdującymi się w psich gówniakach, które powodują toksoplazmozę. Harriet oczywiście nie miała psów.

Najgorszy był nakaz absolutnej abstynencji. Przez to przyjęcia stały się nie do zniesienia. Pozostawanie trzeźwą, podczas gdy wszyscy inni byli nieźle ubzdryngoleni, dało się porównać tylko do oglądania filmu w nie znanym sobie języku. W zwolnionym tempie. Bez podpisów. Tak jakby przysłuchiwać się kawałom pozbawionym puenty.

Na sylwestra Harriet zabrała ją na śmiertelnie nudne przyjęcie do jakiegoś drętowego wykładowcy z Oksfordu. Istna tortura. Było tam pełno nadętych profesorów i ich skwaszonych żon w kaloszach i wieczorowych strojach. Panowie upili się jak lordowie, na których pozowali w nadziei, że im się to kiedyś przyda. Ich panie natomiast uznały za stosowne uraczyć Maddy krwawymi szczegółami własnych porodów. Po dwóch zdaniach rozmowa nie uchronie zaczynała krążyć wokół ich bliskiej agonii, szycia oraz zakłęć, że rozstaną się z seksem do końca życia. Męki te jednak to, jak się okazało, pestka w porównaniu z szokiem, jakiego Maddy doznała na widok Alexa i jego żony Felicity. Maddy zagryzła wargi, zmusiła się do uśmiechu. Postanowiła, że nie będzie krzyczała. Tylko rozbawiona gospodyni nie mogła zrozumieć, dlaczego Maddy złapała nagle nóż do sera i zadągała na śmierć kawał roqueforta.

Podszedł kelner i zaproponował jej szampana. Maddy złapała kieliszek i natychmiast wychyliła jego zawartość.

— Dolać pani jeszcze?

— Nie — odpowiedziała za nią Harriet, która wyrosła jak spod ziemi i zabrała jej kieliszek. Tuż za Harriet pojawiła się Felicity, ciągnąc za sobą Alexa ze zmalretowanym obliczem.

Maddy w rozpaczy sięgnęła po następny kieliszek. Harriet chwyciła ją za przegub.

— Madeline, czy ty naprawdę chcesz, żeby twoje dziecko było upośledzone umysłowo?

— Co mnie tak pilnujesz jak żandarm? A poza tym dziecko i tak jest już opóźnione — burknęła, patrząc wprost na Alexa. — Przez domieszkę niewłaściwych genów.

— Domieszkę genów. — Alex roześmiał się nerwowo. — Mówisz o nim, jakby to było warzone właśnie danie.

— To ma być ona, jeśli chodzi o ścisłość.

Alex objawił nagle zapał do twórczego złożenia serwetki w jakąś skomplikowaną formę origami.

— Witaj. — Żona Alexa przerwała to niezręczne milczenie i wyciągnęła do Maddy rękę. — Felicity Drake. — Miała szczupłą sylwetkę, aureolę złotych włosów upiętych w turban i idealną cerę. Ubrana była w chanelowski kostiumik — prosty, ale elegancki, przez duże E.

W swojej obfitej brązowej sukni ciężowej Maddy poczuła się jak uwięziona w skórze zasuszonej cykadę. Podała jej dłoń uwolnioną na tę okazję z żelaznego uchwytu Harriet.

— Madeline. — Zauważyła, że uścisk Felicity był mocny i przyjazny. — Madeline Wolfe.

— A to mój mąż...

— Już miałam przyjemność... — Obserwowała jego twarz dokładnie, jak na badaniu u okulisty. On natomiast nie mógł jej spojrzeć w oczy.

— Co tam rośnie w tej dzieży? — Żona Alexa poklepała ją po wydatnym brzuchu. — Zawsze lubiłam, kiedy mnie klepano po brzuchu, jak byłam w ciąży. Uważałam, że to przynosi szczęście. Przyłóż rękę, Alex, zobacz, jakie to przyjemne! — Alex i Maddy jednocześnie odskoczyli od siebie. — Och, możesz się jego nie obawiać. Jest nieszkodliwy. Monogamia może nie jest nieuleczalna, ale tylko wtedy, gdy się ją wcześniej rozpozna. Dla nas jest już na to za późno, prawda, kochanie? — Alex, który zdążył zniszczyć jedną ser-

wetkę, sam teraz zdawał się składać w jakąś skomplikowaną japońską układankę. — Właśnie namówiłam go, żeby pojechał na seminarium do Paryża podczas weekendu. A wiecie, jakie są Francuzki, jeśli chodzi o seks, mają prawdziwą obsesję na tym punkcie. Bez przerwy o tym mówią.

— Czyżby? — zapytała zwięźle Maddy.

— Ale na mówieniu się kończy — zapewnił skwapliwie Alex. — Francuzki mówią o seksie i dlatego nie muszą już mówić o pieniądzach.

— To lepiej niż Amerykanki — oświadczyła Harriet, wypijając szampana, na którego Maddy miała ochotę, po czym napełniła kieliszek wodą mineralną i wtedy go jej zwróciła. — One mówią bez przerwy o pieniądzach, ponieważ nie chcą rozmawiać o seksie.

— A my, Angielki?

— Angielki — odpowiedziała Maddy, wbijając wzrok w Alexa, który wił się pod jej spojrzeniem i kurczył — nic nie mówią.

— Naprawdę? — Felicity pogrzebała chwilę w torebce, skąd wyciągnęła ołówek do brwi i zawiesiła go nad czystą serwetką. — Czuję, że będę miała gotowy felieton na ten temat. Mów dalej.

— Widzę, że cały czas krążysz wokół fosy, w której jest pełno krwiożerczych krokodyli, a nie ma tu mostów zwodzonych. Na przykład ojciec mojego dziecka... — twarz Alexa przybrała szary odcień wystygłej owsianki — nie pisał ani słowa swojej żonie.

— Och, mężowie nigdy nie mówią niczego swoim żonom. Ja muszę szperać w notesach i kalendarzykach Alexa, żeby dowiedzieć się czegoś o jego najbliższych planach.

Pojawił się kelner z tacą zakąsek. Maddy capnęła jedną kanapeczkę. Harriet przechwyciła tę kanapkę niemal w ostatniej chwili. Pogroziła karcąco palcem.

— Żadnych miękkich serów. To szkodzi dziecku.

— A co ze mną? — zapytała Maddy. — Czy ja się w ogóle nie liczę? Co to ja jestem: torba do noszenia dziecka?

— Grzebiesz w moich zapiskach? — zapytał zdjęty strachem Alex.

— To nie jego wina, że nie potrafi się porozumiewać — wyjaśniła Felicity. — Raczej wina elitarniej prywatnej szkoły z internatem, w której się uczył. Stamtąd wynosi się trzy sprawności na „p”: potrafią gładko pieprzyć o rze-

czach, o których nie mają pojęcia, pieprzyć zwierzęta z braku koleżanek oraz nie pieprzyć mamony.

— A ja myślałam, że to „robotnicze dziecko z Grimsby, które wyszło na ludzi”. — Maddy chciała zweryfikować posiadane informacje. — Tak gdzieś wyczytałam...

— Na Boga, nieprawda — prychnęła rozbawiona Felicity, nie dopuszczając go do głosu. — On jednak lubi rozpowszechniać tę wersję. Alex pochodzi z klasy średniej, ale udaje pochodzenie z niższych warstw. Rzeczywiście chodził do prywatnej szkoły w Surrey. A potem na uniwersytet w Londynie. Jego ojciec piastował kierownicze stanowisko w jednym z banków, ale nie rozgląszamy tego, prawda, kochanie?

— Felicity — napomniął ją skręcając się w widoczny sposób.

— Jest dość bystry, to mu muszę przyznać. Od kiedy się znamy, Alex wysławia się coraz bardziej poprawnie, bo tak by postępował każdy prawdziwy chłopiec z nizin. Widzisz?

— Nie przesadzaj, Flick. — Rozglądał się po pokoju, szukając sposobności dogodnej ucieczki. — Cały problem podziału klasowego to przeszłość. Anglia jest coraz bardziej otwarta. Do niedawna osoby rozwiedzione nie mogły przebywać w najbliższym otoczeniu rodziny królewskiej.

— Ale to się odnosiło tylko do strony winnej — sprostowała Harriet jako historyczka, obzerając się jednocześnie kostkami przysmażanego sera brie, który był niedozwolony dla Maddy.

— To istnieje jedna strona winna rozpadu małżeństwa? — Maddy udała zdziwienie. — Zawsze wydawało mi się, że winne są obie strony. — Alex znów przestępował z nogi na nogę.

— Alex, jak możesz mówić, że system klasowy się przeżył? — obruszyła się Felicity. — To się nigdy nie stanie, dopóki będziemy utrzymywać monarchię. A jeśli chodzi o monarchię, to najgorsi są lewicowcy — zwróciła się do Maddy. — Mają wytarte portki na kolanach od skrywanych zabiegów, mających im przynieść szlacheckie tytuły. Zauważyłaś to?

— Owszem. Co mnie zaskoczyło, to żarliwość, z jaką mogą się opowiadać za ustrojem republikańskim, ale kiedy dostają zaproszenie na przyjęcie w pałacowych ogrodach, z wrażenia robi im się mokro w majtkach.

Alex zadygotał. Zaczął wpatrywać się tak intensywnie we wzorek wykładziny podłogowej, jakby usiłował nauczyć się go na pamięć, by potem powieścić go w swoim domu.

— Dokładnie tak. Alex dostał niedawno takie zaproszenie, ale ja nie chciałam tam iść.

— Ani ja — dorzuciła Maddy wyzywająco, patrząc wprost na niego. — Chociaż mówiono mi, że niektóre kobiety oddałyby pół życia, żeby móc tam pójść. — Gdyby spojrzenia miały zabójczą moc, Maddy byłaby sądzona za zabójstwo trzeciego stopnia. Chociaż wydawało jej się, że ława przysięgłych złożona z kobiet nigdy by jej nie skazała.

Felicity obdarzyła ją ciepłym uśmiechem.

— Wiesz, co ci powiem, Madeline Wolfe. Ten twój pan nie wie, co traci.

— O, myślę, że wie. Ale to prawdziwy skurwysyn. I nie mówię tu o jego rodowodzie.

— Chyba był jakiś powód, dla którego cię zastawił? — Wtrącił się Alex. Pot zrosił mu czoło. — Dla wielu żonatych mężczyzn w średnim wieku... — zająknął się. — To znaczy... Myślę, że to człowiek żonaty... Pewnie w średnim wieku...

— Och, zgrzybiały. — Wbiła w niego wzrok. — Przedpotopowy. Znam się na tym, bo zarabiam na życie, nurkując do wraków.

— W życiu dochodzi się do pewnego okresu przejściowego. To czas, który spędza się w samotności. — Mimo chłodu pot ściekał mu po karku. — By dotrzeć do fundamentów swojej męskości...

— Naprawdę? — Maddy postanowiła być krotochwilna. — Nie znam takiego mężczyzny, który by choć na chwilę odrywał się od fundamentów swojej męskości.

Felicity zarechotała. Śmiała się głośno, przeciągle i bezwstydnie. Był to śmiech obiecujący, naładowany erotyzmem. Śmiech właściwie do niej niepodobny.

— Może cię to śmieszyć — Alex zabecztał jak owca — ale mężczyźni są zawsze na straconej pozycji, wszystko jedno, co im się trafi: orzeł czy reszka. To my jesteśmy tłamszeni. To my dostajemy zawału, my umieramy wcześniej. To my idziemy na wojnę. Nam nie wolno się załamywać. Broń Boże płakać. Chryste, nadal jesteśmy ostatni w kolejce do szalup ratunkowych.

— Wielki Boże, Alexandrze! Chyba nie zamierzasz uczynić ze mnie wdowy po bojowniku o prawa mężczyzn. Czy to nie żalosne — zwróciła się teraz do Maddy — jak ci wszyscy mężczyźni uciekają do swoich niedzielnych zebrań, ha których wypracowują swoją samczą świadomość, zostawiając żonom całą robotę domową i wrzeszczące potomstwo? Wystarczy, mój kochany, że prasuję twoje koszule, nie każ mi do tego urządzać publicznego prania twoich emocjonalnych brudów. — Poklepała raz jeszcze Maddy po brzuchu. — Wierz mi, lepiej ci będzie bez męża. Jak ja rodziłam, Alex zaznaczył swoją obecność głośnym pytaniem: czy to jeszcze długo potrwa? A potem: czy mogę teraz zadzwonić z komórki?

Wiodąca brytyjska feministka prychnęła pogardliwie:

— Nie pojmuję, dlaczego inteligentne kobiety w ogóle wychodzą za mąż?

— Jesteśmy w Anglii, Harriet — odpowiedziała nie spieszona Felicity. — Musimy wychodzić za mąż, żeby uniknąć wychłodzenia.

Od dawna Maddy chciała poznać osobiście panią Alexandrę Drake, móc z nią porozmawiać w cztery oczy, jak kobieta z kobietą, wygarnąć wszystko. I oto stały przed sobą. Tyle że nie było co sobie wygarniać. Jak dotąd, zgadzały się absolutnie we wszystkim. Nie czuło się żadnego przymusu, skrępowania. Alex tak często raczył ją litaniami żoninych wad, że sposobila się raczej do odrzucania wszystkiego, co reprezentowała Felicity. Tymczasem wydawało się, że to kobieta łagodna, a nie okrutna. Przypuszczalnie nawet sobotnie pranie nastawiała na cykl prania delikatnego. Nie była też wcale ponurą moralizatorką. Felicity Drake miała poczucie humoru i osąd trzeźwiejszy od atmosfery spotkań AA.

Kiedy wokół Alexa zaczął się zbierać tłum, oczekując anegdot, Maddy postanowiła się wymknąć. Czowała, że od powstrzymywanego żalu w każdej chwili może jej się zrobić słabo. Przepchnęła się przez zbity tłum zalegający cały dworek i kolebiąc się na boki, doszła do letniego domku, który zamknięty na głucho stał na środku trawnika. Basen został już przykryty plandeką na zimę. Maddy lekkomyślnie zstąpiła z *terra firma* na niepewny grunt prowizorycznej trampoliny i zaczęła się ryzykownie bujać. Płócienna membrana odbijała jej rozdęte kształty. Cała była płynna. Rozlewała się. Chlipała. Morze płynu owodniowego.

— Domyślam się, że chcesz mnie zabić — usłyszała głos dochodzący z cienia.

Nie była tym zaskoczona.

— Powiedzmy raczej, że nie zamierzam korzystać z twojej emerytury.

— Bez przerwy o tobie myślę... Tęsknię za tobą. To już tyle czasu minęło.

— Naprawdę? Nie zauważyłam. — Maddy wzbijała się ku gwiazdom. — Patrz, jak ten czas leci, kiedy się jest w samobójczym nastroju.

— Słuchaj, wszystko się okropnie skomplikowało. Próbowałam ocalić od wyginięcia nosorożce szerokopyskie.

— Daruj sobie to zoologiczne pieprzenie. Jesteś po prostu przereklamowanym zbrodźcą. We wszystkich twoich filmach zwierzęta ze sobą kopulują albo zjadają się nawzajem. Pokazujesz więcej seksu i przemocy niż w filmach Michaela Winnera.

— Nawet nie masz pojęcia, przez jakie piekło przeszedłem... Nie mogłaś zejść stamtąd? To chyba nie robi dobrze dziecku.

— A cóż to ciebie obchodzi? — zapytała drwiąco.

— Antologia Felicity... Wiesz, właściwie to wcale nie chodzi o antologię. — Alex śledził ruchy Maddy jak pionowa odmiana widza na stadionie Wimbledonu. — Ale o powieść. Powieść wyłącznie o mnie. Więc nie jest to dobry moment, żeby od niej teraz odejść. Poza tym mamy wielkie kłopoty z wdrożeniem nowej niani. Ona pochodzi z Niemiec Wschodnich. To typ niani ze Stasi. Możesz to sobie wyobrazić?

— Gillian powiedziała, że nie nadajesz się nawet do tego, żeby dzielić życie z psem — odrzekła Maddy, ćwicząc boczne skoki. — Ale ujęłam się za tobą. Powiedziałam, że się nadajesz.

— Nie żartuj. — Złapał ją za rękę, pomagając w łagodnym lądowaniu. — Nawet nie wiesz, jaką mam napiętą atmosferę w domu. Moriarty też to odczuwa. Stał się kłębkim nerwów. Czasem jest taki jak dawniej, wesoły, przymilny, a niekiedy po prostu rzuca się na człowieka. Szarpie dywan, zjada kompost. W kredensie musiałem z powrotem założyć zasuwki bezpieczeństwa, jak za czasów, kiedy dzieci były małe. Najpierw dostawał valium, ale teraz przechodzi terapię u psiego psychologa. — Kiedy Alex sprowadzał ją na bezpieczny grunt, przez grubą warstwę ubrania czuła znajomy dotyk jego palców. Czuła też, że mimo całej złości na niego, zaczynała się mu poddawać.

Wystarczył jeden dotyk, a już wchodziła na orbitę planety Libido. — Obciął włosy.

— Tak, a powinnam obciąć ci jaja. — Musiała tak się zachowywać, żeby się od niego wyzwolić. — Nic się nie martw, za parę tygodni będziesz szczęśliwy jak prosię w deszcz. Urodzę dziecko i ewakuuję się. Wtedy będziesz mógł wszystko opowiedzieć swojej żonie. Będzie miała materiał do następnego felietonu. A ja wejść do repertuaru twoich anegdotek.

— Jestem rozdarty. Czy ty tego nie widzisz? Kocham cię. — Twarz Alexa wyrażała boleść. — Ale nie mogę unieszczęśliwić tylu osób. Pomyśl o zwichniętym życiu moich dzieci. Łzach Felicity. Nie jestem dobry w miłości. Mam za miękkie serce.

— Raczej rozum ci wymiękł.

— Nie wiesz, jak to jest. Skoro już zostałem kimś znanym, nie mogę sobie pozwolić na to, żeby stać się na powrót zwykłym człowiekiem. Zdajesz sobie sprawę, ile zapomnianych słów wpisanych jest w zatłoczoną pamięć dysku komputera?

— Daj spokój, Alex, jesteś za duży na to, by cierpieć na kompleks małego człowieka.

— Cała ta powierzchowna dobroduszość, to wszystko po to, by nie okazywać, jak wewnątrz jestem bezbronny, jak podatny na zranienia...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała Maddy rozbawiona. — Że jesteś człowiekiem uwięzionym w męskiej skórze? O to chodzi?

— Jak ktoś ci powtarza wiele razy, że jesteś nieustraszony, to w końcu zaczynasz w to wierzyć. Ale to bzdura. — Alex zdjął swoje palto i spróbował okryć nim Maddy.

Zrzuciła okrycie ze swoich ramion i jeszcze raz udało jej się umknąć z pola jego przyciągania.

— Wiesz, Alex, ty chyba powinieneś być blondynką. To pasowałoby do twojej umysłowości.

— Madeleine, cierpię jak potępieniec... Tylko dwóch ludzi przeszło takie męki za życia: Jezus i ja.

— Opuść to sobie, oszczędź mi tej martyrologii...

— Okay. — Poniósł ręce, podsuwając jej pod nos. — Zobacz, nie ma dziur.

Dostrzegłszy na jej twarzy ślad uśmiechu, podniósł swój płaszcz z ziemi i przybierając postawę matadora, zaszedł ją od tyłu.

— Maddy... — Uśmiechnął się szelmowsko. — Moja Bzibzia, mój Pysio, moja Przytulaska...

— Ty kłamczuchu. — Szturchnęła go między zębra. — Wymyśliłeś siebie. Chodziłeś do prywatnej szkoły. Miałeś bogatych rodziców...

— I tak sobie wszystko zawdzięczam. Startowałem od zera.

— Uhu. Raczej od dwóch zer. — Znowu poczęstowała go kulakiem. — Obiecałeś, że odejdziesz od żony. Nie odszedłeś. Obiecałeś ożenić się ze mną. Nie ożeniłeś.

— Nie mogę postępować tak, jak ty byś chciała. Co ty sobie wyobrazasz, że jestem Panem Bogiem?

— Nie, na to jesteś za stary.

— Maddy, to zagrywka poniżej pasa.

Popatrzyła na niego niewinnie i pacnęła się po brzuchu.

— To też jest poniżej pasa — chlipnęła, zdjeta współczuciem dla samej siebie. — Zmuszona jestem kwaterować u Harriet. Wiesz, jaka ona jest. Kontroluje każdy mój kęs. Bolać mnie plecy. Puchną mi nogi. Nawet mój biedny pepek wylazł na wierzch!

— Stajesz się hipochondryczką, moja złota. — Pochylając się ku niej, zdołał wreszcie otulić ją swoim płaszczem, którego zebrane razem poły przytrzymał dla pewności jedną ręką. — Dlaczego dla odmiany nie zainteresujesz się moim ciałem? — Jego głos stał się słodki jak miód. Czują jego oddech, znajomy zapach świeżego chleba, który zawsze tak ją odurzał. Oto mężczyzna, który układał dla niej limeryki, a następnie śpiewał je na melodie kantat Bachowskich. Oto mężczyzna, który doprowadzał ją do ekstazy, powracającej niczym refren wygrywany na strunach gitary, oto on, spragniony wędrowiec, docierający do celu w kanionie jej ud. Alex uśmiechał się do niej, jak tylko on potrafił, szelmowsko, figlarnie, jakby mówił: chcesz czy nie? Oczywiście chciała.

— Dlatego, że stąd się wzięły wszystkie moje kłopoty — powiedziała słabym głosem. Prowadziła jego ręce przesuwające się po jej ciele. — A gdzie się podziało twoje: „Hej, świetnie wyglądasz” czy „O rany, co za sylweta”.

W jego agrestowych oczach czaiły się iskielki pożądania.

— Maddy, jestem mężczyzną. I moje geny nie podpowiadają mi żadnej estetycznej reakcji na workowate ubranie ciężowe.

Przytrzymała jego rękę na swoim wzgórku Wenery.

— Jeszcze nawet nie przemówiłeś ani razu do swojego dziecka. — Słuchać było, jak w domu rozpoczęło się odliczanie sekund dzielących ich od Nowego Roku. Dziesięć, dziewięć, osiem...

— Jak to? — Czuła na karku jego gorący oddech. — Co mam powiedzieć?

— Nie wiem. Może „cześć” na początek. Inni mężczyźni przemawiają do swoich dzieci siedzących w macicach. Śpiewają im całe opery, motywy z Gershwina, recytują wiersze...

Alex delikatnie gładził jej brzuch. Za nimi drzwi się otworzyły z hałasem, wybuchła wrzawa. Alex gwałtownie poderwał się z kolan. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Maddy podążyła za jego wzrokiem. Na balkonie stała Felicity. Zastygła w bezruchu, z kieliszkami szampana w każdej ręce, wpatrzona w rozciągający się przed nią mroczny ogród. „Cztery, trzy, dwa, jeden...”, brzmiało doroczne skandowanie. Felicity wzdrygnęła się, raczej nie od chłodu. Zauważyła Maddy, po czym odwróciła się na pięcie i mszyła do pokoju. Alex podążył za nią, wchłonęła go wkrótce kakofonia gwizdów, piszczałek, odgłosy cmokania i świsty papierowych gwizdawek, które, wydmuchiwane, rozwijały się tuż przed nosem przeciwnika jak jęzory głodnych jaszczurek.

Wkrótce wszyscy tłoczyli się już w holu przy paltach, by następnie gramolić się zespołowo do samochodów. Harriet, wykazując się wrażliwością znieczulonego nowokainą zęba, wybrała land-rovera i towarzystwo Drake’ów, którzy zgodzili się podwieźć je obie do domu. Za kierownicą usiadła Felicity. Alex z tyłu na siedzeniu pasażera. Maddy nie była pewna, czy bełkotał z powodu zbyt dużej ilości wypitego alkoholu, czy też było to *delirium nervosum*.

— Okropne było to przyjęcie — mamrotał jakby do siebie.

— Nie rozumiem, dlaczego przychodzimy tu co roku. Odpowiedziało mu ciężkie milczenie.

— My przyszyliśmy ze względu na intrygującą postać gospodarza — Harriet zwróciła się do Maddy. — Wziął rozwód z żoną, by poślubić swoją kochankę. A teraz spotyka się potajemnie z byłą żoną!

— Wyobrażam sobie — Alex przerwał jej bezceremonialnie — że właśnie tęsknota sprawia, że człowiek ożywa. Że może zwrócić na siebie uwagę. Trzeba wam wiedzieć, że mężczyzna też przechodzi menopauzę. To normalna kolej rzeczy, jak trądzik młodzieńczy czy nabywanie z czasem mniej ętności rozpinania biustonosza jedną ręką... Nie tylko wy macie hormonalną huśtawkę. O nie, chociaż uwaga wszystkich zwrócona jest na kobiety. Wy jesteście zaprzyjaźnione ze swoimi ginekologami. Wam się daje hormonalną terapię zastępczą... A co z nami? Czy wy wiecie, jak to jest obudzić się któregoś dnia i stwierdzić, że ma się więcej włosów na piersi niż na głowie? Albo obwód w pasie większy niż w biodrach? W żadnym małżeństwie nie jest tak, żeby obie strony były jednocześnie szczęśliwe — mamrotał tonem usprawiedliwienia. — Każdy na pewnym etapie życia staje się przewrażliwiony...

Przez cały czas tyrady Alexa Felicity zachowała złowieszcze milczenie. Prowadziła równo, biorąc zakręty z wprawą i wyczuciem. W pewnej chwili jakieś małe zwierzątko pojawiło się w świetle reflektorów. Wtedy pani Alexandrowa Drake gwałtownie przyspieszyła, jakby świadomie chciała je rozjechać na miazgę, po czym zwolniła do poprzedniej szybkości. Dalsza podróż upłynęła im w lodowatym milczeniu.

To był najgorszy rok w życiu Maddy. A trwał dopiero jedną godzinę.

Zła czarownica

W tej sytuacji Maddy nie mogła sobie pozwolić na zagładanie darowanemu koniowi w zęby ani też w żadną inną część jego ciała. Dalej więc mieszkała u Harriet. Jednak pobyt ten bynajmniej nie przypominał wakacji. Toalety były zatłkane, a kaloryfery ciekące. (Mimo swoich tytułów naukowych ludzie ci nie przejawiali żadnej inwencji. Nie wiedzieli, jak wymienić świece ani jak naprawić korki. Można by, zdaniem Maddy, wypełnić całe rewersy biblioteczne listą rzeczy, o których nie mieli pojęcia). Raz nawet zdarzyło się, że musiały ratować od utonięcia w kaczym bajorku bardziej wykształconą z pary lesbijek.

Harriet była jedyną osobą, która nie korzystała z manualnych zdolności swej lokatorki. Maddy dotychczas sądziła, że kielki to są małe ząbki, tymczasem Harriet uświadomiła jej, że to najlepsze, co można podać do jedzenia ciężarnej kobiecie. Kielki, garnirowane listkami sałaty, do tego herbatka z kopru włoskiego wspomagająca wiatry. Maddy uznała, że właściwie nie powinna to być dla niej żadna nowość, gdyż Alex właśnie wystawił ją do wiatru. Poza tym Harriet karmiła ją cynamonowymi gałązkami, które pomagały na zylaki, zsiadłą krwią, korzystnie oddziałującą na mózg dziecka, oraz bez przerwy podtykała jej dobre na wszystko owoce wolne od pestycydów, herbicydów i fungicydów.

— Płód przechodzi cały szereg etapów szczególnej wrażliwości — udzielała wyjaśnień Harriet, zmuszając Maddy do zjedzenia byczych jąder i kaczyc wątróbek. — Jeśli na którymś z tych etapów nie zapewni mu się odpowiedniego pożywienia, wówczas naraża się na upośledzenie narządy formowane akurat w tym czasie. Właśnie teraz tworzą się — przekartkowała tom zawierający szczegółowy kalendarz przebiegu ciąży — komórki trzustki odpowiedzialne za produkcję insuliny. Jeśli nie będziesz się odpowiednio odżywiać, dziecko, osiągnąwszy wiek średni, może zostać diabetykiem.

Kiedy Maddy przełknęła ostatnią łyżkę z misy pełnej zielonych cierpkich alg zeskrobanych z jakichś norweskich fiordów, przyszło jej do głowy, że właściwie Harriet zachowuje się w sposób bardzo dla niej nietypowy. Orga-

niczne jedzenie, którym pani domu szpikowała ją bez opamiętania, musiało być przynajmniej trzy razy droższe niż zwyczajne jarzyny kupowane w normalnych sklepach. A pieniądze stanowiły czuły punkt Harriet. Profesorka Fielding miała zwyczaj chodzić za swoimi gośćmi, gasząc za nimi światło i zakręcając gaz. Nie włączała ogrzewania, kiedy goście grali w holu w coś, co na dobrą sprawę można by nazwać hokejem na lodzie, i zmuszała ich do szusowania w zimowym klimacie z powrotem do sypialni. Przy telefonie trzymała stoper i książkę rejestrującą wszystkie połączenia oraz oblepiała lodówkę karteczkami z przekazami mniej więcej takiej treści: „Kara śmierci grozi za zjedzenie mojego masła orzechowego”. Ta kobieta kazała innym płacić dwa razy więcej za papier toaletowy, utrzymując, iż ona korzysta z uniwersyteckiej toalety. Kiedy jednak chodziło o Maddy, pieniądze nie miały znaczenia.

Początkowo Maddy myślała, że Harriet zbiera punkty potrzebne do uzyskania tytułu Człowieka Przyzwoitego. Stopniowo jednak jej wdzięczność zaczęła słabnąć.

Stały właśnie w kuchni przy piecyku Aga, co było ostatnim krzykiem kuchennej mody i towarzyskim obowiązkiem w angielskich wyższych sferach.

— Przygotowałam akurat listę imion — zaczęła chytrze Harriet, nie przestając nacierać skroni Maddy olejkiem miętowym, który miał być skutecznym remedium na powracające mdłości.

— Co ty powiesz? — zauważyła obojętnie Maddy, popijając wywar z kiełków nasion lotosu, co miało wzbogacić yin jej krwi czy coś w tym rodzaju.

— Simone, Germaine — zaczęła wymieniać Harriet — Benazir, Martina albo Emily. Imiona Pankhurstów.

— Och, myślałam raczej o Azarii.

Palce Harriet znieruchomiały. Maddy podniosła na nią wzrok, spodziewając się uśmiechu, ale wyglądało na to, jakby gdzieś w pobliżu zainstalowano wielki wyciąg, który odsysał z atmosfery domu Harriet wszelkie przejawy humoru.

— Słyszałaś o maleństwie Dingo? Żadna australijska dziewczynka nie zostałaby ochrzczona tym imieniem — brnęła dalej Maddy. — Oho, zaczyna kopać. Widzisz, lubi czarny humor. — Maddy zmieniła pozycję, gdy dziecko się rozbrykało w jej brzuchu. Musiała stanąć na czworakach, żeby ulżyć choć

trochę zbolałym plecem. — O Jezu, chyba rozgrywają tam finały piłki nożnej w pucharze świata.

— Kopie w czułe miejsce? — rozpromieniła się Harriet. — Takich nam potrzeba. I dlatego nasza maleńka powinna otrzymać imię feministki z mocnymi tradycjami.

Nasza maleńka?

Harriet chciała decydować nie tylko o imieniu dziecka, ale także o ubrankach. Rozpinane kombinezony, batystowe sukieneczki, pelerynki z kapturkiem, narzutka i chusta zrobione z cienkiej jak pajęczynka koronki, ręcznie robionej na szydełku gdzieś na dalekiej wyspie Szetlandów z najbardziej miękkiego kaszmiru o pojedynczym splocie. Wybrała też szpital i położną.

— Nie potrzebujemy jakiegos nerwowego konowala, który zaraz cię naszpikuje prochami. Chcemy, żeby dziecina przyszła na świat bez wysiłku, tak by mogła nas natychmiast poznać.

Nas?

Harriet zaczęła przypinać sobie wazący dwadzieścia osiem funtów sztuczny brzuch, co dawało jej możliwość wczuwania się w samopoczucie ciężarnej. Codziennie rano wlewała do kieszeni imitującej macicę sześć kwatek ciepłej wody, obciążała się ołowianymi ciężarkami, które miały powodować bóle krzyża, zadyszkę oraz wzrost ciśnienia. Kilka dni później pojawił się zestaw sztucznych piersi, z których można było wyciskać pokarm. Coś w rodzaju kolostomii, tyle że obsługującej piersi.

— To wszystko po to, abym mogła lepiej poznać doświadczenia macierzyństwa — wyjaśniła. — Wystarczy tylko wlać tu odciągnięte twoje mleko i już będę mogła karmić piersią moją adoptowaną dziewczuszkę... Czy to nie wspaniale?

Adoptowaną?

Harriet uważała, że kobiety są mądrzejsze od mężczyzn.

— Geny inteligencji znajdują się w chromosomach X — czyli w tych, których kobiety mają dwa razy więcej. — Znaczyło to, że płód znajdujący się jeszcze w macicy rozpoczął cykl kształcenia uniwersyteckiego. Kiedy Maddy budziła się ze swej codziennej popołudniowej drzemki, nieodmiennie zastawała Harriet uwijającą się wokół jej brzucha. Albo pochylona nad nią czytała głośno z Andrei Dworkin (wybitna lektura dla wybitnej intelektualistki), albo

przykładała właśnie słuchawki stereofoniczne w okolice jej pępka, by bombardować maleństwo kompozycjami Bacha lub Mozarta. — Już dziecko w zarodku można uwrażliwić na muzykę. Jestem pewna, że ona woli muzykę klasyczną. Widzisz, jak się rusza?

— Postanowiłam uczyć ją w domu — oświadczyła Harriet któregoś dnia zdumionej Maddy. — Technika cieplarniana. Loteryjka obrazkowo-literowa od dnia urodzin. Zabawki edukacyjne... Państwowe szkolnictwo zostało mocno nadwątlone przez torysów. A te szkoły publiczne... Dla nikogo nie jest tajemnicą że to raczej forma przemocy. Następna dobra wiadomość: jeśli zacząnę teraz przyjmować hormony w zastrzykach, będę wytwarzać mleko. Czy to nie cudowne? Będę mogła naprawdę karmić moje dzieciątko.

Moje dzieciątko?

Wieczorem nadeszła faksem wiadomość dla Harriet. Była to informacja o jednodniowych targach dla rodziców. Dołączono też ulotkę o uproszczonym tenisie dla maluchów, dziecięcym karate, a także prywatnych kursach tańca, muzyki i aktorstwa dla berbeci już od osiemnastego miesiąca życia. Ponadto wypisana na maszynie instrukcja, jak rodzic w warunkach domowych.

— Harriet! — Maddy wtargnęła do jej sypialni. W pokoju znajdowało się mnóstwo relikwii. Zapieklowane w wiekowych słojach sterczały kawałki świętych nosów, brwi, kości goleniowych. Maddy zastanowiła się trzeźwo, co wcześniej ich właściciele pomyśleliby sobie, gdyby wiedzieli, jaki los spotka ich szczątki. We wnętrzu dominował ciemnoróżowy kolor, wszędzie porozkładane były pluszowe poduszki, na których leżała wyciągnięta Harriet. — Ja nie zamierzam rodzić w domu. Urodzę dziecko w szpitalu!

— Najlepiej będzie, jeśli ja o tym zdecyduję. Jesteś w dziewiątym miesiącu ciąży i nie myślisz rozsądnie. To skutek działania hormonów. Dlaczego nie zostawisz mi do rozstrzygnięcia wszystkich ważnych decyzji? — Harriet przejęła nad Maddy całkowitą kontrolę.

— Bo to nie twoje dziecko, tylko moje.

Za każdym razem, kiedy Harriet wpadała w złość, stawała się natychmiast niesłychanie czynna. Odchwaszczała ogródek, porządkowała kartoteki, wyciągała odkurzacz i jeździła nim w górę i w dół po wyłożonych dywanem schodach. Teraz wstała i zaczęła się krzątać przy Maddy. Posadziła ją na krześle, stopy ułożyła wygodnie na poduszce, jasieczek wetknęła pod plecę.

— Spójrzmy prawdzie w oczy, dobrze? Zostałaś bez grosza, bez domu, bez męża. I to fakt, że jesteś więcej niż nieodpowiedzialnym zepsutym dzieckiem, w ogóle nie przygotowanym na przyjęcie nowej istoty ludzkiej, która ma przyjść na świat. To dziecko potrzebuje mnie... — Zademonstrowała szeroki uśmiech, jak z reklamy. — Oczywiście pozostaniesz na zawsze biologiczną matką.

Maddy przeszedł mróz po kościach, ale tym razem nie z powodu panującej tu arktycznej temperatury. Za oknem na tle jakby zasnutego żalobą nieba wrony krakały złowróźnie. Wszystko sprawiało przygnębiające wrażenie, pokój, dom, aura. Chmury zdawały się zaścielać niczym wielka szara kołdra cały krajobraz, i to od wielu tygodni, w nieskończoność. Maddy nie miała ochoty wychodzić na dwór, bała się, że niebo spadnie jej na głowę.

— Stoi przed nami szansa wykreowania nowego gatunku kobiety. Błyskotliwej, niepodległej, ambitnej... Wiesz, dzieci można zaprogramować na osiągnięcie sukcesu. Oczywiście miłość będzie dozowana w zależności od osiągnięć. Na tym polega cały sekret... No, ale to zostaw już mnie. Katatonię odłóż na potem, będziesz na to miała czas przez następne kilka miesięcy. Niech więc cię o nic twoja mała główka nie boli — powiedziała pierwsza oksfordzka feministka. Maddy zebrało się na mdłości. Pociągnęła łyk wody ze szklanki, którą trzymała w ręce.

— Czy to woda z kranu? — zażądała wyjaśnień Harriet, jednocześnie wyjmując jej szklankę z rąk. — Dzieciobójczyno! Wiesz przecież, ile w niej jest cryptosporidium. — Zgromiła ją ostrym spojrzeniem, ale zaraz posłała jej słodki uśmiech. — A teraz połóż się wygodnie i odpocznij. Nie możesz się denerwować. Teraz właśnie dopracowujemy... — pospiesznie sprawdziła w swoich notatkach — rzesy, dziś pora na rzesy!

Wzburzenie Maddy zdawało się mijać, tak jak cofający się odpływ, zostawiając ją bezwolną i bezsilną. Daleko jej było do grzania całą mocą silnika. Brzuch ciążył jak kamień. Harriet zaofiarowała się zrobić jej masaż z użyciem masła kakaowego. Choć już sama myśl o tym, że Harriet mogłaby zbliżyć się do dziecka, wydawała się odpychająca, Maddy nie miała siły na opór. Poddała się masażowi, leżąc na aksamitnych różowych poduszkach w sypialni, której wystrój miał się kojarzyć z wnętrzem macicy. Podczas zabiegu wpatrywała się

w relikwie i nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ona też miała być zakonserwowana.

Zaczekała, aż zasną wszyscy mieszkańcy, i wtedy zeszła do garażu. Sapiąc i dysząc, otworzyła drewniane wrota; każde skrzyknięcie i każdy trzask urastał w jej wyobraźni do hałasu równego decybelom koncertu rockowego. Z wielkim wysiłkiem udało jej się wcisnąć — jak po łyżce od butów — za kierownicę volvo należącego do Harriet. Zamierzała zwolnić hamulec, tak by samochód mógł się sam stoczyć po pochyłym zboczach, dopóki nie znalazłby się poza zasięgiem uszu, i dopiero wtedy uruchomiłaby silnik. Jednakże okazało się niemożliwe prowadzić samochód, mając kierownicę opartą na główce dziecka. Wcisnęła teraz inną dźwignię i siedzenie kierowcy odskoczyło do tyłu, ale wtedy nie mogła sięgnąć do pedałów. Powlokła się więc pieszo, ciągnąc swoją walizkę, minęła znak „Wstęp wzbroniony pod groźbą skompostowania”, i dalej, ulicą, jak uziemiony zeppelin. Czuła się jak postać z bajki, która umknęła złej czarownicy i właśnie od niej uciekała pod osłoną nocy. Jednego tylko brakowało, pomyślała. Pieprzonego księcia.

Znalazłszy się już w miasteczku, Maddy otworzyła swój notes z telefonami. Numery wypisane pod imieniem Gillian zajmowały cztery i pół strony. Przygotowała sobie stos monet, którymi naładowała dzwicznice automat, i zaczęła dzwonić do wszystkich po kolei byłych amantów Gillian. Najpierw był Archibald, którego rozmiar gaci był większy od jego ilorazu inteligencji. Potem Montgomery, który nie zapłacił za nią w McDonaldzie. Milo Roxsburghe, któremu dysk wyskakiwał tak często, że mógłby zostać dyskobolem. Harold, dyplomata w szarym garniturze, odporny na tyłowdźwięki. Starzejący się gwiazdor, którego brzydziła mineta. Pisarz romantyk i alkoholik z Yorkshire z upodobaniem do winnych lewatyw. Humphrey, ten z wygarbowanym tyłkiem. Ale tylko Maurice, obecnie żonaty król wydłużania włosów, potwierdził pojawienie się Gillian na towarzyskich scenach Londynu. Podał Maddy numer telefonu ostatniej eskorty Gillian, niejakiego Nigela, głównego dostawcy szczeniaków corgy na dwór królowej. (Jeśli chodzi o kolekcjonowanie mężczyzn, Gillian była nie do pobicia).

Już miała odłożyć słuchawkę, kiedy odezwał się znajomy głos:

— Ach, to ty! Jak tam, kochanie, czy jestem już ciocią?

— Powiedz, że to nieprawda — chciała wiedzieć Maddy.

— Hodowca corgy? Czy te pieski noszą koszulki w wycięciem w szpic i złote łańcuszki na szyi?

— O, mówisz o Nigelu! Kochana, on osiągał erekcję tylko na drewnianym koniu na biegunach! — wyznała Gillian. — Już dawno wysłałam go na zieloną trawkę.

— To dlatego byłaś zbyt zajęta, by się ze mną skontaktować

— powiedziała Maddy z przyganą w głosie.

— Jako potencjalna pensjonariuszka zakładów poprawczych starałam się unikać wszystkich znajomych i kryłam się po najgorszych dziurach i knajpach. Zajrzałam ostatnio do Groucho Club...

— Był tam Alex?

— Nie.

— To dobrze. Może umarł.

— O, rozumiem. To tak jest z wami?... Dobrze, przyjadę po ciebie — powiedziała Gillian natychmiast po tym, jak usłyszała mrozącą krew w żyłach opowieść o Harriet Fielding czyhającej na dziecko. — Gdzie jesteś?

Ulga spowodowana gotowością Gillian przyścia z pomocą wyrwała Maddy z otępienia. Wyrzała przez szybę, która wydała jej się lustrem Alicji wychodzącym na inny świat.

— Jestem na skrzyżowaniu „Robót drogowych”, „Spójrz w lewo” i „Uwaga na przechodzące żaby”.

— Siedź spokojnie, wkrótce tam będę.

Jasne, że będzie siedziała spokojnie. Co innego mogła zrobić? Nie miała przecież żadnej przyszłości. Na końcu tunelu nie majaczyło żadne światełko.

Wielka ucieczka

Po ujechaniu około pięciu mil autostradą M4 wyprawa ratunkowa zmieniła nieco swój charakter. Musiały zjechać na pobocze, tak żeby Maddy mogła zmienić koło w wynajętym przez Gillian gruchocie, który okazał się czymś w rodzaju trampka na kółkach, sięgającym najwyżej do zderzaków innych samochodów.

W świetle reflektorów mijających je aut Maddy usiłowała podejrzeć, jak też teraz Gillian wygląda. Po wyprawie do Beverly Hills na operację plastyczną, po wydaniu okrągłych piętnastu tysięcy dolarów u Gillian zmieniło się jedynie nazwisko. Maddy z równym zadziwieniem popatrywała na łysą oponę koła zapasowego, co na potrójnie bieżnikowaną oponkę wyraźnie rysującą się pod paskiem Gillian.

— No cóż, Maddy. Prawdopodobnie to ostatnia okazja, by inteligentnie sobie porozmawiać, więc jej nie marnujmy. — Gillian oparta o maskę samochodu przyglądała się z uwagą swoim skórkom u paznokci. Cała jej wiedza na temat samochodów sprowadzała się do umiejętności takiego wysiadania z porsche'a, by jak najkrócej pokazywać majtki. — Po porodzie, moja złota, stajesz się warzywkiem. Wtedy już będą tylko papucie, papusiu i pa-lulu.

Maddy odkręcała śruby kół kluczem nasadowym.

— Obiecuj mi, że kiedy stanę się warzywem, ty mi to powiesz. Zgoda? — poprosiła ją, jednocześnie rozglądając się uważnie na boki.

— Szpital na Great Portland Street — powiedziała nieoczekiwanie Gillian.

— Co?

— To wybór Fergie i Jerry'ego Hallów... Odpowiednie miejsce na poród. Maddy popatrzyła badawczo na przyjaciółkę.

— A od kiedyż to interesujesz się tymi sprawami? Chyba mi nie powiesz, że skrycie marzysz o dziecku.

Gillian przerzuciła swój głos na inny bieg.

— No cóż, ktoś się musi tobą zaopiekować. Nie chcę, żebyś zostawiła małe gdzieś na zboczu góry. Wtedy wykarmi je wilczyca, a ono założy miasto, w

którym będą żądali tysiąca lirów za tak zwany oryginalny wzór, który zaraz w następnym tygodniu zobaczysz na High Street za dziesięć funciaków...

— Kto by pomyślał — zadziwiła się Maddy, podnosząc lewarkiem samochód w regularnym tempie metronomu — że pod tą obleczoną w modne ciuchy piersią bije serce napędzane macierzyńskim instynktem?

— Moja droga, w ogłoszeniach w „Timesie” zawsze są nazwy szpitali. Te natomiast, które się nie ogłaszają, z pewnością należą do... państwowej służby zdrowia. — Ostatnie słowa wypowiedziała z widocznym obrzydzeniem. — Nazwa szpitala podana obok miejsca urodzenia musi być obecna w jej CV, tak samo zresztą jak Roedean* ¹⁴do którego, nawiasem mówiąc, musiiz wciągnąć ją na listę.

— Myślałam, że najpierw będę jej wciągać śpioszki — odpowiedziała Maddy, dysząc z wysiłku od dzwigania przebitej opony.

— Jest też Lindo Wings. Tutaj urodzili się księżęta William i Harry, a także trzy córki Geldofa.

— W jaki sposób mogłabym się dostać do prywatnej kliniki?

— A nie chcesz mieć swojego pokoju? Wielki Boże. Ja bym chciała mieć swoją klinikę.

— Dobrze, tylko niby skąd mamy wziąć na to forszę? — Wrzuciła zdjęte koło do bagażnika {i przykręciła śruby. — Gdybyś zapomniała, to ci przypomnę, że jedyna karta, jaką obecnie dysponujesz, to karta dobrowolnego dawcy organów.

— Plus to, co udało mi się oszczędzić na operacji plastycznej. Maddy pogratulowała sobie w myślach, że nie wyskoczyła

z komplementami, jakoby Gillian schudła na oko o jakieś siedem kilo po zabiegu odessania tłuszczu i wymianie tapicerki na siedzeniu.

— Więc odpuściłaś sobie?

— Na lotnisku czekała już przepastna gablota, która powiozła mnie wprost do prywatnego bungalowu na terenie szpitala. Wiesz, co mnie tam przywitało? Dwanaście czerwonych róż, pudełko czekoladek w kształcie serca i wiersz miłosny, przypuszczalnie napisany przez mężczyznę, który kocha mnie na tyle, żeby zapłacić za to wszystko, plus specjalnie przyrządzony na zamówienie

¹⁴ *Roedean — ekskluzywna szkoła dla dziewcząt w Brighton.*

nie obiad dla dwóch osób... Pomyślałam więc sobie, co ja robię, do cholery? Najgorsze jest to, że ja już nie jestem tym człowiekiem, którym byłam. Pora, żebym się zmieniła, Maddy.

— A jak właściwie zamierzasz tego dokonać? — Lewarek skrzypiał nie-
miłosiernie, gdy go odkręcała.

— Przez pracę — odpowiedziała, wymawiając oddzielnie każdą sylabę, by
zostać dobrze zrozumianą. — To ostatnie, co mi pozostało do odkrycia w lote-
ryjce życia. Teraz poszukuję pracy w biurze, które byłoby otwarte od dwuna-
stej do pierwszej i miało godzinną przerwę na lunch...

Maddy z radością patrzyła na świetlne punkciki przybliżających się zabu-
dowań Londynu. Z twarzą przyciśniętą do szyby zastanawiała się, w jaki wzór
się ułożą, gdy już będą blisko.

Kiedy w końcu udało im się zaparkować gruchota — w Londynie łatwiej
jest zmienić płęć, niż znaleźć miejsce na samochód — Gillian pchnęła ramie-
niem drzwi do swego najnowszego mieszkania na Clapham Junction.

Maddy odczytywała dokładnie napis przy dzwonku.

— Aspinall-Hunnicut to jeszcze kapuję, ale Lady?

— Pomyślałam sobie, że mogę iść na całość. Jak dotąd to jedynie pedikiu-
rzysta klękał przede mną.

— Teraz rozumiem, dlaczego tak ochoczo chadzałaś na usuwanie odci-
sków. — Maddy wtaszczyła walizkę przez próg. Ściany pokoju miały kolor
tytoniu, z ciemniejszymi plamami w miejscach, gdzie poprzedni lokatorzy
powiesili plakaty.

— Dwa pokoje, możesz to sobie wyobrazić! — jęknęła żałośnie Gillian. —
Kto by pomyślał, że do tego dojdzie? Będziemy spały w jednym łóżku.

Ale dla Maddy był to pałac królewski.

— Gili, tu jest cholernie fajowo. — Przepelniało ją uczucie niezmiernej
ulgi. — Kuku na muniu, figo-fago.

Lady Aspinall-Hunnicut popatrzyła podejrzliwie na przyjaciółkę.

— Maddy, nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć, ale... ty już jesteś wa-
rzywem.

Brzemienne w skutki wymowne milczenie

Przez kilka pierwszych dni Maddy sprawowała się wzorowo. Słyszała w radiu, jak Alex zapowiadał swój program telewizyjny, i nie wyłączyła odbiornika. Wytrwała, oglądając go, kiedy mówił do kamery na temat seksualnych apetytów libijskiego leoparda, który wykonuje ruchy frykcyjne z prędkością stu pięćdziesięciu pchnięć na minutę, i w tym czasie nie pochłonęła całej paczki Hob Nobów. Udało jej się przejechać obok billboardu z jego wizerunkiem na Cromwell Road, nie powodując kraksy dziesięciu samochodów. I kupiła tylko dziesięć poradników na temat zawodów miłosnych — *Glupie wybory mądrych kobiet (nieudana miłość)*, *O mężczyznach, którzy nienawidzą kobiet*, *i o kobietach, które ich kochają*, *Kobiety, które kochają za bardzo*, *Listy kobiet, które kochają za bardzo...* Jak jednak mogła o nim zapomnieć, skoro owoc ich miłości bez przerwy kopał ją w pęcherz?

Gillian radziła, żeby Maddy zacisnęła kciuki i spokojnie czekała na nadejście dnia „U”. Podczas jej nieobecności kursantki w szkole rodzenia poczyniły duże postępy. Nie tylko wiedziały na pamięć, która z nich odczuwała największy dyskomfort, która najmniej przybrała na wadze i która zamierzała rodzić w sposób najbardziej naturalny (dla Maddy poród naturalny oznaczał niezałożenie soczewek kontaktowych), ale też wiele par usiłowało opanować bardziej zaawansowane pozycje rodzenia, co skutkowało wypadnięciem dysku i przepukliną.

Maddy zarejestrowała Gillian jako „osobę towarzyszącą”. Podczas ich pierwszej bytności na zajęcia przyszły z wizytą absolwentki kursu, które awansowały na matki i mogły wrócić z pola walki, by pochwalić się odniesionymi ranami i opowiedzieć swoje historie. Albo historie. Nie szczędziły słuchaczkom krwistych szczegółów.

— Czy boli? Mówisz o bólu?! — wzięła się Cheryl. — Wiedz, siostró, że boli tak straszliwie, że nawet nie czujesz, jak cię rozcinają od jednej dziurki do drugiej.

Więcej niepokoju i niepewności wносиły te, którym się trafił łatwy poród. Tak jak w obawie przed katastrofą lotniczą, Maddy czuła, że ma coraz więk-

szanse na poród trwający pięć dni, z użyciem kleszczy, który mimo to zakończy się katastrofą.

Pani NW3, chcąc klasę jeszcze bardziej podnieść na duchu, uznała, że nadeszła odpowiednia chwila, by podzielić się swoim najnowszym odkryciem rewelacyjnych usług, z których mogą skorzystać podczas porodu.

— Możecie nagrać na wideo swój testament, tak że podczas jego odczytywania będziecie w pewnym sensie obecne — entuzjazmowała się Pamela. — Rozumiecie, na wypadek, gdyby z porodem poszło coś nie tak...

Podczas demonstrowania żeńskiego organu rozrodczego za pomocą modelu macicy wykonanego z włóczki na szydełku Yo-Yo niechcący przebiła go paluchem na wylot.

— Ups — uśmiechnęła się z sacharynową słodyczą. — Zawsze powiadam, dziewczynki, że nie jesteśmy skazane na życie do końca życia. — A kiedy zaczęła się pruć różowa wyściółka sperforowanej macicy, te dorosłe kobiety zapłakały.

Wtedy też przyjaciel Maureen, Darryl, otworzył torbę i wyciągnął z niej swego ulubieńca, oswojonego pytona.

— Widzita, jaka ona głupia? Toć on wogóle nie gryzie. Dlatego go tu przyniesłem. Żebyśta zobaczyły.

Mężczyźni uciekli, a kobiety zaczęły rodzić. Gillian, która siedziała spokojnie przez całe zajęcia, co było do niej niepodobne, ścisnęła rękę Maddy.

— Możesz się bać jednej rzeczy dziennie — poradziła jej. Maddy zastosowała się do tej rady. W poniedziałek zbudziła

się złana zimnym potem z obawy przed *osteothrombosis*. Na wtorek przypadało rozszczepienie kręgosłupa.

— Co dzisiaj mamy? — pytała zasnana Gillian, kiedy Maddy zerwała się, siadając gwałtownie w ich wspólnym łóżku.

— Brak palców.

— Słuchaj mnie, dziecko jest w idealnym stanie, a ty jesteś niemądra, śmieszna histeryczka, skoro sobie wyobrażasz, że może być inaczej. Okay?

— Okay.

— Co dzisiaj mamy? — Gillian ziewnęła szeroko, zbudzona następnej nocy, około drugiej nad ranem.

— Rozszczepienie podniebienia.

W rezultacie Gillian pocieszała Maddy, twierdząc, że byłoby coś z nią nie w porządku, gdyby nie wyobrażała sobie przynajmniej sześć razy dziennie, że jej dziecko będzie miało jakieś wady wrodzone lub genetyczne nieprawidłowości.

Termin porodu zbliżał się z nieuchronnością przyływu. Maddy przez cały czas czuła się strasznie zmęczona. Sukienka, filizanka z bezkofeinową kawą listy — wszystko to miało ciężar ołowiu. Przejrzenie gazety równało się podnoszeniu ciężarów. Zmagania niezbędne przy wkładaniu majtek przypominały zapasy z budyniem. Przynajmniej po porodzie będzie się mogła ubrać bez konieczności ponownego ustawiania kręgosłupa do pionu. Pod koniec dziewiątego miesiąca Maddy była już serdecznie znudzona pytaniami, co jest lepsze na popękane brodawki — lanolina czy masło kakaowe albo czy masaż krocza zmniejszy ryzyko nie kontrolowanego rozdarcia. Miała jedno marzenie — O dziewczynie do dziecka. I to teraz, bez odkładania na potem. Ona była z maleństwem bez przerwy, od samego poczęcia. I chciała wreszcie być sama. Natychmiast.

Gillian zwróciła jej uwagę, że mogłoby przecież być gorzej.

— Na przykład ciąża u słonia trwa sześćset czterdzieści dni.

— A dlaczego nie mogę być chomikiem? Wiesz, ile trwa u nich ciąża? Szesnaście wspañiałych dni.

— Tak, ale rodzą robaczki.

— Które następnie wtyka się do odbytu hollywoodzkich homoseksualistów.

— Rybki karpowate to najmądrzejsze istoty w całym świecie zwierzęcym — doszła do wniosku Gillian. — Mają dzieci, a potem je zjadają.

Kiedy Maddy nie zrzędziła na temat tych opinii ani nie szwendała się po Sainsbury's (plotka głosiła, że jeżeli kobiecie ciężarnej odejdą wody podczas robienia tam zakupów, dostaje w prezencie od firmy wszystko to, co znajduje się w jej koszyku), wówczas studiowała felietony Felicity. Ostatnio nabrały pośpnych tonów.

Czyż nigdy się nie zastanawialiście, drogie Czytelniczki, dlaczego kobiety nie opowiadają kawałów? Otóż dlatego, że są im poślubione — tak zaczynał się jeden z felietonów.

Inny nosił tytuł: „Jak zabić męża”. *Me ma odpowiednich mężów* — pisała. — *Weźmy na przykład ostatnią księżnę Roberta Browninga. Musiała chyba zdawać sobie sprawę, że ten oziębły megaloman nigdy się nie rozgrzeje jej ciepłem ani jej sukcesami. A Dama z Bath Geoffreya Chaucera? I jej zdumiewająca kolekcja groteskowych mężusiów? To samo można by powiedzieć o ponurym księciu Walii i jego nieszczęsnej księżnie Di...* I dalej rozprawiała się z poliandrią. Maddy sprawdziła w słowniku, co to znaczy. To posiadanie kilku mężów jednocześnie.

Ona wie, pomyślała Maddy. Wie.

W następnym tygodniu pisała o najwyższej parze świata. Ona — Kanadyjka, siedem stóp, pięć i pół cala wzrostu, facet pochodził z Kentucky — siedem stóp, dwa cale. Skończyli krwawym samobójstwem.

Ona musi wiedzieć, pomyślała znów Maddy.

W kolejnym odcinku pisała o technikach odgrywania się na romansujących mężach albo, co gorsza, na ich kochankach. *Trzeba wam wiedzieć, drogie Czytelniczki, że wskaźnik zabójstw popełnianych przez kobiety wzrósł o sto pięćdziesiąt procent. Kobiety już nie chcą dłużej* — pisała — *pozostawać bierne, kiedy sieje źle traktuje lub zostawia. Potrafią się zrewanżować.* W następnym akapicie pisała o statecznej żonie majora, która w ataku ślepej furii spowodowanej zazdrością zabiła kochankę męża, czterokrotnie przejeżdżając po jej ciele.

Maddy, wiedząc, na co stać oszukane żony, stała się paranoicznie strachliwa. Na drzwiach wywiesiła karteczkę: „Za nawozy/pizze/cement etc. dziękujemy”. Przestała nieprawidłowo przechodzić przez jezdnię, wychodzić sama wieczorami i zaczęła omijać drabiny. Wylączyła telefon, żeby pod jej nieobecność nikt nie mógł włamać się do mieszkania, wykręcić numer zegarynki w Nowym Jorku i zdjęć z widełek słuchawkę.

Następnie felietony Felicity zaczęły coraz częściej opisywać „cudowną Ingrid”, ich norweską nianię, bez której dom nie mógłby normalnie funkcjonować. W końcu felietony znikły zupełnie. Ich miejsce zajęła rubryka kulinarna na temat grochu i jego wzdymających właściwości.

Maddy dręczyło poczucie winy. Gillian usiłowała wyrwać ją z tego nastroju.

— Dziewczyna może mieć tylko jeden powód do wyrzutów sumienia, moja droga, że ma nie dość wysokokaratowego złota na swoich palcach.

Niczym jednak nie dawało się uśmierzyć niepokoju Maddy. Alex nie przysłał ani jednej kartki. W ogóle nie dzwonił. W BBC natomiast pojawił się jakiś samozwańczy zoolog, który mimo niewątpliwie zepsutych zębów i knajackiej mowy wystąpił z konkurencyjnym programem. Zadzwoiła na jego numer oksfordzki. Odpowiedziała jej automatyczna sekretarka. Zadzwoiła więc do mieszkania w Maida Vale. Nic, cisza. Rozgłosnia telewizyjna nawet nie odbierała zgłoszeń. Raz tylko udało jej się zobaczyć go na moment, kiedy mignęło jej przed oczami jego zdjęcie ilustrujące artykuł w gazecie. Tyle że gazeta ta stanowiła opakowanie cudzych frytek z rybką, a rzecz cała działa się w metrze. Maddy udało się co nieco przeczytać, wykręcając szyję jak peryskop i schylając się niemal do kolan siedzącego obok pasażera. Ale zdołała tylko odcyfrować końcowe części zdań. „...okaleczony podczas rozpaczliwej... atakujący samiec słonia... muchy tse-tse śmiertelnie...”

Owładnięta niepokojem Maddy zaczęła nachodzić przyjaciół. Większość z nich zachowała się odpychająco nieuprzejmie w iście angielski sposób. „Teraz okropnie się śpieszę, ale szczęśliwy jestem, że cię zobaczyłem”, „Jasne, wkrótce musimy się spotkać”.

Sonia, która niedawno powróciła z wyprawy na Antarktydę, gdzie przyklejała z powrotem futerka małym foczkom, teraz przebywała w klinice dla pacjentów z nieprawidłowymi nawykami żywieniowymi. Maddy usiłowała od niej coś wyciągnąć na temat Alexa, ale mógłby ją zainteresować jedynie w przypadku, gdyby wnosił jakieś kalorie.

— Trochę mi się polepsza, chociaż... Lekarz zastosował dwie różne diety.

Zgadza się, pomyślała Maddy, widząc, jak Sonia pałaszuje przyniesione przez nią ze szpitalnego kiosku pudełko czekoladek — w jednej przecież nie ma dość jedzenia.

Przyczyna jej hospitalizowania, czyli mąż, także był niepełnosprawny. Społecznie wyrobiony gwiazdor spadł na łeb na szyję z list przebojów. Teraz, kiedy mówił „moja grupa”, miał na myśli grupę terapeutyczną. Żeby dorównać modnej i znacznie młodszej Imogen, w tajemnicy przed wszystkimi zafundował sobie silikonowe implanty w klatce piersiowej, ramionach, łydkach i udach. Maddy przyglądała się jego szerokiej piersi, zwięzonym biodrom i pę-

katym muskułom. Leżał w szpitalu, dochodząc do zdrowia po przewlekłym zapaleniu siedzenia. Kochał się właśnie z Imogen, kiedy jego tyłek dosłownie eksplodował.

— Jakaż to była piękna dupa — lamentował. Wspominając ich ostatni burzliwy stosunek, nader chętnie udzielał wyjaśnień.

— Konował akurat utrafił z zaokrągleniem każdego półdupka. Piękna robota, niech mnie! I widzisz, trzy i pół tysiąka poszło jak psu pod ogon!

Zmienił jednak front, kiedy Maddy podsumowała rozmowę na temat Alexa.

— Oskarżę skurwiela za straty. Pieprzeni obrońcy zwierząt! I te smętne nasiadówki przy zbieraniu funduszy dla ich pierdolonej partii pracy! Gdyby nie te jego głupie gadanie, tobym nie zużył tak szybko swojego implantu, kapujesz?

Imogen, która podobnie jak on leczyła rany szarpane i parzone, też nie widziała Alexa. Pewnie dlatego, że na oku miała wyłącznie swojego chirurga plastycznego.

Maddy znalazła Bryce'a w sądzie rodzinnym, u jego boku siedział apatyczny malec w indiańskim ubranku. Mimo ostatnich niepowodzeń (ich modelowe dziecko nie dostało się do mensy maluchów), nadal miał nadzieję, że to jemu przyznają opiekę nad synem. Mógłby nie zawracać sobie głowy małżonką i zrobić to, co większość jego przyjaciół: przygarnąć pierwsze lepsze dziecko peruwiańskich chłopów. Drąc zdjęcie Imogen, warknął, że sam sobie jest wieniem, gdyż wybrał urodę, a nie intelekt.

— To Alex mnie z nią zapoznał — prychnął w odpowiedzi na jej pytania. — Zakochałem się w jej długich kręconych włosach. I ty wiesz co — okazało się, że to nie są jej prawdziwe włosy. Importowane z Trzeciego Świata zostały doplecione do jej własnych. Czy to nie obrzydliwe? Tylko sobie wyobraź: budzisz się, a obok na poduszce leżą pasma włosów jakiejś obcej kobiety...

Maddy chciała mu powiedzieć, że znajdował się o włos od szczęścia małżeńskiego, ale uświadomiła sobie markotnie, że tylko Alex mógłby docenić ten dowcip.

Trudniej było znaleźć Humphreya. Został oskarżony o plagiat całego wątku, który zaczerpnął od mało znanego poety z Bośni, piszącego poezje patriotyczne, Maddy uznała więc, że najlepszą kryjówką dla niego powinien być

jeden z klubów sadomasochistycznych, znanych jej z opowieści Gillian. Teraz przynajmniej miał za co brać cięgi.

Słyszała o różnych klubach, w których wymagano stosowania się do kodów ubioru. Wydało się jej to niedorzeczne, jednak klnąc pod nosem, wbiła się ostatecznie w elastyczny kostium. Cóż, projektanci masochistycznych rekwizytów najwidoczniej nie przewidzieli rozmiarów odpowiednich dla kobiet w ciąży. W klubie „Wzajemne Poddaństwo” pełno było kobiet i mężczyzn w średnim wieku smagających się pejcjami albo czołgających się w psich kolczatkach, na łańcuchach. Na ekranach monitorów migotały w najprzeróżniejszych pozach pary, lśniące od wtartej w ich skórę oliwki dla niemowląt, stanowiąc ostry kontrast dla prawdziwych bossów, którzy byli bladzi i cherlawi. Siedzieli zgarbieni przy barze, kryjąc guzowate kolana i wypryski na skórze, których niemogły ukryć mniej niż skąpe stringi. Jedyne, co Maddy z tego wszystkiego zrozumiała, to że angielskie zimy trwają długo, a Scrabble i Monopol nudzą się po jakimś czasie.

Dość szybko zlokalizowała Humphreya, który pilnie zlizywał kurz z wysokich obcasów pantofelków przypiętych do nóg jakiejś bogini biczowników.

— Miej litość dla siebie, Humphreyu. W końcu nie można tylko harować i nie ściągać, jak by powiedział Alex — zagaiła Maddy, zręcznie nawiązując do swego ulubionego tematu. Ale niepomny niczego Humphrey nadal pochłonięty był lizaniem. Maddy ukucnęła, by znaleźć się na tym samym co on poziomie. — Słuchaj, Hump, ja wiem, że to może niezbyt odpowiedni moment, ale powiedz mi, może go gdzieś widziałeś? Tak się o niego martwię...

Humphrey wciągnął język na miejsce, odchrząknął i zmierzył ją spojrzeniem swoich gadzich oczu.

— Nudzą mnie uczucia. Z wyjątkiem moich własnych, ale te zachowuję dla siebie.

— Pewnie dlatego jesteś takim znakomitym pisarzem — odpowiedziała ironicznie.

Przecież to nie byli prawdziwi przyjaciele Alexa. Nazywali się tak z towarzyskiego obowiązku.

Alex zniknął bez wieści. Stał się zagrożonym gatunkiem w betonowej dżungli Londynu.

Woskowanie i spadanie

Jedyną rozrywką Maddy w chwilach wolnych od tropienia śladów Alexa były częste wizyty w salonie piękności Harvey Nichols. Myśl o tym, że obcy ludzie będą jej wkrótce zaglądali w intymne miejsca, napawała ją przerażeniem. Pozostając w ciągłej gotowości, jakby spodziewała się w każdej chwili wizyty kochanka, Maddy regularnie przystrzygała sobie grzywkę łonową, depilowała łydki i robiła pedicure. W drugiej połowie ciąży stała się wierną klientką salonu. Wyznania, jakie się tam czyniło, były równie obnażające jak gorący wosk. Od czasu zmierzchu praktykowania religijności w zachodnim świecie salony piękności przejęły rolę konfesjonałów. Tak jak szepcząc przez kratki w kościele, i tu pozostaje się anonimowym — nie ma obawy, że człowiek natknie się na swoją kosmetyczkę na eleganckich przyjęciach w sferach nadęto-artystycznych. Ostatecznie przed kobietą, która woskiem wytycza granice niezbędne przy noszeniu bikini, nie ma się żadnych tajemnic. Dlatego Maddy nie była ani trochę zdziwiona, kiedy wyciągnięta na leżance, podczas gdy smużki gorącego wosku żłobiły na jej skórze sieć dróg rozrastających się w uprzątnięte autostrady, usłyszała dochodzące z sąsiedniej kabiny czyjeś skargi na męża.

— To jego sposób na życie i przeżycie. Nie przywiązany do nikogo, pilnuje tylko swojego tyłka, rozповіда naokoło, jaka to z ciebie zgaga, i myśli, że właśnie tym rozbawi towarzystwo.

Maddy otworzyła jedno oko i nadstawiła uszu.

— Tak? A ja zawsze myślałam, jaki to z niego nowoczesny mężczyzna domowy. — Maddy domyśliła się, że to musiały być słowa kosmetyczki, jako że przeplatane były wstawkami takimi jak: „proszę podnieść tę nogę”, „obrócić się” i „teraz nie będzie bolało”.

— Mężczyzna domowy? A to dobre! Jedyne, co zdarza mu się czyścić, to swoje medale za działalność zawodową i Emmy. Tylko po to, żeby móc się w nich przegłądać!

Maddy usiadła na kozetce.

— Wszystko dobrze? — zapytała kosmetyczka.

— Co? Tak. Óóóó! — uciszyła ją Maddy.

— Psuje ich sukces. Tyle pań tu do mnie przychodzi i wszystkie śpiewają tę samą śpiewkę. Małżeństwo już się im przestaje podobać. Wtedy taki zabiera pieniądze i daje dyla. I finito!

— O nie. To nie sukces go zepsuł, Sharn... Zawsze z niego był sukisyn. — Nawet jeśli to nie była Felicity, równie dobrze mogła nią być. Maddy wyobraziła sobie, że sceny według podobnego scenariusza mogły rozgrywać się we wszystkich salonach piękności w całym mieście.

— Tak czy siak, ma pani o czym pisać w swoich felietonach, kiedy pani do nich wróci. Za każdym razem, kiedy je czytałam, robiłam w majtki ze śmiechu.

Maddy stanęła na leżance, wspięła się na palce i próbowała zerknąć za parawan.

— Hej! — usiłowała przywołać ją do porządku kosmetyczka, trzymając w ręce szpatułkę z kapiącym woskiem.

— Jak się dochodzi do pewnego wieku, to można się zabawiać już tylko słowami. — Kobieta gorzko zapłakała. — O Boże, czemu to takie trudne? Samce pelikanów pozostają wiernymi małżonkami aż do śmierci. I mówi się, że są to niższe formy życia.

— Otóż to, otóż to.

— Był niewierny od samego początku. Wiesz, gdzie spędziłam swój miesiąc miodowy? Trzyście tysięcy stóp nad ziemią, na Evereście, w jednoosobowym śpiworze z kamerą, którą musieliśmy trzymać między sobą, żeby miała odpowiednią temperaturę i rano nie zachodziła mgłą.

— Niech się pani porządnie wypłacze. Dużo moich klientek tak robi.

Serce Maddy łomotało ciężko. Osunęła się z powrotem na leżankę i zajęła pozycję na czworakach. To z jej powodu tamta tak cierpiała. Maddy chciałyby się zanurzyć w kadzi z gorącym woskiem i zadepilować na śmierć.

— Jest pani pewna, że on ma romans? Skąd pani wie?

— No cóż, zarażenie chorobą weneryczną to raczej pewny dowód, nie wydaje ci się, Sharn?

Maddy przeszedł zimny dreszcz. Więc on jej nigdy nie powiedział!

— Połóż się, kochaneczko — poprosiła kosmetyczka. — To chyba jeszcze nie dziecko, co?

— Najgorsze w tym wszystkim jest upokorzenie. To znaczy gdyby zakochał się na przykład w pani premier albo w znanej aktorce czy... bo ja wiem zresztą... pisarce, laureatce Nagrody Nobla... ale ta kobieta nawet nie może się równać!

Maddy poczuła ucisk w dołku.

— A czy ty masz dzieci, Sharn?

— Niech Pan Bóg broni!

— No więc jak będziesz miała dzieci, dowiesz się też, jak funkcjonuje dziecięcy monitor. To świetny wynalazek. Coś w rodzaju walkie-talkie, które pozwala ci, powiedzmy, zabawić gości w jadalni na dole i jednocześnie nasłuchiwać, co się tam dzieje na górze. Przyzwyczajasz się do tego urządzenia. Nawet zapominasz, że jest włączony. To właśnie przytrafiło się mojemu mężowi. Słyszałam przez ten interkom, jak się kochali. Słyszałam nawet każdy ich pocałunek. Możesz to sobie wyobrazić?

Maddy zakręciło się w głowie, co czasem się zdarza w zaawansowanej ciąży. Czytała o tym. Krew odpływa od mózgu i całkiem nieoczekiwanie traci się przytomność.

— Dobrze się pani czuje? Może to już poród? — dopytywała się wystraszona kosmetyczka. Dziecko zaczęło wyczyniać salta. Tego już było za wiele. Maddy była kopana nie tylko od środka, ale i z zewnątrz.

— Tak — ciągnęła dalej Felicity, nieświadoma dramatu rozgrywającego się za parawanem. — Mój mąż dobrał się do majątek Ingrid, naszej norweskiej niani.

To był cios w samo serce i jednocześnie ostatnie słowa, które dotarły do Maddy, zanim padła bez zmysłów na zimne linoleum.

Skoro życie jest usłane różami, to co ja robię na kupie kompostu?

Informacja o podłożeniu bomby sparaliżowała życie w Cla-pham Junction. Skrzyżowania zamknięto, ulice stały wymarłe i ciche, jakby w oczekiwaniu końca świata. Maddy z trudem wlokła się do domu, robiąc po drodze przystanki dla złapania oddechu. Mijała stojące pokornie, jakby pokonane domy, które tkwiły w równych rzędach obok siebie, wspierając się pokrzywionymi dachami, ocierając ścianami, z trudem trzymając się w pionie. Było dopiero wpół do czwartej, a już się ściemniało. Mdłe, bure światło nadawało całemu miastu koloryt wyblakłej sepii. Maddy czuła się jak wyjęta z przedwojennej fotografii. Pojedyncze nagie drzewa majaczyły na wzgórzu jak rzadki odrost w dawno nie golonej pasze. Skurczeni z zimna, ale czujni przechodnie mijali ją w pospiesznym marszu w swoją stronę. Anglicy, pomyślała Maddy, nie mieli apetytu na życie. Pozostawiali na życiowej diecie, która przepisana im była na zawsze. I nie można im było mieć tego za złe. W końcu miejsce to mogło być całkiem przyjemne do zamieszkania pod warunkiem, że się jest lemingiem.

Skreśliła do parku. Towarzyszyła jej tylko para kundli, które obsikiwały cokoły upstrzonych przez gołębie pomników, przedstawiających monarchów z utraconymi nosami, dawno już zapomnianych. Może właśnie o to chodziło — żeby żyć w przeszłości. Ktoś musiał im powiedzieć, że istnieje więcej powodów do życia niż stanie w kolejce, by zobaczyć trzeci migdał świętego Jerzego, zapeklowany w szkatułce wysadzanej brylantami.

Niania! Uśmieła się w duchu. Jakież to było znamienne. Łatwo mogła sobie wyobrazić Alexa, jak opasany pieluchą, z podwiniętym siurkiem, zrzeka się wszelkiej odpowiedzialności. Zdumiała się, że nie jest zazdrosna. Już wiedziała, że nie kochał ani jej, ani żony, ani tej niani. Jediną osobą, którą mógł kochać namiętnie, był on sam. To historia miłosna, przy której bledły wszystkie inne romanse. Alex należał do tego typu facetów, który przechodzi przez tunel miłości, trzymając czule za rękę siebie samego. Był najgorszym obiek-

tem miłości, jaki można sobie wyobrazić. Na całym świecie nie znalazłby się nikt gorszy. A na pewno w całej Anglii. O Boże. Zaczęła przytupywać, żeby nieco rozgrzać zmarznięte nogi. Co ona tu robi? Przecież nikt nie chciał mieszkać w Wielkiej Brytanii. Nawet Szkocja, Irlandia czy Walia. Po cóż więc przybyła tu, na tę marną wyspę, zatechłą, pozbawioną życia i nudną?

Cała Europa była już dokumentnie zużyta. Ślady działalności przemysłowej znaczyły brudnymi plamami cały horyzont. Morza stały się ściekami, coraz mniej rozcieńczanymi. Brukowane wiejskie drogi zastawione już były volvami. Skąd się więc brało niezachwiane poczucie wyższości Humphreya, Bryce'a, Harriet?... To nie dla takich ludzi jak my, mawiali nieraz ci zacni republikanie.

— Przyznaj się — nalegał kiedyś Humphrey — że nas podziwiasz. Tak samo jak mieszkańcy Nowej Zelandii, Singapuru, Indii i różnych części Afryki. Przede wszystkim to my daliśmy wam krykieta! — A Maddy nie znosiła krykieta. Był dla niej synonimem nudziarstwa. Wagnerem z bramkami. — Nam zawdzięczacie cywilizację. My was wynaleźliśmy!

Gdyby Anglicy byli tacy nadzwyczajni pod względem intelektualnym, to czyż umieszczaliby takie napisy: „Do podziemnego przejścia — schodami na dół”. „Przecież że nie w górę”, chciała nieraz umieścić pod spodem graffiti tej właśnie treści. Dlaczego na krawężnikach malowali wielkimi białymi literami ostrzeżenie: „Patrzeć w lewo”? Gdybyż to jeszcze traktowali tę radę w sensie politycznym. Ale, tego Maddy była pewna, musieli uważać, że Bóg jest Anglikiem, pali fajkę, czyta „Timesa” i jada pudding. Zaczęła nucić temat z filmu *Doktor Żywago*, kiedy zobaczyła, jak na jej rękawie osiadają pierwsze płatki zabłąkanego śniegu. Boży łupież. Chuchnęła w dłoń. Bardziej do nich pasuje określenie: „wyprany naród” niż „wybrany”.

Skierowała kroki do mieszkania Gillian. Tu ujawnił się jej instynkt wicia gniazodka. Nie ustawała w myciu i zmywaniu, głównie samej siebie. Stała się prawdziwą lady Makbet z Clapham. Jakimże szokiem okazała się dla niej Anglia. Spodziewała się zobaczyć przepastne łoża z baldachimem i serwetki dziergane na szydełku. Oczekiwała ciepła i polotu z Oskara Wilde'a... Tymczasem zastała zatkane zlewy, niesmaczne curry, chuliganów i faszyzujących skinheadów, podkładanie bomb i brudne porcelanowe miski toaletowe, wyposażone w łańcuszki, do których nie można było dosięgnąć.

Maddy zwinęła się na łóżku w kłębek i wpatrzyła w nagie ściany. Ogrzewanie jak zwykle prawie nie działało. Sypiały w rękawiczkach, kominiarkach, szalikach i skarpetkach, śniąc, że wraz ze Scottem biorą udział w wyprawie na Antarktydę. Jednak leżąc tak, skulona z zimna, musiała przyznać, że to nie Anglia budzi w niej nienawiść, ale Alex. Ta jego namaszczone wymowa. Ta cała etykieta napiwkowa w restauracjach... Uosabiał imperializm kolonialny, spod jarzma którego chciała się oswobodzić. Był panem jej serca. Panował nad jej myślami. Alex, teraz zdawała sobie z tego sprawę, postrzegał ją jako atol na Pacyfiku. Kraj, który podbił.

W pewnym stopniu, musiała to przyznać, sama była temu winna. Wyobrażała sobie, że będą jedną z tych zacnych par, które mówią do siebie „kochanie” i robiąc dziobek, potakują grzecznie: „tak, mój aniele”, aż on wyprawi się na bój przeciw Hunom, by niszczyć ich i bombardować, aż wybije jego godzina. Wtedy ona pozostanie na zawsze wierna jego pamięci. Albo odejdzie z tego świata, umierając z żalu najpóźniej dwadzieścia cztery godziny po nim.

Widziała siebie, jak nosi na co dzień konfekcję Calvina Kleina, ma zawsze gładko wygolone łydki i idealną cerę, nie zmaconą żadnymi plamami. W jej wizji nie było miejsca na chrapanie ani na żenujące sprzeczki na temat, czyja akurat kolej zawiesić papier toaletowy w łazience. Ich romans okazał się chimerą. Wyczarowała go z lodowatego londyńskiego powietrza. Wydawało jej się, że go zna. Ale przecież to był Angol. Żeby się dowiedzieć, co się dzieje w sercu Anglika, trzeba przeprowadzić operację kardiologiczną.

Właśnie wtedy Maddy wyjęła opakowanie herbatników Jaffa, rozłożyła dodatek ilustrowany „Sunday Times”, żeby nie nakruszyć na pościel, i zobaczyła artykuł pod tytułem „Jeden dzień z życia Alexandra Drake'a”. Fascynująca relacja o tym, jak to wstaje o szóstej rano, pije sok i parę filiżanek nie słodzonej herbaty. Potem dwadzieścia minut przebieżki, pół godziny jazdy na stacjonarnym rowerku, joga, medytacja, pieczenie chleba i wyekspediowanie dzieci do szkoły, a następnie ocalenie od wyginięcia jakiegoś rzadkiego gatunku oraz odebranie złotego medalu w Królewskim Towarzystwie Geograficznym. W południe lunch w towarzystwie sławnych autorów, aktorów i ważnych figur ze świata gospodarczego, z których wszyscy byli zatroskanymi tatusiami, wypowiadającymi się przy każdej okazji przeciw ekologicznej i nuklearnej zagładzie, a wszystko to w trosce o przyszłość swoich pociech.

Reszta „typowego” dnia Alexa miała składać się z lektur specjalistycznych dzieł, czytania do poduszki dzieciom, które go uwielbiały, wspólne z ukochaną małżonką przygotowywanie smacznego posiłku, przy którym omawiali jeszcze niecierpiące zwłoki sprawy z dziedziny światowej polityki. Wreszcie o północy mógł złożyć głowę na ramieniu kobiety, którą kochał, by do poduszki zadeklamować jej porcję poezji miłosnej, a na koniec przeczytać trzy rozdziały z *Kamasutry*.

Maddy ogarnął straszny gniew. Już ona by mu posłała w prezencie... kupon na bezpłatną lobotomię. Albo ofertę w jego imieniu do komputerowej agencji kojarzenia par, gdzie by określiła jego upodobania do przechodzonych zboczeńców, szczególnie gustujących w przekłuwaniu penisów. Miała ochotę go zabić. Psychopatyczne wizje z filmu *Fatalne zauroczenie* to pestka w porównaniu z tym, co teraz czuła. Chciała go przejechać... No, może nie na śmierć, ale na pewno porządnie poturbować. No, dobrze, niechby było tylko uduszenie go drutem stanowiącym usztywnienie jej biustonosza matki karmiącej, miseczka rozmiar D. Przecież ten facet nie miał ani jednej pozytywnej cechy. Hitler przynajmniej potrafił malować. Och, co za upokorzenie! Jak z panią Havisham. Tylko że pani Havisham przynajmniej nie została z bruchem, kiedy dał jej kopa.

Maddy miała się po pokoju, ciskając o ścianę książki, serwetki i co tylko nawinęło jej się pod rękę. „Dzień z życia Madeline Wolfe”, przedrzeźniała gazetę. Przespać pierwsze dwanaście godzin. Obudzić się wczesnym popołudniem z pękającą głową i straszliwym bólem pleców. Dziecko wali w jej brzuch jak w bęben. Przypomina sobie, że została porzucona przez ojca mającego się urodzić lada chwila dziecka. Ogarniają ją myśli samobójcze. Pędzi do łazienki i rozpaczliwie grzebie w szafkach. Jak na ironię, znajduje tylko pigułki antykoncepcyjne. Zabezpieczyć się na śmierć? Człapie do lodówki. Wciągnąć do płuc morowe powietrze. Czuje się jeszcze bardziej przygnębiona niż zwykle. Wraca do łóżka.

Ból głowy staje się coraz bardziej dokuczliwy. Tętni jej w skroniach. Boli ją żołądek od tych wszystkich zjedzonych herbatników. Jej ciałem wstrząsają spazmy gniewu. Jest wściekła także na siebie, że w ciągu tych minionych miesięcy nie wybuchła gniewem. Maddy rzuca się na łóżko, gdzie szamocze się jak ryba w sieci. I wtedy łóżko wodne zaczyna przeciekać. Tylko że u nich nie

ma łózka wodnego. „Odejscie wód" to określenie mało obrazowe na oddanie zjawiska przypominającego przerwanie wałów ochronnych i wdarcie się fali powodziowej. Spazmatyczne skurcze przechodzą przez jej ciało. Zaczyna gryźć kapę.

Dopiero jej własny rozpaczliwy krzyk uświadomił jej, że właśnie rozpoczął się poród.

RS

CZĘŚĆ CZWARTA

ODSŁONA DRUGA

RS

Urodziny

W klasycznych powieściach urodziny zawsze są ujęte w nawias. Akcję porodową zastępuje wielokropek. Książkowa bohaterka wydaje z siebie jęk, ktoś biegnie gotować wodę, po czym robi się odstęp, sześć gwiazdek, a po nich pojawia się szczęśliwa mateczka tuląca do łona maleńką dziewczuszkę lub rześkiego chłopaczka i wszyscy rozplývają się w uśmiechach. Koniec. Kropka.

Siedzę wsparta o poduszki, obejmuję kurczowo własne uda, ciężko dyszę. Czuję nieopanowane parcie.

— Przyj, przyj — gorączkuje się położna.

Po co mi były te cholerne kursy rodzenia? Tyle wiem, że tequila i *chili con carne* nie służą dziecku, orientuję się w zawartości minerałów w składnikach pokarmowych. Ale całą tę wiedzę mogę teraz o dupę potłuc.

Nabieram powietrza i zatrzymuję je. Natężam się z całych sił. Czuję rozdzierający ból. Jakby mnie rozłupano na pół. O rany, chce mi się kupę. Patrzę na poobtlukiwany basen z pokrywką nasadzoną na bakier. Nie proszę jednak, żeby mi go podano. Lepiej narobię na doktora, będzie z tego lepsza puenta.

Przyj. Poczekaj. Dreszcze z wysiłku, potem całkowita niemoc. „Będziesz rodzić w bólach”, „ból macierzyństwa”, wszystkie te zwroty nagle nabierają wymiernego znaczenia. Znów prę, charcząc z wysiłku. Chyba urodzę Belgię.

— Spóźniłem się?

Kiedy opadam na poduszki między kolejnymi skurczami, widzę czyjaś zmiętą twarz. Jak kapelusz grzyba osadzony na szyi, plaster przecinający policzek i torby pod oczami jak wakacyjny ekwipunek żony modnej.

— W samą porę, co? — Promieniejący, przepycha się w moją stronę. Uważa, że wszędzie ma dostęp bez kolejki, która obowiązuje wszystkich innych. — Jak się czujesz, kochana?

— Nie licząc rozdzierającego bó... — Obejmuję się ramionami, by parciem odeprzeć następny skurcz.

— Jak ci pomóc, moja miła? Odzyskuję oddech.

— Wakacje na Tahiti dobrze by mi zrobiły. Kostium od Chanel, twoje jądra w plasterkach na tacy...

Potężny skurcz przechodzi przez całe ciało. Obok stoi Alex i trzyma mnie za rękę.

— Czy nie można by jakoś zmniejszyć bólu?

— Każ mnie usnąć... Niech mi dadzą narkozę. Gdzie się podziewałeś, do cholery, przez ostatnie trzy i pół miesiąca?

Alex, najbliższy nie-mój przyjaciel, mruga do mnie, po czym wyciąga kamerę wideo i nakierowuje ją na mnie.

— Zabieraj się stąd z tym pieprzonym sprzętem.

— Ależ, Maddy, wszystkie chłopaki filmują porody. To ich rola...

Chciałabym mu powiedzieć, że ciekawsze byłoby sfilmowanie poczęcia, ale nie mogę wydobyć z siebie głosu. Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć.

— Proszę wyprowadzić tego pana — poleca doktor, unosząc głowę znad swego pola obserwacji. — Mamy już objawy silnego stresu rodzącej. Przestała przeć. Główka dziecka nie chce wyjść.

Jakaś praktykantka posyła Alexowi uśmiech łowczyni autografów.

— To pan jest tym jak-mu-tam z tego programu, no-wie-pan — zaczyna elokwentnie.

Yo-Yo wypatrzyła piekielnego doktora z Harley Street.

— Ethrington-Stoppford! — wykrzykuje z mocą. — Wiedziałam, że znam to nazwisko. Chyba się nie mylę? To pan jest tym lekarzem, którego oskarża się o przeprowadzanie nielegalnych zabiegów przerywania ciąży?

—Zabierzcie stąd tę kobietę! — wybucha on w odpowiedzi. Doktor — mówi nagle położna. — Widać już smółkę noworodka.

Nagle zaroilo się od zielonych kitli, które ściągnęły tu chyba z całego szpitala Przypinają mi nogi w strzemionach.

—Panna? —Doktor patrzy pytająco na pielęgniarkę.

—Wolfe podpowiada pielęgniarka. Będę osobiście obsłużona. Pan doktor będzie musiał użyć kleszczy. Nie mamy nic przeciwko?

Phi, pojęcia nie mam, doktorku, chciałabym powiedzieć. Tyle już czasu minęło od kiedy poczułam się rozłupana na pół, że nawet nie pamiętam, kiedy to było. Ale mogę się zdobyć jedynie na energiczne skiniecie głową.

Wakum? — podsuwa położna. Alex wierci się niecierpliwie przy łóżku.

Jeżu kochany, chyba coś mogę dla niej zrobić. Teraz Yolanda przyszpila go spojrzeniem.

— Jest takie bardzo ucywilizowane plemię w Nowej Gwinei powiada gdzie podczas porodu mężczyźni leżą na matach w tych samych szalaszach co rodzące i mają przywiązany sznurek o jąder. Za każdym razem, kiedy kobieta czuje bóle porodowe, pociąga za sznurek. Moim zdaniem należałoby to wprowadzić do naszej służby zdrowia, a pan powinien być pierwszą osobą, która by zademonstrowała praktycznie ten obyczaj.

—A to kto, do cholery?! — chce wiedzieć Alex. Położna informuje mnie, że do czaszki maleństwa przymocowano ssawkę.

— Delikatne pociągnięcie spowoduje, że główka dziecka wejdzie do miednicy. — Matko święta. Cóż to za przywitanie dziewczynki. Wessać ją na ten świat. Czy nie można by jej zachęcić w jakiś sympatyczniejszy sposób? Jakimś smakołykiem na przykład? Albo może rozłożę szeroko nogi przed telewizorem, w którym będą nadawać *Ulicę Sezamkową*? Dzieci uwielbiają ten program Położna ujmuje moje dłonie i przesuwa je między moje nogi. Czuję ciepłą mokrą główkę dziecka. — Dziecina zaraz się urodzi. — Niemal dostarczą mi ją do rąk własnych.

Jak przesyłkę poleconą. Mam nadzieję, że jest opatrzona dopiskiem: „zwrócić nadawcy”, przebiega mi przez myśl, kiedy widzę, jak Alex zmierza ku drzwiom.

— Proszę patrzeć! — słyszę wołanie. Patrzę i widzę ją w lusterku. Jej główka wystaje ze mnie. Już widzę jej brewki, nos, całą twarzączkę.

— Oddychaj! — krzyczy położna.

— Odwał się!

— Zaraz pęknie!

Najpierw każą przeć, potem przestać. To tak jakby chcieć zatamować wybuch wulkanu korkiem od szampana. Symulację porodu można by osiągnąć przez wetknięcie do odbytu lewarka, podkręcenie go do maksymalnej wysokości, a następnie zastąpienie go młotem pneumatycznym. Nie czuję rozdarcia, ale widzę, jak lekarz pochyla się ze skalpelem w rękę. I teraz już widzę całą główkę. Skurcz ustępuje. Doktor klepie mnie zachęcająco po udzie.

— No, śmiało, dasz sobie radę. — Zbiega się cała porodówka i głośno mi kibicuje. Wokół łóżka kłębi się prymitywna widownia. Zupełnie jakbym była meczem futbolowym. — Nie dajesz z siebie wszystkiego!

Przekręcają się ramionka dziecka. Teraz mała patrzy mi na uda. O Jezu, a jeśli sprawię jej zawód? Czy spełnię jej oczekiwania? Wszyscy, cały ten cholerny szpital, nie wyłączając parzy-kawki, wpatruje się w moją kuciapkę.

— Dalej ! Dalej ! — Natężam się i wyłania się jedno ramię. Jeszcze jedno parcie i wychodzi drugie ramionko. Toż to jak olimpiada, a ja zaraz dostanę złoty medal. Dziecko wyslizguje się już bez trudu. Widzę jej rączki, tułów. Doktor kładzie mi ją na brzuchu. Dziecina jest cieplutka jak woda w wannie. Ucieleśniona światłość. Ja sama czuję się przezroczyista. Spoglądam na własne ciało, spodziewając się widoku pulsujących pod skórą żył. Krzyczy ochryple, jej głos brzmi jak chrzęst zardzewiałych kół na żwirze. Podają mi ją do piersi, śliską i mokrą rybkę, bez instrukcji obsługi. Tylko że to nie jest ona. Guz z przodu główki spowodowany przysawką to nie jedyny dodatek. Oszukano mnie. Właśnie urodziłam sobie swojego małego Anglika.

*

Zabierają mi dziecko, żeby je zawinąć w pieluszki. Oparta o poduszki czuję się jak samochód na podnośniku, z otwartą klapą, z mnóstwem fachowców grzebiących w delikatnym mechanizmie. Zamiast euforii, o której czytałam w książkach, czuję tężejącą we mnie obojętność. Po gorączkowym napięciu podczas całej akcji przychodzi ostudzenie. Następuje znużenie — no i co teraz mamy robić? Alex sterczy przy łóżku. Niewypowiedzianie chłodno patrzę na mężczyznę swoich marzeń. Jego twarz oglądana z bliska przypomina porowatą gąbkę. Nie pamiętam, żeby miał taki bulwiasty nos. Jego skóra wydaje się teraz bardziej pomarszczona, a podbródek też jakby się podwoił. Patrzymy wprost na siebie jak dwoje obcych pasażerów stojących w kolejce do samolotu.

— Popełniłem błąd — mówi nieznajomy.

Patrzę na niego zdumiona. „Błąd”, tego słowa nie było dotychczas w jego słowniku.

— Wiem, że postąpiłem nieładnie — dodaje z grobową miną. Mogłabym się uszczypnąć, by mieć pewność, że to nie sen,

ale nie ma potrzeby, gdyż szwy, które właśnie mi zakładają w kroku, upewniają mnie, że istnieję, i to jeszcze jak.

— Nie masz pojęcia, jaki to był trudny dla mnie rok.

— Dla ciebie? — Gdybym mogła osiągnąć do basenu, wyróżnęłabym go nim w głowę.

— Przeszliśmy całkowite załamanie nerwowe.

Mimo ogromnego wyczerpania stać mnie jeszcze na przebłysk współczucia.

— To dlatego wzięłeś urlop okolicznościowy? Odzyskałeś już równowagę?

— Nie ja. Moriarty. Doszedł do takiego stanu, że kręcił się w kółko na podłodze kuchennej i próbował ugryźć się w ogon. Potrzebna mu była całkowita odmiana. Pobyt na świeżym powietrzu, najlepiej nadmorskim. Jeszcze nie całkiem wrócił do normy. Najwidoczniej cierpi na zespół dominacji agresywnej przemieszanej z objawami braku poczucia bezpieczeństwa.

— Zaraz, zostawiłeś mnie na zmarnowanie, by wywieźć psa na wczasy nad morze? — Czuję, jak to we mnie wzbiera zespół dominacji agresywnej. — Jesteś pewien, że tak było? A może po prostu wypuściłeś się gdzieś z nią?! — wypalam wściekła.

Brwi Alexa podjeżdżają w górę uniesione niezmiernym zdumieniem.

— Skąd?... Kto ci... — jąka się. — Nie, no skąd.

— Daj spokój, Alex. Felicity przyłapała cię, jak się całowałaś.

— Ja jej nie całowałem...

— Nie? A co? Czyściłeś jej zęby swoim językiem? Przebiera palcami po przerzedzonej czuprynie.

— Okay, zgadza się. Miałem z nią przelotny flirt. Ale mnie wystawiła. Wczoraj. I to dla... — Rozgląda się uważnie po całej porodówce, po czym wyznaje, zniżając głos: — Dla Felicity.

Przysuwam się do niego i obwąchuję mu twarz.

— Nie czuję whisky. — Podciągam jego rękaw. — Ukłuć też nie widzę... Może coś wdychałeś, przyznaj się.

Alex uśmiecha się niepewnie.

— Zabierają dzieciaki i jadą na wiosnę do Toskanii. Podejrzliwie mrużę oczy. Znam go, jego moralne dylematy

sprowadzają się tylko do wahania, w którym momencie powiedzieć kolejne łągarstwo. Teraz jednak nie wydaje mi się, żeby zalewał, chociaż i tak jest z niego straszne prosię.

— Przeczytaj jej dzisiejszy felieton — podtyka mi pod nos wymiętą gazetę. — „Przyciąganie tej samej płci — życie bez mężczyzny”. — Mam ochotę się roześmiać, ale zanedo bołą mnie mięśnie brzucha. — Co gorsza, straciłem prawo do opieki nad Moriartym. Teraz będzie cierpiał z powodu rozłąki, tak w każdym razie powiedział mi psi psychor, czterdzieści funtów za wizytę, plus VAT.

— Taaak? — Unoszę się na łokciu. — Płacisz na utrzymanie psa, a nie mnie? — Zbyt zmaltretowana, by podejmować dalszą walkę, opadam na pościel. Za sprawą Alexa rewiduję swój pogląd na Darwina. Jeśli w ogóle coś się zmienia, to rodzaj męski szybko przekształca się w małpy. — Wiesz co, Alex, coś mi się wydaje, że nie ominął cię kryzys wieku przejściowego.

— I co z tego? — obrusza się. — Przechodzenie wiropauzy to żaden wstyd.

— Wiro-czego?

— Mężczyźni przechodzą taki sam kryzys jak kobiety w wieku przekwitania. Wiesz, nocne poty, przygnębienie, nieracjonalne zachowania, uderzenia gorąca, mniejszy popęd...

— Aha, to dlatego cię wystawiły. A ja myślałam, że dlatego, że jesteś nędznym mięczakiem.

— Nie jestem — znów zniżył głos o kilka decybeli — impotentem, jeśli o to ci chodzi. A nawet gdyby tak było, nie wiążą się z tym żadne trwałe ślady. Przechodzę terapię z powodu męskiej menopauzy. W klinice na Harley Street. Dla mężczyzn jest to największe osiągnięcie od czasów... boja wiem... Harleya--Davidsona.

— Rozumiem. Teraz, kiedy cię wszyscy odtrącili, chcesz się związać z drugą, nie... z trzecią lepszą.

— Niech Pan Bóg broni. Co ty mówisz! — Jego mina staje się bardziej przymilna, ale rysy mającą niewyraźnie. — Odrzucenie to dla mnie nie nowina. Kiedy byłem dzieckiem, rodzice zapomnieli powiedzieć mi, że się przeprowadzamy... Opowiadałem ci o tym?

Nie do pojęcia, ile czasu trwa to zszywanie. Co oni tam robią? Dziergają ścieg krzyżykowy?

— Słuchaj, miałam długi i męczący dzień. Nie mógłbyś wymyślić czegoś bardziej oryginalnego niż ciężkie dzieciństwo i droga do szkoły pod górkę?

— Kiedy ja naprawdę cierpiałem na ojcowską depresję. Poważnie — dodaje, widząc moją lekceważącą minę. — Tylko się zastanów. „Matka i dziecko” to utarte już określenie. Czy ono nie dowodzi, jaka w tym się zawiera skostniała dyskryminacja płci? Stan oczekiwania na ojcostwo uważa się za beztrojski... A przecież potrzeby mężczyzn też się powinno uwzględniać... Cierpienia duchowe nierzadko nie ustępują cierpieniom fizycznym. Weźmy na przykład poród. Na swój sposób może on być przeżyciem cięższym dla ojców. Ty przynajmniej możesz regulować natężenie bólu specjalnym oddychaniem... A ja mogę tylko stać i patrzeć bezradnie na twoje cierpienia. — Potarł brwi. — O Boże, to naprawdę było bolesne.

Patrzę na miłość swego życia. Nie czuję już gwiazdnego pyłu w łonie, radosnych fajerków w głowie. Minęło. Z wielkiego uczucia pozostał tylko osad. Nic więcej.

— Maddy, przyjmij mnie z powrotem. — Ścisną moją dłoń, mówi błagalnym tonem.

Przypominam sobie dzień, kiedy to ja go zaklinałam.

— Muszę się z tobą rozstać — powiedział ze smutkiem w głosie, jakbym była cykadą zamkniętą w pudełku po butach.

— Muszę się z tobą rozstać, Alex.

Wyraźnie oklapł. Jego rysy rozmyły się jak roztopione lody.

— Oczywiście, jesteś zmordowana. Depresja poporodowa dotyka około dziesięciu procent matek. To dość powszechne w świecie zwierzęcym. Nie czuj się winna z tego powodu. — Uczynił wyraźny wysiłek, by zapanować nad wyrazem twarzy. Uśmiechnął się z trudem. — Zajmiemy się tym. W końcu jesteście dorośli.

Wcale nie, w tym cały kłopot. Anglicy zatrzymali się gdzieś pomiędzy dorastaniem a dorosłością. Pielęgniarka przynosi mi dziecko, ciepłe jak świeży tościąg, schludnie zawinięte. Jedno dziecko mi wystarczy, postanawiam.

Alex bierze zawiniątko z rąk pielęgniarki i zaczyna mu śpiewać. *Moje serce należy do tatusia, Baby love, Mój synek Bill.* Za późno. Jego prawa wyga-

sły. Patrzę na niego. Czuję się wyschnięta, pozbawiona uczuć. Jak wypatroszona ryba.

— Chciałabym, żebyś już sobie poszedł — mówię mu lojalnie. Zmarszczka na jego czole pogłębia się.

— Ależ, Maddy, ja ciebie kocham. — Powtarza ten frazes, jakby go sam wymyślił.

Wygląda na to, że skończyło się wreszcie wyszywanie ściegiem krzyżowym i supelkowym. Nogą właśnie oswobodzoną ze strzemion spycham go z łóżka na podłogę.

— No idź już.

Przestrach zamigotał w jego oczach.

— Dlaczego?

Jest przybyszem z kosmosu, który krąży nad nieznanym lądem i wyszukuje dogodnego miejsca na lądowanie.

Ale teraz, bogatsza o doświadczenia wielu miesięcy spędzonych w Anglii, mogę przemówić w jego rodzimym języku. Patrzę mu prosto w oczy.

— Muszę komuś wyperswadować parę drażliwych drobiazgów. Rozumiesz... Załatwić parę nie dokończonych spraw.

Alex mruga zdezorientowany, tak jakby wychynął z puszczy oddalonej od wszelkiej cywilizacji i patrzył zadziwiony na nie znany sobie świat. Jak na komendę wchodzi Yolanda i bezceremonialnie zabiera mu dziecko. Niczym wilczyca na krzywych łapach nie pozwala mu zbliżyć się do łóżka. Z pyskiem przy jego łokciach nie odchodzi, dopóki on nie opuści pokoju. Nie bardzo to pasuje do wyobrażanego obrazu anielskiego macierzyństwa. Żadnych kwiatów, telefonów, fotograficznej dokumentacji szczęśliwej rodziny, opromienienia macierzyńską dumą. Siedzę z poranionym tyłkiem nad misą ze słoną wodą, z palącymi z bólu cyckami, przekrwione oczy wyłazą mi na wierzch z wysiłku.

Odcedzić dziecko z kąpeli

Wystarczył kubek dobrej, mocnej herbaty, gorący prysznic i talerz jajecznicy z grzankami z masłem, a już dochodzą do głosu zapowiadane hormony miłości do wszystkich. Endorfiny, tak nazywają się w podręcznikach. Pielęgniarki, salowa, która zawozi mnie do sali, druga zmienia wodę w wazonach, facet w zielonym kombinezonie grasujący po korytarzu z odkurzaczem, pani, która przyniosła mi napar z lipy — wszystkich ich bym poślubiła. Nawet facetkę, która leży obok mnie i nastawiła radio na cały regulator. Słuchanie godzinami nadawanej przez głośniki *Pieśni Annie* czy *New York, New York* było najgorsze ze wszystkiego, co mi się przytrafiło w szpitalu — a to już coś mówi — i proszę, nadal się uśmiecham.

— Nie musiało być wcale tak źle — mówi Gillian, która wreszcie oswoiła się z moich objęć.

— Źle? Nie licząc niespodzianki, jakami na koniec wręczono — mówię, pukając ręką w plastikowe akwarium na kółkach, które znajduje się przy moim łóżku. — To chyba najgłupszy kawał z płcią, jaki kiedykolwiek splełano.

— Myślałam, że urodzenie dziecka to najpiękniejsze i najbardziej wzruszające doświadczenie w życiu kobiety.

— Jasne, pod warunkiem, że ma ona umysłowość rośliny. Wszystko to zawracanie głowy. Szkoła rodzenia, ćwiczenie oddechów, maska tlenowa... Wiesz, to tak jak w samolocie stewardesa mówi ci, żeby nie palić, kiedy się ma nałożoną maskę tlenową. Szkoła rodzenia jest mniej więcej tak samo przydatna. Na

drugi raz każę sobie wytatuować „epidural” na brzuchu wraz ze strzałką.

— Na drugi raz? Więc jednak to prawda. Poród jest jak chińskie jedzenie. Zaledwie skończysz, nic już nie pamiętasz.

— Przestań. Nie rozśmieszaj mnie. Jestem zszyta od dziurki w dupie aż po śniadanie. — Gumowa poduszka, na której spoczywa mój obolały zadek, chrzęści z wyrzutem.

— No i chłopak! — Gillian zerka znad kołyski na błękitny tobołeczek. — Rozwagałaś możliwość zaskarżenia ich za wzbudzenie błędnych nadziei?

— Nie wiem. Mnie się to wydaje nawet optymistyczne, że nie wszystko da się rozpoznać za pomocą instrumentów.

— Muszę dowiedzieć się, kiedy będzie mi przysługiwał urlop macierzyński. Wiesz, że mam wysoki próg tolerancji bólu.

— Taak? Kto ci tak powiedział?

— Moja kosmetyczka. Bóle porodowe to nic w porównaniu z elektrolicytnym usuwaniem wąsików. Też trzeba powtarzać. Zresztą może nie jestem stworzona do macierzyństwa.

Opieram się wygodnie o poduszki, spodziewając się, że zaraz usłyszę jakieś filozoficzne komentarze na temat psychologicznych aspektów makijażu albo coś na temat jej dzieciństwa pozbawionego miłości, jakieś intelektualne za i przeciw...

— Podobno rozstępy się nie opalają.

Wygodniej sadowiąc jedną z półkul obciągniętych elastyczną lycrą, Gillian zabiera się do pilowania złamanego paznokcia.

— Urlop macierzyński! — nagle zaskakuję. — Dostałaś pracę?

— No cóż, ktoś musi utrzymywać całą trójkę. Zrezygnowałam z zamążpójścia dla pieniędzy. Decydując się na samodzielność, dałam ogłoszenie, że poszukujemy dwóch partnerów, którzy powinni „podziwiać nas, nie nudzić i odwalać za nas całą robotę”. No i co ty o tym sądzisz?

— Myślę, że ten, kto cię zatrudni, będzie niespełna rozumu.

— Odpowiedziałam na ogłoszenie w „Przeglądzie Hotelarskim i Gastronomicznym”. Masz do czynienia z przyszłą szefową Highgrove House, ni mniej, ni więcej.

— Będziesz gotować?

— Moje trzyletnie studia w szkole gotowania Prue Leith zrobiły na nich wrażenie.

— Gillian, przecież ty nawet wodę przypalasz! Jeszcze niedawno myślałaś, że auszpiak to miejscowość dla narciarzy w Górach Skalistych!

— Lokal pod specjalnym nadzorem samego księcia Karola, podobno. Ale jeszcze go nie widziałam. Wystaw sobie, że skoro on mnie też jeszcze nie widział, to chyba jesteśmy sobie równi.

Pulchna, dziarska kobietka w białym obuwiu na gumowych podeszwach wparowuje do sali.

— Cześć, mam na imię Pam. Jestem waszym doradcą w sprawach kontroli urodzin. W zasadzie na obecnym etapie mogę polecić trzy metody. Pigułka, kapturek...

— Chwila! — Podnoszę w górę rękę jak dyrygujący ruchem policjant. — Jestem świeżo po porodzie. Czy naprawdę uważasz, że mogłabym kiedykolwiek w życiu uprawiać seks?

Obrażona przenosi się do drugiego łóżka. Po raz pierwszy odczuwam wdzięczność dla Johna Denvera, który zagłusza jej gadanie.

— Skoro już o tym mówimy. — Gillian próbuje mnie wy badać, jednocześnie poddając wnikliwej obserwacji galaktykę swoich szkarłatnych półksiężyców. — Ta miłosna leukemia, twój uczu-ciowstręt... Czy rzeczywiście jesteście uleczona, czy to tylko remisja?

— Powiedzmy tak: nawet jeśli jeszcze go kocham, to jestem na tyle inteligentna, żeby się do tego nie przyznać.

— Hurra! — woła i zamiast letniej herbaty podaje mi napój z bąbelkami. — Chyba pijesz, co?

— Czy piję? Zamierzam robić wszystko, co zaprzeczałoby usychaniu.

— Świetnie! Oblejmy to więc... — Stukamy się szklankami. Wyłącznie dla celów egzystencjalnych.

Chrzęst nylonów zdradza nadchodzącą Yolandę.

— Ależ to był trudny poród — cmoka z zachwytem. — Najtrudniejszy, jaki pamiętam. Gdybyś żyła w dawnych wiekach, to byś umarła — mówi z entuzjazmem. — O, szampiter. — Uradowana, sama sobie nalewa.

— Dzięki, Yolanda, że byłaś przy mnie cały czas. Znajomy dotyk jej dłoni na moim brzuchu. Za to mój brzuch

wcale nie prezentuje się znajomo. Klepie mnie po żołądku, któremu przyglądam się z podziwem od kilku godzin. Jakie to cudowne uczucie móc znów zobaczyć swoje włosy łonowe. Już zaczęłam wykonywać pierwsze ćwiczenia na brzuch i biodra. Obciąga mi koszulę, tak żeby zademonstrować sflaczały balon.

— Rany, wyglądasz tak, jakbyś tego nigdy nie miała. O, czekoladki! — Gdzieś ulatnia się mój niewczesny zachwyt nad samą sobą, gdy tymczasem Yolanda rzuca się łakomie na pudełko z czekoladkami, które przyniosła Gillian. — Nie jesteśmy skazane na życie do końca życia. — Mruga do mnie. —

Czy wiesz, że niebezpieczeństwo zapadnięcia na choroby psychiczne w pierwszym miesiącu po porodzie jest trzydziestokrotnie większe niż w jakimkolwiek innym okresie życia? — bełkocze zamulona czekoladkami, które oblepiają jej zęby stojące na straży jej jamy ustnej niczym kościany Stonehenge. — Połowa pacjentów angielskich szpitali psychiatrycznych to świeżo upieczone psychiczne mamusie. Wiedziałyście o tym?

Mimo hormonów szczęścia jakoś nie mam ochoty poślubić Yolandy Grimes.

— Wiesz, że twoja szkółka to pic na wodę — mówię jej lodowatym tonem. — Dlaczego nas nie uprzedziłaś, że może być aż tak źle? Mogłabym wtedy wprowadzić się w śpiączkę narkotyczną. Zażyć tabletkę cyjanku. Popukać się w głowę młotkiem...

— Moja złociutka — mówi z trudem, zmagając się jednocześnie z toffi, które spaja jej szczęki. — A skąd ja to mogę wiedzieć?

Patrzę na nią osłupiała.

— To znaczy, że ty nie masz dzieci?

— A niech Pan Bóg broni!

— Chyba też jeszcze nie kochała się z nikim — domyśla się Gillian.

Patrzę na nią z otwartymi ustami. I zaczynam chichotać.

O, nie, tylko nie śmiech. Bo rozejdą mi się szwy. Moja macica reaguje ostrym bólem na każdy rechot, ale nie mogę przestać. Wprost trzęsę się ze śmiechu. Moczę łóżko, puszczam wiatry w odpowiedzi na absurdalność tego wszystkiego. Yolanda, dziewicza instruktorka rodzenia; Sonia, politycznie poprawna anorektyczka, uganiana się po Afryce z kłami, które próbuje na powrót wprowadzić słoniom; Harriet, feministyczna wiedźma jakby żywcem wyjęta z dawnych opowieści grozy; Bryce, intelektualista, którego dziecko ma niski wskaźnik inteligencji; Humphrey — poeta, piewca humanitaryzmu z alergią na uczucia; Imogen, bardziej chirurgiczna niż naturalna piękność; Felicity, która związała z nianią; mój stygnący romans z Alexem... Nie mogę przestać, mimo że rozpoznaję gnoja, który właśnie pojawił się w drzwiach i którego akurat nie chcę widzieć. „Histeria z bóleści”, mógłby głosić nagłówek w gazetach. „Załamane nerwy samotnej matki”. Macha do mnie książeczką czekową.

— Powiedz mu — mówię wreszcie — że nie jestem na sprzedaż.

— Yolanda — rozkazuje władczo Gillian — wyrzuć go stąd! Słyszę złowieszczy szelest rajstop Yolandy. Własnym oczom nie wierzę. Wreszcie ta cholerna baba na coś się przydała.

Popołudnie przeradza się w zmierzch. Gillian przeczesuje kawiarenkę w poszukiwaniu doktorów o odpowiedniej prezencji. („Teraz, kiedy zależy mi wyłącznie na seksie, oni chcą się wiązać”, wyznaje w przerwach swoich wypraw). Yolanda sprawdza korytarz, czy nie zakradł się tu jakiś pismak. Tłumy przejętych gości kłębią się wokół łóżek pozostałych matek na oddziale. Strzelają korki szampana, dzieciaki wrywają sobie puszki z piciem i tarzają się na podłodze, grając w przejściu w kulki, które zastąpione są zielonymi winogronami. Świeżo upieczone babcie pochlipują, mieszając radość z sentymentalnym spleenem, a ciotce wymachują maleńkimi kaftanikami wielkości chustki do nosa we wściekłych kolorach. Wszystkie te hospitalizowane kobiety wyglądają podobnie — z wyrazem ekstatycznej radości uwolnionego właśnie więźnia.

Zasłony jeszcze nie zaciągnięte, w sali jest jasno. Z ponurej ulicy budynek musi wyglądać jak jasno oświetlone akwarium. Od czasu do czasu w oszklonych drzwiach pojawia się Alex i mruga w moją stronę jak podpływający płaz, ale zaraz jak rekin pojawia się Yolanda i go przepędza. Za szybko panoszy się chłód. Deszcz siąpi w oparach mgły. Kamienne gargulce, które napawały mnie taką trwogą, teraz ze śnieżnymi czapami wyglądają nawet potulnie. Słychać szum opon na mokrym asfalcie, a w świetle reflektorów ukazuje się droga znaczona z rzadka rosnącymi drzewami. Na dole snują się otuleni paltami przechodnie, kryjąc się pod mokrymi parasolami.

Wewnątrz jednak panuje cisza, jasność i spokój. Dzieciaczki zapakowane w różowe i niebieskie kocyki, leżą jedno obok drugiego w piętrowych łóżeczkach na kółkach. Szumi centralne ogrzewanie i interkom. „Disco Inferno” obrabia Johnny'ego Casha, słowa akurat odpowiednie: „pal się, pal, niech się pali pierścień ognia”

I moje dzieciątko śpi. Po jego buzi widać, że coś mu się śni. Jasny puszek włosków rzuca cień na idealnie sklepienie czoło. Siedzę na gumowym kółku jak w gnieździe i przytulam do siebie to maleńkie ciało rozbitka, ocalałego w cudowny sposób. Wdycham to wszystko jak tlen.